TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

WRZESIEŃ • 1948 • ZESZYT 9

TWÓRCZOŚĆ

WRZESIEŃ

1948

TREŚĆ ZESZYTU

KAZIMIERZ WYKA: * * *
VERCORS: ORĘŻ NOCY
EDWARD KANTOROWICZ: POŻEGNANIE REPUBLIKI
MAX JACOB: POEMATY PROZĄ
FEDERICO GARCIA LORCA: WIERSZE
TEODOR TIUTCZEW: WIERSZE
KAROL W. ZAWODZIŃSKI: POEZJA LUDZKA I WSPANIAŁA
SPRAWY I TROSKI:
KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI: KULTURA ZIEM ODZYSKANYCH
NOTY:
TADEUSZ PEIPER: AKTORZY „OWCZEGO ŹRÓDŁA"
MIECZYSŁAW PORĘBSKI: PLASTYCY CZESCY W POLSCE

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

ROK IV ZESZYT 9

WRZESIEŃ 1948

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE
M — 36263

ŚWIATOWY KONGRES
INTELEKTUALISTÓW

WROCŁAW

1948

25 — 28 SIERPIEŃ

Obiektywna rola intelektualisty, uczonego i artysty w świecie współczesnym a ich subiektywna świadomość tej roli są to dwie sprawy odrębne. Ale — pod grozą przekreślenia roli obiektywnej — mogą być odrębne tylko do pewnej granicy. Granicy, na jakiej sumienie podnosi alarm i daje sygnał, że dalszy rozdźwięk zagrozić może katastrofą. W chwili takiej znajdujemy się dzisiaj, w pierwszych latach ery atomowej, a krótszymi miarami historii mierząc: w trzy lata po zakończeniu najstraszliwszej z wojen, w trzy lata, które jeszcze nie przyniosły pokoju.

Dlatego, ażeby zrozumieć znaczenie tego faktu, jakim jest Światowy Kongres Intelektualistów we Wrocławiu, należy najpierw określić, w czym obiektywna rola twórcy naukowego i artystycznego różniła się w ostatnich dziesięcioleciach od jego subiektywnej świadomości.

Postęp ludzkości, rozwój doktryn myślowych i wynalazków uwarunkowany jest i był zawsze pracą najtęższych mózgów wszystkich narodów, bez względu na rasę, bez względu na miejsce danego narodu w hierarchii politycznej i gospodarczej świata. Niebywały skok rozwojowy dokonany przez człowieka w XIX stuleciu, to oszałamiające poszerzenie władzy człowieka nad przyrodą wokół niego i w nim samym, które w niezmniejszonym rozpędzie znamionuje również nasze dni, ten skok związany był z jakąś niepisaną, a przez wszystkich dotrzymywaną umową o wartości każdego wysiłku intelektualisty i naukowca, o powszechnej, w służbę całej ludzkości oddanej dostępności jego dzieł. Świat nauki i sztuki był w swej istocie i jest demokratyczny, bo oddany służbie powszechnej i dostępny każdemu, kto zdolny jest wnieść weń twórczy wkład. Bo w tym się mieści obiektywna rola intelektualisty.

Lecz przyrostowi narzędzi myślowych, odkryć i dzieł sztuki towarzyszyła ostatnio u ich twórców świadomość o wyrazie dziwnie pogmatwanym. Stanowisko intelektualisty — w najszerszym tego słowa znaczeniu — rysowało się często w jego poczuciu w sposób od tej roli daleki. Intelektualista wiedział wprawdzie, że jest jednym z głównych czynników prowadzących ludzkość na szczeble wyższego rozwoju, ale nie bardzo wiedział, jakim siłom historycznym oddaje wyniki swojej pracy. Poczucie odpowiedzialności i twórczego udziału mieszało się u niego często z poczuciem bezsiły i zagubienia.

W zaułkach tej świadomości rozkwitały idee błędne i bezradne, jak stano-

wisko abstrakcyjne i kontemplacyjne, jak złudzenie, że intelektualista zająć powinien miejsce zdala od konkretnych sił historycznych swojej epoki, z żadną się nie wiążąc. W dwudziestoleciu międzywojennym jednym z głównych tematów dyskusji ideowej Zachodu był przecież tak pojmowany ideał klerka. Rozkwitała również naiwna wiara, że sam rozpęd techniczny, niepoparty celową interwencją w dziedzinie stosunków gospodarczych i politycznych, powiedzie świat ku lepszej przyszłości. Tak — w najbardziej schematycznym skrócie — od obiektywnej roli intelektualisty odbiegała w ostatnich dziesięcioleciach jego świadomość.

Druga wojna światowa przyniosła w tej mierze doświadczenie, które nie może być zapomniane. Rozdźwięk pomiędzy obiektywnym i postępowym wkładem wiedzy i sztuki a nikczemnością posług, jakie pełnić może człowiek, obdarzony umiejętnościami naukowymi, kiedy przekreśli swoje sumienie, obnażył się w sposób dotąd nieoglądany. Bo wbrew przerażonym i zagubionym katastrofistom ujarzmienie energii atomowej nie jest zapowiedzią końca świata, ale zapowiedzi końca świata objawiły się rzeczywiście, choć objawiły się gdzie indziej: w roli, jaką może pełnić wiedza i sztuka, oddane w służbę doktrynom zbrodni. Hitlerowskie obozy śmierci, sposoby masowego gładzenia narodów, były dziełem mózgów o dużej zaradności naukowej, nie tworem dyletantów. Faszystowskie sposoby okłamywania świata i własnych narodów, przeinaczania najbardziej oczywistej prawdy, pochodziły od ludzi o niewątpliwej znajomości technik społecznych. W świetle tego doświadczenia okazało się, że wśród błędnych zaułków świadomości intelektualisty lekceważyć nie można nawet stanowiska technika i fachowca, któremu wszystko jedno, komu służy. Bo jakże blisko stawał on zbrodniarza!

W trzy lata po zakończeniu tego doświadczenia zaczyna nad nim zapadać rozmyślnie, z całym cynizmem, z pełną świadomością dokonywanego przemilczenia zapuszczana kurtyna. Zaciągają ją te same dłonie i siły, które równocześnie głoszą mit żelaznej kurtyny, mającej rzekomo dzielić świat, a Europę szczególnie, na dwie odrębne części. Dla intelektualisty właściwą żelazną kurtynę stanowi ta, którą usiłuje się oddzielić świat od nauk nabytych w drugiej wojnie światowej i jej preliminariach złożonych ze zwycięstw faszyzmu. Próba drugiej wojny światowej ostatecznie bowiem odpowiedziała, przede wszystkim odpowiedziała intelektualistom europejskim, jako najbardziej nią dotkniętym, że dalsze pogłębianie rozbieżności pomiędzy obiektywną, a tym samym postępową rolą intelektualisty, a subiektywnymi jej załamaniami doprowadzić musiałoby nieuchronnie ludzkość do katastrofy historycznej, do cofnięcia się w rozwoju, którego tym razem za cenę najwyższego wysiłku zdołała uniknąć.

Tymczasem nie tylko przeszłość grozi nauką mogącą pójść w zapomnienie. Grozi również przyszłość. Nie brak na świecie sił i ustrojów, które dla zachowania kurczącego się stanu posiadania pragnęłyby Europę zamienić w nowe pobojowisko, a sobie odłożyć jedynie zyski z nowych ruin, z nowych niepowrotnie utraconych wartości sztuki i kultury. W trzy lata po zawieszeniu broni żyjemy w stanie, który nie wiadomo jak nazwać: bo chociaż przestał

być wojną orężną, nie jest jeszcze, nie jest na pewno pokojem. Dlatego kongres wrocławski staje się kongresem w obronie pokoju. Staje się alarmem intelektualnego sumienia świata, które nie może dalej milczeć i patrzeć bezczynnie, jak najwspanialsze odkrycia umysłu sieją tylko groźbę i postrach.

Sieją zaś groźbę, ponieważ służą poglądom błędnym, sprzecznym z tymi nakazami, które każdy człowiek pracy naukowej i artystycznej nosi w sobie.

Dlatego Kongres Wrocławski jako trzy zasadnicze tematy dyskusji przyjął pytania proste i klasyczne, bo wynikające z niezmiennej funkcji intelektualisty w świecie. Nie łudzimy się, by odpowiedzi, jakie przyniosą obrady Kongresu, od następnego zaraz dnia zaczęły obowiązywać we wszystkich krajach świata. Co innego jest rzeczą istotną — we wszystkich krajach świata odpowiedzi te będą usłyszane, albowiem uczestniczyć w nich będą intelektualiści wszystkich narodów, świadcząc tym sposobem, że te, z klasycznej tradycji myśli i historii europejskiej pochodzące pytania, dotyczą dzisiaj całego globu.

Oto owe tematy:

I. *Czy można uniknąć wojny? Czy narody nie mogłyby, nie powinny współpracować w pokoju bez względu na ustrój ekonomiczny, społeczny, w jakim żyją? Czy nie wystarczy w tym celu wzajemne poszanowanie swojej i czyjejś niepodległości i swoich i czyichś cech narodowych?*

II. *Czy nie należy rozwijać rzeczywistej wolności wśród coraz to szerszych warstw mężczyzn i kobiet i czy tak pojęta wolność nie zawiera w sobie prawa do poszanowania ich godności bez różnicy rasy i stanowiska społecznego?*

III. *Czy nie jest rzeczą konieczną w interesie ogólnego postępu, by zapewnić wolny rozwój kultury i badań oraz rozpowszechniać bez przeszkód dzieła sztuki, odkrycia i wynalazki?*

Przebieg i wyniki Kongresu omówimy w najbliższym zeszycie „Twórczości". Niniejszy zeszyt naszego miesięcznika nie przynosi publicystycznych ani essaystycznych zapowiedzi tego wydarzenia. Zadanie takie spełnią inne czasopisma polskie. „Twórczość" pragnie jedynie dostarczyć materiału artystycznego każdemu, kto zastanowi się nad celem wrocławskiego spotkania i nad doświadczeniami, które nadały mu wagę i które literatura europejska zdążyła już utrwalić w kształcie artystycznym. Materiału, jaki równie dobrze może być wnioskiem do wrocławskich tematów, jak literackim wnioskiem z tych tematów.

Opowiadanie Vercorsa, którego stanowisko w literaturze francuskiej związane jest najściślej z ruchem oporu, mówi o przeżyciach moralnych, zaznanych przez wszystkie kraje, jakie się znalazły pod okupacją hitlerowską. Opowiadanie autentyczne pisarza niemieckiego Alfreda Kantorowicza przypomina postać, która dla każdego Europejczyka stanowi wzór hartu i wytrwania

w walce o prawdę — Carl von Ossietzky. Ofiarą antykulturalnego barbarzyństwa był również poeta francuski Max Jacob, podobnie jak wielu pisarzy europejskich opłacający życiem swoje prawo do sztuki. Ofiarą znów faszystowskiego ustroju swego kraju jest znakomity poeta hiszpański Federico Garcia Lorca. Mosty, jakie pomiędzy narodami i stuleciami przerzuca sztuka prawdziwa, prawdziwa poezja i dramat, przypominają szkice Karola W. Zawodzińskiego o poezji rosyjskiej i Tadeusza Peipera o „Owczym Źródle" Lope de Vegi. Ze sprawami polskimi wiąże się tylko jedna pozycja zeszytu: Kazimierza Koźniewskiego „Próba bilansu kulturalnego Ziem Odzyskanych". Pozycja, która wskazuje, dlaczego miejscem obrad Kongresu był właśnie Wrocław. Miasto odzyskane dla kultury polskiej niezwykłym wysiłkiem całego narodu, w wielkiej mierze wysiłkiem jego pracowników kulturalnych, odzyskane po to, by służyło odtąd pokojowej współpracy narodów.

Nie ma przeszkód ani barier pomiędzy rozwojem kulturalnym naszego kraju a tymi wszystkimi zdobyczami myśli i sztuki europejskiej, które służą sprawie postępu i pokoju, bez względu na to, skądby pochodziły. Przekonają się o tym uczestnicy obrad wrocławskich i jedną z ważkich zdobyczy Kongresu będzie, kiedy tę wiedzę zaniosą swoim społeczeństwom. Zeszyt nasz zaś pragnie dla czytelnika polskiego stać się tylko skromnym świadectwem tego niewątpliwego dla wszystkich faktu.

KAZIMIERZ WYKA

VERCORS

ORĘŻ NOCY

I

EURYDYKA

Zapytuję sam siebie, czy od pierwszej chwili nie mogłem był odgadnąć istoty rzeczy. Bezsprzecznie — nie. Gdy zna się już sprawę, wydaje się dziwne, że mimo tylu oznak, było się ślepym. Na przykład wtedy, gdy Piotr kazał obciąć sobie włosy. Gdy myślę dziś o tym, wydaje mi się to takie jasne. Jesteśmy jednak wszyscy mądrzy po niewczasie.

Ledwie zauważyłem, że Piotr miał długie włosy. Zresztą te włosy... Ciężki dzień próby: najpierw wstrząs, jakiego doznałem, znalazłszy jego nazwisko (straciłem już nadzieję) na tych listach pisanych na maszynach i rozlepionych na wietrze, listach, o które rozbijało się tyle nadziei, tyle wytrwałej pogardy... Pierre Cange de Lézardrieux. A potem wstrząs drugi — niemożność poznania go. Ta cera: popiół pomieszany z trocinami. Ta niewiarogodna chudość, ta twarz, z której zdawało się, że pozostały tylko przezroczyste uszy, nos ledwie powleczony skórą i sterczący nad ustami bez warg. Zapadnięte głęboko oczy, okrągłe i nieruchome, przezroczyste i bez wyrazu. A ponad tym wszystkim włosy — jaśniejsze, bardziej jeszcze wypłowiałe, bo długie i tak rzadkie, że obnażały skórę, jak wątek zdartego dywanu — włosy te świadczyły jeszcze bardziej, do jakiego stopnia twarz ta musiała żyć na pograniczu życia i śmierci.

Uśmiechnął się na mój widok. Nie poznałem nawet jego uśmiechu. Gdzie się podziały te lśniące zęby? Podniósł się z fotela, jego długa postać, wychudzona i sztywna, dziwacznie się rozprężyła, podobny był w swym pasiaku do fantastycznego bohatera jednego z posępnych filmów niemieckich z minionej epoki, — tej istoty żyjącej, którą jakiś mityczny doktor ulepił z kawałków ludzi — zmarłych.

Nie wiem już, co mu powiedziałem: nie umiałem ukryć zmieszania. Uśmiechał się, ale w jego spojrzeniu uśmiechu nie było. Jego oczy były nadal okrągłe, jakieś niewyraźne i przejrzyste, bez blasku, z cieniem wyrazu, z cieniem jakiegoś nieokreślonego uczucia, być może z udręką czy też widmem minionej udręki.

Przyjechał niedawno. Snuliśmy plany — nie: to ja snułem plany. I w tym jeszcze nie poznałem go: ta chwiejność, to złożenie w moje ręce swej woli...

Nie zdawało mi się, by jego inteligencja zmalała, — odpowiadał na moje pytania z wyostrzonym poczuciem odcieni tak jak kiedyś. Lecz gdzież była ta samorzutność, ta szlachetna energia, ten zmysł szybkiej decyzji, które wzbudzały w nas podziw? Zdawało się, że zmusić się do tego, by chcieć, było dla niego wysiłkiem ponad siły.

Myślałem, że pragnie wrócić do Plenmach jak najprędzej. Czyż nie wiedziałem o wszystkim, co chciałby odnaleźć? Widząc jak twarz jego rozjaśnia się, powiedziałem:

— Postaram się wszystko to skrócić. Nie będziemy czekać na sławetny pociąg dla zesłańców bretońskich. Kiedy chcesz jechać?

W spojrzeniu jego jednak, w całym wyrazie twarzy, zobaczyłem jeszcze większą trwogę. „Kiedy?" — powiedział głosem cichym i pełnym wahania, potem, utkwiwszy we mnie oczy nocnego ptaka, wypowiedział szeptem pełnym udręki całą litanię nieprzerwanych pytań: „Tak sądzisz... Kiedy myślisz... Czy tak trzeba...", a po kilku minutach ciszy, zdawał się przemóc i powiedział w końcu: „Sądzisz, że muszę tam jechać?"

— Nie wiem — powiedziałem zdziwiony. — Ty nic nie musisz. Zdawało mi się... Powieki jego zatrzepotały i nagle wydał mi się okropnie znużony. Nie wiedziałem co powiedzieć. „Wolę ma chorą", pomyślałem. Potem nagle przyszło mi na myśl, że pytał mnie o różnych ludzi, — ale nie o nią. Stwierdzenie tego uderzyło mnie. Ja wiedziałem, że Nicolę żyje, lecz on? Mogła była zginąć, ona także z tyloma innymi.

Wyszedłem naprzeciw jego spojrzeniu i wydawało mi się, że wyczytałem w nim bolesne wezwanie. „On nie śmie", pomyślałem nagle. „On się boi" — głupcze jeden! — „może boi się dowiedzieć..." Powiedziałem:

— Nicole czuje się dobrze. Była wspaniała do ostatniej chwili. Nic się nie zmieniła. Odnajdziesz ja taką, jaką widziałeś po raz ostatni.

Mówiąc to jednak pomyślałem: „Jestem, być może, na błędnej drodze. Czy on ją jeszcze kocha? Nigdy nie powiedział, że ją kocha". Myślałem także: „O n a go kocha z pewnością zawsze — więcej niż kiedykolwiek." Przypomniałem sobie jej wzruszającą postawę po aresztowaniu Piotra. Nie chciała okazywać rozpaczy, lecz wola jej była bezsilna wobec bolesnego roztargnienia. Usiłowała wprowadzić w błąd otoczenie wesołym wyrazem twarzy, żywością ruchów, zdecydowaną postawą, — lecz dnie jej były utkane z łańcucha zapomnień, przeoczeń, pomyłek i błądzeń, które mogłyby być śmieszne, gdyby nie były wzruszające. Przezwyciężała się powoli, i powoli również wyrobiła w sobie dziwną, abstrakcyjną pogodę, zbliżoną do wiary. Kiedy złowrogie wieści z obozu w Hochswörth odebrały nam prawie wszelką nadzieję, wykazała więcej zimnej krwi, niż ktokolwiek z nas. Nie wierzyła nigdy w śmierć Piotra.

— Ona będzie taka szczęśliwa, gdy cię zobaczy — zawsze ufała twojej dobrej gwieździe, — dorzuciłem i obserwowałem Piotra z ciekawością. — Nic jednak nie zauważyłem albo raczej... tak, istnieje pewien brak wyrazu, który jest nie mniej zadziwiający, niż taki czy inny wyraz nieoczekiwany. Patrzył

na mnie ciągle bez słowa, a jeśli one wywołały na jego twarz coś w rodzaju uśmiechu, był to raczej uśmiech zdawkowy, — a ten dowód grzeczności był ostatnią rzeczą, jakiej mogłem oczekiwać od niego w podobnej okoliczności. Czy tylko takie echo wywołało w nim wspomnienie Nicole? Zacząłem obawiać się o nią i powiedziałem:

— Naturalnie, że będzie tak, jak zechcesz. Jeśli wolisz pozostać przez jakiś czas w Paryżu... Chociaż przez wzgląd na twoje zdrowie...

Zmarszczył czoło, a w oczach jego odbił się lęk przerażonego zwierzęcia. Spojrzał na paznokcie (zauważyłem dziwny kształt jego palców, i był to dla mnie cios w samo serce); potem, ponieważ ktoś wchodził — na drzwi, później znów na mnie. I powiedział, milknąc po każdym skrawku zdania, a słowa tchnęły niezdecydowaniem:

— W Paryżu?... Ja nie wiem... Zrobię, co zdecydujesz — powiedział, przyznając się jakby do swego odrętwienia. — Zdaję się na ciebie. — Słowa te zdawały się nieść ulgę.

— A więc... wypocznij jakiś tydzień — dorzuciłem ukrywając zdumienie. — Tutaj, albo u mnie: mój dom stoi dla ciebie otworem, wiesz o tym. Potem, w miarę odzyskania sił, obmyślimy coś.

— Tutaj — powiedział żywo. Raz jeszcze trwoga odmalowała się w jego spojrzeniu. Nie rozumiałem nic.

— Może masz i rację — powiedziałem, żeby nie czuł się nieswojo, tutaj lepiej będą cię karmić. Szybko odzyskasz siły.

Uśmiechnął się i spojrzał na mnie z wdzięcznością. Dobrze zrozumiałem, że nie dał się zwieść. A jednak, pomyślałem z ulgą, nerwy ma zawsze czułe.

Umówiliśmy się nazajutrz. Przyniosę mu ubranie. Potem rozstaliśmy się. Choć ulgę mu sprawiło pozostanie sam na sam, nie okazał tego. Mimo, że nie grzeszę zbytnio intuicją, mam jej jednak dość, by wyczuć te rzeczy.

Przypominał mi mewę. Dziwiłem się sam sobie, że nie zauważyłem tego wcześniej. Gdy obracał w ręku, przyglądał się i dotykał z radością, której prostota ściskała serce, jeden ze swoich dawnych garniturów tweedowych czy też obszerny swój szlafrok podobny do derki, przyglądałem się ze zdumieniem tej nowej twarzy, do której tak nie mogłem się przyzwyczaić, jakby zmiana w niej zaszła zaledwie wczoraj. „Zmienił się, — powiedziałem sobie nagle w duchu. — Jego włosy... wczoraj miał jeszcze długie". Musiał dać sobie je ściąć tego ranka, bardzo krótko, prawie przy skórze, przez to bardziej upodobnił się do tych wszystkich, którzy krążyli jak chwiejne cienie po obszernych salonach hotelu. Krótkie, wypłowiałe i rzadkie włosy nadawały mu istotnie wygląd ptaka morskiego.

Odszedł na chwilę i wrócił ubrany, jak niegdyś. Ulubione ubranie podkreślało jego przerażającą chudość. Niesposób było uwierzyć, że kiedyś miał mocne szczęki i tęgi kark. Nie można było uwierzyć, że tak niedawno przekroczył trzydziestkę. Schodził ze schodów trzymając się poręczy. Stopy jego wydawały się olbrzymie przy spodniach, które fałdując się obficie, uwidoczniały

cherlactwo nóg. Chód jego był dlatego jakiś niepewny, posuwisty, nierówny, jakby bojaźliwy. Nawet ręce w zbyt obszernych rękawach wykonywały jakieś niezręczne ruchy, jakby musiały bez końca dbać o przywrócenie zmąconej równowagi temu nędznemu ciału...

Poszliśmy napić się do małej knajpki tuż naprzeciw, po drugiej stronie ulicy Sèvres. Była to prawie pielgrzymka. Zwycięstwo także. Odwet.

— Myślałem, że ciebie także przymknięto — powiedział Piotr. To prawda, (i ta myśl, tak oczywista wydała mi się dziwna), to prawda, przecież nie mógł wiedzieć. Zabawne wydało mi się to moje opowiadanie całej sprawy — i to w tym samym miejscu. Dziwaczne a zarazem naturalne. Czas tylko po prostu zamykał krąg w przestrzeni i łączył nas znowu przy małym, okrągłym stoliku, przed dwoma kuflami piwa, które miało stanąć przed nami, dwa lata temu wstecz, podczas spotkania, tragicznie niedoszłego do skutku.

...Tego dnia nie było umówionego przedmiotu na wystawie sklepu Kodaka, na rogu bulwaru. Zaniepokoiło mnie to. Usiadłem, jako obserwator, w małym sklepiku tytoniowym, po drugiej stronie ulicy. Mimo to nie wierzyłem w jakieś poważne niebezpieczeństwo: nie był to pierwszy alarm. Czatowałem jednak na Piotra, który był naszym szefem, żeby go uprzedzić. Nic nie dane mi było zrobić. Musiano go zatrzymać na samej stacji, przy wysiadaniu z metra: przemknął mi się tylko przed oczyma w chwili, gdy popychany brutalnie przekraczał przestrzeń dzielącą ostatnie kilka stopni od czarnej budy (ach, na niego więc czekała)...

Byłem świadkiem obławy, którą jednocześnie robiono w knajpie, gdzie miałem się z nim spotkać. Instynkt jakiś kazał mi wstać; z całą nonszalancją skierowałem swe kroki do fryzjera znajdującego się w pobliżu i kazałem się ogolić. Dobrze na tym wyszedłem; dowiedziałem się później, że obława objęła wszystkie okoliczne kawiarnie i ludzi, znajdujących się ulicach.

Piotr przyglądał się wylotowi metra, przysłuchiwał się wrzaskowi sprzedawczyń gazet, — jedna z nich powtarzała (czy to było umyślne?): „Wyzwolenie! Dziś Wieczór, Świat i Wolność!"... Z uśmiechem przyglądał się temu pokojowemu ruchowi, — bez Niemców, bez gróźb. I powiedział: „Trudno jest uwierzyć". Nie wiem, czy mówił o chwili, którą przeżywaliśmy, czy też o tamtej, o tej, od której dzieliły nas dwa ubiegłe lata. Spojrzał na swą lewą rękę, której widok już przed tym wstrząsnął mną.

— Kogo zatrzymano po mnie? — zapytał.

— Nikogo — odpowiedziałem z uśmiechem. — Wiesz o tym dobrze.

Spojrzał na mnie. Nie umiałbym opisać jego wyrazu. Co prawda, nie zrozumiałem tej mieszaniny wdzięczności, dumy, głębokiej radości, a także znękania i bólu, których wtedy nie umiałem rozeznać, — mimo że byłem poruszony do głębi duszy.

— Nikogo? — powtórzył i spojrzał raz jeszcze na swą zniekształconą rękę, a potem dorzucił: — Jak mogłem o tym wiedzieć? — ale słowa te wymówił nieśmiało, z pewnego rodzaju naiwnym podstępem istoty pozbawionej próżności, a jednak pragnącej usłyszeć pochwały.

Uraczyłem go hojnie.

— Czy przypuszczasz, że myśmy o niczym nie wiedzieli? Wie się o wszystkim, co dzieje się w więzieniach, myśmy zawsze o wszystkim wiedzieli. Możliwości, spotkania, załamania, bohaterstwo. Pytasz, skąd mogłeś wiedzieć, że wszyscy wymknęliśmy się? Nasze bezpieczeństwo nakładało na ciebie obowiązek zachowania milczenia wobec katów. U schyłku drugiego dnia rzuciłeś się przez okno. Gdyby nie ta szczęśliwa weranda, nie byłbyś tutaj. Gdyby zbrakło ci odwagi, i ja również nie byłbym tutaj. Widzisz więc, że wiemy wszystko.

Piotr patrzył wprost przed siebie. Po nasypie dziecko pchało małą taczkę.

— Wskoczyłem, bo bałem się, że ulegnę, — mruknął Piotr. Przyglądał się dziecku, które udawało, że opróżnia taczkę, a potem ją napełnia. — Oni mnie już prawie całego poćwiartowali. Później zostawili mnie na sześć godzin w celi, żebym wyobraził sobie ciąg dalszy. Kiedy po mnie przyszli, bałem się załamania.

Zwrócił się ku mnie i, po raz pierwszy, spojrzał mi w oczy tym dawnym swoim spojrzeniem. „A jednak nie myślałem wtedy zupełnie o was", powiedział dobitnie. Patrzył na mnie badawczo. „Myślałem tylko o nich, o moich katach, o nich i o sobie. O tym, co oni chcieli ze mną zrobić". Odwrócił głowę. Zobaczyłem, że kąciki wyblakłych ust lekko mu drżały. Zdawało się, że oczy zapadają mu głębiej, posępnieją i nabierają twardego wyrazu.

— W grę wchodziła nie tylko chęć zmuszenia nas do wyznań. To nie byli prości policjanci. Inna kryła się w tym gra. Gra okrutna, nieubłagana, prowadzona z całą premedytacją. Stawką była nasza dusza.

Ciężki wóz zatrzymał się przed nami. Wysiadł z niego tłuściutki wojskowy, pełen nonszalancji z czterema belkami na rękawie. Wysiadł, by kupić gazetę. W wozie czekała na niego niewiasta o włosach jasnych, opadających na ramiona, w stylu Hollywood. Całą jej postać cechowała pewność siebie i zblazowanie.

— Życie czy śmierć, to tak nie wiele — podjął Piotr. — Chcę przez to powiedzieć: nasze życie i po części wasze, gdyż ono po części w naszych było rękach. To było dla nich dość jasne. Od tej chwili zrozumiałem, co oni tropili. Na chwilę zatrzymał na mnie swój wzrok morskiego ptaka.

— Czy mieliście wyobrażenie o ich szatańskich zamiarach?

— Czy masz na myśli — odważyłem się wtrącić — wytępienie?

— Och, wytępienie... — Znów zrobił przerwę; tym razem rozwlekłą i spokojną. Ruch, wykonany odartą z ciała ręką, zmiótł jakby słowo. — Trup jest tylko trupem. Co więcej, żywi czy umarli, ludzie tacy, jak my, przedstawiają sobą jeszcze coś, — coś, czego śmierć nie może zniweczyć. Oni dobrze o tym wiedzieli, — powiedział jakby w zamyśleniu, a potem głosem silniejszym, lecz twardym i szorstkim dorzucił: — Wiedzieli oni to dobrze, bardzo dobrze. Chcieli zrobić z nas łachman człowieka, a łachman jest niczym — powiedział dzieląc słowa i podniósł do góry ten swój suchy nos, obciągnięty tak zniszczoną powłoką, że widziało się wyraźnie, gdzie kończy się kość, a gdzie

zaczyna chrząstka. Pod wpływem światła przymrużył trochę oczy. — Nie mówię o ciele. Ciało w strzępach... Wychodzi się z tego albo umiera. — Uśmiechnął się i powiedział: — Oto dowód. Czego nie mogli złamać, upadek zniszczył. Poza tą ręką, która jest jedną miazgą, wszystko skleiło się normalnie albo coś na kształt tego.

Przerwał, chwilę milczał z rozchylonymi ustami i ciągnął dalej: — Zdradzić nazwisko, adres? Oh! zapytuję nieraz siebie, czy naprawdę zależało im na tym — zadaję sobie pytanie, czy i nam także zależało na tym. Nie sądź — poprawił się ze spokojem — rozumiesz dobrze, że... Ale — ciągnął dalej bez żadnego przejścia — i wyciągnął chudy nos, wytrzeszczył okrągłe oczy; — naprawdę podobny był do mewy... — zdradzić je lub nie, wszystko w tym było zawarte. W tym tkwiła cała walka. Kto zwyciężył, mimo swej ruiny fizycznej, pozostawał całkowicie sobą. Lecz ten, który uległ... — Zwrócił ku mnie twarz rozjaśnioną jakimś dziwnie poważnym uśmiechem. — Ja nic nie wydałem, powiedział z prostotą. Lecz zadaję sobie pytanie, czym może być życie tego, kto zdradził swych kolegów. Jest to już tylko łachman. Istota, poniżona we własnych oczach, jest już tylko łachmanem. Tysiąc razy lepsza jest śmierć.

Myślałem o tylu naszych, których nerwy nie wytrzymały (o sobie samym, o pytaniu, które sobie tak często zadawałem, o mojej niezdolności znalezienia na nie odpowiedzi) poddałem mu myśl:

— Czy nie jesteś zbyt surowy? Upadek ducha nie jest koniecznie dowodem...

— Oh! — przerwał mi takim tonem, że po raz pierwszy poznałem i zobaczyłem odradzającą się butną wyniosłość, tę dumę wspaniałą, — tę pychę, czemu nie? — których napróżno od dwóch dni szukałem: — Mówię o ludziach takich, jak ja!

Nie otrzymałem od niego żadnego listu, ale go też nie oczekiwałem. Wsadziłem go do pociągu 15 czerwca. Krótka wiadomość od Jean-Jacquesa upewniła mnie co do jego szczęśliwego przybycia. Wszystko było w porządku, pisał. W Plenmach osądzono, że Piotr jest mniej wyniszczony, niż można było oczekiwać. Postępy „fizyczne" widoczne były z dnia na dzień. Porknąłem się zlekka na tym słowie: czy ta ścisłość określenia była celowa? Dopisek był jakby potwierdzeniem: Nicole jest szczęśliwa, pisał jej brat. Przynajmniej o tyle, o ile może nią być. Zachowanie się Piotra jest trochę dziwne.

Nie zaskoczyło mnie to wprawdzie, ale zasmuciło. Liczyłem bardzo na ten powrót. Byłem rozczarowany. Później wszystko to uleciało mi trochę z pamięci, gdyż likwidowałem z niecierpliwością wszystkie sprawy, które zatrzymywały mnie jeszcze w Paryżu. Wyjechałem wreszcie do Bretanii, aby rozgościć się na małej wysepce koło Bréhat, której nie widziałem od pięciu lat. Było to niedaleko od Plenmach, i to mnie cieszyło. Przez kilka jednak dni nie mogłem opuszczać wyspy: zbyt wiele rzeczy trzeba było doprowadzić do porządku,

przede wszystkim środki lokomocji, mój mały kuter wymagał poważnego uszczelnienia, a czółno było dosyć uszkodzone.

Czyż nie było oczywiste, że w pierwszych dniach pobytu po tak długiej nieobecności, wiele godzin spędzałem na skałach? Nie mogłem nasycić się zarówno widokiem morza, jak i wysp, tym widokiem pełnym uroku, zmieniającym się bez końca przy każdym przypływie i odpływie morza. Pewnego wieczoru, była dziewiąta, widno jeszcze było zupełnie, lecz zachodzące słońce rzucało na spokojne wody cienie skał, przeźroczyste i błękitne. Upajałem się ciszą i łagodną poświatą. Patrzyłem na wody idące ku mnie powoli z Trieux za każdym ruchem morza. Mały żaglowiec, któremu bryza nie była żadną pomocą, płynął z falami. Był daleki i pełen spokoju, patrzyłem nań z tą przyjaźnią i czułością, jakie wzbudza we mnie najmniejsze czółenko. Szedł pod światło i z początku nie dostrzegłem koloru żagli. Później zorientowałem się, że były ogniste i kiedy stwierdziłem, że fok był niebieski, zmarszczyłem brwi. Niegdyś były to barwy małego jednomasztowca Jean-Jacquesa, często go po nich poznawałem z daleka. Ale czyż to on mógł być tak późnym wieczorem? Wizyta Jean-Jacquesa, sama przez się, nie dziwiła by mnie, lubił tak do mnie niegdyś zaglądać. Ale nie o takiej porze, u schyłku dnia i to teraz, gdy zaczął się odpływ — fale zaś dotrą do Lézardrieux dopiero po upływie pełnych sześciu godzin. Jak mógł marzyć o dostaniu się do Plenmach przed nocą i to przy takiej bryzie — mając wiatr i morze przeciw sobie?

A jednak był to on. Byłem zupełnie już teraz pewny. Mały stateczek płynął w świetle wieczornym z rozkoszną opieszałością, sprawiając wrażenie spokoju i niezmąconego szczęścia, którym nigdy nie mogłem się nasycić. Tym razem jednak niepokój ogarnął mój umysł. Ta wizyta wydała mi się dziwna.

Korzystając z nagłego nasilenia wiatru, obrócono żagle i pod prąd odpływu skierowano dziób wprost na małe molo, na południe wysepki. Udałem się tam, aby pomóc przy cumowaniu. Był to istotnie Jean-Jacques. Pozdrowił mnie ręką. Zwinął żagle, podczas gdy statek płynął powoli swym szlakiem.

— Zostaw trochę luzu ze względu na przypływ — powiedział, rzucając mi cumę i przez ten czas, gdy ją przytwierdzałem, zaciągał refseringi i grotżagle. Wszystko świadczyło o jego zamiarze spędzenia nocy na wyspie.

Było to tak niezwykłe, że nie wiedziałem jakie mu zgotować przyjęcie. Przywołałem na twarz uśmiech pełen zadowolenia, lecz jednocześnie zdziwienia i niemego pytania. Utkwił we mnie badawczy wzrok, potem zeskoczył na brzeg i zdjął buty. Wstał, rzucił na mnie jeszcze jedno spojrzenie i zapytał: — Nie ma go? — tonem tak zatroskanym, że w nim już kryła się odpowiedź. — Kogo? — spytałem i naprawdę, w pierwszej chwili, zachodziłem w głowę o kogo chodzi. Wziął mnie pod rękę i zaproponował: — Chodźmy do ciebie. — Skierowaliśmy się ku domowi. Nie uszliśmy nawet dziesięciu kroków, a ja, mimo milczenia Jean-Jacquesa, byłem pewien, że chodziło mu o Piotra.

Wysunąłem mały stoliczek na gładki trawnik oraz bardzo wygodne, dwa

marokańskie fotele. Zapadała rozkoszna noc. Niebo było jasne, wiaterek prawie letni. Przyniosłem butelkę jabłecznika. Cygara przywieziono mi ze Szwajcarii.

— Co prawda, nie miałem wielkiej nadziei znalezienia go tutaj — powiedział Jean-Jacques. — Lecz mimo wszystko był jakiś cień nadziei. Głowię się, gdzie on może być.

— Kiedy zniknął?

— Dziś rano zastano jego pokój pusty. — Zdawał się być bardzo zatroskany.

— Nie mieliście chyba zamiaru zamknąć go w czterech ścianach! — zauważyłem.

— W innych okolicznościach... — zaczął z takim wyrazem jakby chciał powiedzieć „rozumie się samo przez się". Potrząsnął głową. — Wyjazd ten jest jednak dziwny, zapewniam cię.

— Czy nic na to nie wskazywało? — zapytałem.

— Nic? — powtórzył zamyślony. Może tak... a jednak nie przewidywałem tego. — Zamilkł na chwilę i powiedział: — Matka jest przerażona do głębi.

— A Nicole? — odważyłem się zapytać.

— Oh, znasz ją. Ona nie dopuszcza do siebie niepokoju. Przynajmniej (uśmiechnął się) kiedy na nią... patrzę. Broni twojej tezy: on nie jest, jak mówi, naszym więźniem.

Zapytałem bez ogródek:

— Czy ona go ciągle kocha?

— Tak.

— A on? — Strzepywałem powoli popiół z cygara. Śledził mój ruch z uwagą, jakby od tego uzależniona była odpowiedź. I powiedział:

— Dałbym za to głowę.

— A więc?

Nie odpowiadał. Zdawał się tylko sączyć alkohol z największą uwagą. Noc już nas otuliła i rozmawialiśmy jak dwa cienie. Zapadła długa cisza. Zawzięcie palił cygaro.

— Widziałeś go w Paryżu, prawda? — zapytał zwolna, a ja przytaknąłem. — Czy nie wydał ci się... dziwny?

— Pod pewnym względem — przyznałem. — Lecz...

Jean-Jacques podniósł się i zbliżając się do brzegu z rozmachem rzucił w morze resztkę cygara, które z lekka zasyczało i zgasło.

— Pod pewnym względem — powtórzył jak echo, patrząc na mnie. Stał przez jakiś czas, a potem zaczął chodzić drobnymi krokami z głową spuszczoną, rozbijając końcem buta nikłe grudki ziemi. — Pod pewnym względem. Jesteś oględny w słowach. Tak, on pod pewnym względem jest dziwny. Na przykład gdy... do stu tysięcy diabłów, i ja nazywam to pomyleniem! — wybuchnął. Zatrzymał się naprzeciw mnie, rozstawiwszy nogi. — Spodziewałem się wielu zmian, szczególniej fizycznych. Otóż akurat... zdaje mi się, żeś miał rację, dobrze wyglądał przyjeżdżając tutaj: i słusznieś zrobił zatrzymując go tam przeszło miesiąc.

— Przypuszczasz, że ja w tym byłem? — zaprotestowałem.

— W tej zwłoce? To nie ty?

— To ja go wepchnąłem do pociągu. Gdybym czekał na jego decyzję, siedziałby tam jeszcze.

Cień, który odcinał się na tle morza i nieba, na którym gasły, przed zapadnięciem głębokiej nocy, ostatnie blaski dnia, przez dłuższy czas stał przede mną milczący i bez ruchu.

— Tak — powiedział wreszcie w zamyśleniu — powinienem był domyśleć się... Ależ na-tu-ral-nie! — dorzucił jakby olśniony nagłą światłością i znów zaczął przechadzać się w jedną i w drugą stronę. — A to milczenie: jeden jedyny list. Czy wiesz, że on napisał j e d e n tylko list do Nicole, jeden jedyny? A zresztą — to miał być „list?"... Nie mogła powstrzymać się, żeby mi go nie pokazać. Biedactwo, do jakiego stopnia musiała być tym dotknięta, ażeby... znasz jej dumę, jej wstydliwość... ale nie mogła dać sobie rady z próbą, na jaką wystawił ją ten list. Co za zagadka!

Nicole, cień powrócił pomiędzy ludzi, cień, który nie ma nawet siły czerpać mocy u czystych źródeł wspomnień. Ach, daj mu trochę czasu, nie pisz tymczasem do niego, nie przyjeżdżaj. I wybacz twemu

PIOTROWI.

— Umiem każde słowo na pamięć — stwierdził i zamilkł.

Zapewne czekał, żebym odpowiedział na nieme pytanie, jakie zawarte było w tym jego niewzruszonym milczeniu.

— Dziwne, istotnie dziwne, — przyznałem w końcu. Usłyszałem coś w rodzaju stłumionego śmiechu.

— Możesz i tak to nazwać. Niepojęte. Czy to ma być zerwanie? Nie. Przeciwnie? Też nie. Po co było pisać? Albo po co, do diabła, było przyjeżdżać? Jeśli jej nie kocha... ale on ją kocha. A więc, jeśli ją kocha... to niech powie!

Odważyłem się wtrącić:

— Zdawało mi się jednak, że w chwili wyjazdu był mniej... zatroskany, bardziej zrównoważony...

— O to właśnie chodzi! — zawołał Jean-Jacques tonem pełnym zdumienia, — o to właśnie chodzi!

To było to, czego nie mógł zrozumieć, jak mi wyjaśnił. Spodziewał się zobaczyć Piotra milczącego lub ponurego, niecierpliwego albo też rozdrażnionego... lecz nie. Zobaczył wysiadającego z pociągu w Paimpol człowieka prawie wesołego, w każdym bądź razie rzeźkiego, wypoczętego. Uściskali się. Ze względu na brak benzyny musiano zaprząc stary powozik z Saint-Gouëno. W takim ekwipażu nie można w godzinę przyjechać z Paimpol do Lézardrieux, skąd jeszcze kwadrans drogi do Plenmach. Piotr chciał sam powozić: „Od pięciu lat nie siedziałem na koźle, od dwudziestu lat nie miałem lejcy w ręku!"

Jechał dobrym tempem wśród mgły i zimnego deszczu — prawdziwie bretońska pogoda. Zjeżdżając z góry, zamiast przyhamować, wypuszczał biedną szkapę pełnym biegiem i pojazd kiwał się w prawo i w lewo, na wysokich kołach i biednych resorach, piszcząc żelastwem i skrzypiąc drzewem. Piotr był zachwycony, miał to samo swoje spojrzenie, te same odruchy. „Wcale nie taki

spaczony, nie prawda?" Od czasu do czasu (kiedy koń zaczynał zwalniać) zatrzymywał staroświecki wehikuł na brzegu drogi, wysiadał i przyglądał się wrzosowisku, a raczej czemuś nieokreślonemu i bezbarwnemu, co wyłaniało się z mgły. Piotr wdychał powietrze pełną piersią i z uśmiechem na ustach powiedział: „Oto wszystko, co kocham..." Jean-Jacques miał ochotę pomówić z nim o owym liście, ale nie śmiał. Szukając zbliżenia oświadczył, że był przyjemnie zaskoczony wyglądem Piotra, ponieważ miał co do tego pewne obawy. Piotr uśmiechnął się i powiedział: „Tak, wypływam na powierzchnię. Rzeczy fizyczne i moralne idą razem, to wiadomo. Jest to kwestia czasu. Przeżyłem w Paryżu bardzo czarne dni, karmiąc się myślami jeszcze czarniejszymi. Dzięki Bogu otrząsnąłem się z nich, zostawiłem je tam wraz ze starymi łachami." Jean-Jacques przypuszczał, że przyszła odpowiednia chwila i zaryzykował: „Nicole nie może usiedzieć na miejscu od samego rana." Patrzył na Piotra, bacznie przyglądał się twarzy na poły ukrytej w cieniu czarnej budy.

Z początku Piotr nic nie odpowiedział. Uśmiech jego nawet nie ustąpił od razu. Mimo mgły jechał takim tempem, że nawet Jean-Jacques uważał je za zbyt nieostrożne. I dalej prowadził rozmowę, lecz zdawało się, że jego umysł pogrążał się w noc; odpowiadał urywkami dwuznacznych i niejasnych zdań i ociągał się, ociągał się coraz bardziej: jak wóz, który popycha się po błotnistej drodze i który grzęźnie coraz bardziej, a w końcu zakrzepnie w beznadziejnym bezruchu. Wkrótce Jean-Jacquesowi zbrakło już sił na rozruszanie go i cisza zaległa ciemny, trzęsący się wehikuł, przez którego zakurzone szyby sączył się smutny, szary dzień. Koń, pozostawiony bardziej sobie, dał wodze lenistwu, to też stuk kopyt rozlegał się rzadziej, niczem zamierający metronom. Osiadła grobowa cisza. Piotr wreszcie odwrócił głowę, rzucił dziwne spojrzenie na swego przyjaciela, mrugając oczyma. I powiedział: „Posłuchaj...", a na słabo widocznej twarzy zagościł niepewny uśmiech, pełen jakby chęci usprawiedliwienia się, czy też patetycznego błagania o zrozumienie i pomoc. Kilkakrotnie otwierał usta, zaczerpywał powietrze, jak to bywa, gdy nie można zdecydować się na mówienie. W końcu udało mu się wykrztusić: „Słuchaj... Nie dziś. Czy to niemożliwe? Nie dzisiaj wieczór. Jutro." Jean-Jacques zrozumiał go dobrze: „Zaczyna się", pomyślał i krzyknął: „Słuchaj, mój stary, ona przecież czeka na ciebie!" Piotr odwrócił głowę, spojrzał na swoje ręce: „Jestem zmęczony", powiedział żałośnie. „Chciałbym... Proszę tylko o trochę czasu, o trochę tylko czasu." Jean-Jacques nie wytrzymał: „Posłuchaj, stary..." Ale Piotr nagle, uderzeniem lejc, popędził konia naprzód z tak wyraźną chęcią niedopuszczenia do tego, co miało nastąpić, że Jean-Jacques zamilkł.

Jechali tak dalej w milczeniu, lecz tym razem Piotr powoził w półmroku, nie spiesząc się. Zdawało się, że pragnął, by noc go wyprzedziła, by miała czas zapaść i odsłonić jego przybycie. I istotnie, gdy pojazd w końcu wjechał w długą, kasztanową aleję, drzewa przesuwały się jak widma w drżącym świetle latarni.

Na zakręcie alei Jean-Jacques spostrzegł pośród drzew białą postać, minęli ją. „Nicole..." pomyślał i odwrócił się, żeby spojrzeć przez otwór w budzie.

Zobaczył ją jak biegła, podobna wśród mgły do zjawy. Ciężko wsparł się ręką na ramieniu Piotra, żeby go zmusić do zatrzymania pojazdu. Wychylił się przez drzwiczki, ale już nic nie zobaczył. Poczuł jak jego towarzysz podskoczył — ruch był nagły i odrzucił go w tył, głębiej jeszcze w cień. Odwrócił się. W obramowaniu drugiego okna ukazała się twarz Nicole, jakby chciała swym wstrząsającym spojrzeniem, pełnym nadziei i przerażenia, przebić zasłonę zakurzonej szyby. Zresztą ledwie zdołał je pochwycić („na całe życie zapewne" wyszeptał), a już Piotr Cange gorączkowo uderzył konia lejcami i prawie jednocześnie, jakby lejce ją smagnęły, Nicole zniknęła we mgle wieczornej tak nagle, że brat jej w chwilę później zapytywał się sam siebie, czy to nie było złudzenie.

„I być może uwierzyłbym nawet temu" powiedział, „gdybym jej nie widział pośród drzew, podczas gdy stara szkapa, pozostawiona sama sobie, człapała dalej, drzemiąc gdybym nie widział uciekającej i niknącej jej białej sylwetki". W kołyszącym się i wolno posuwającym się pojeździe zaległa cisza ciężka, niemal słyszalna. Ale to tylko Piotr tak oddychał. Siedział zasunięty tak głęboko, że w słabym świetle latarni widziałem jedynie jego ręce, ściskające kurczowo lejce i widoczne z oddalenia, jak dwie blade plamy. Oddychał. Zdawało się, że każdy oddech był dla niego wysiłkiem. Oddychał. Nie było temu końca. W ciemnej landarze, zniszczonej, skrzypiącej i trzęsącej, całej pogrążonej we mgle, mroku i deszczu, ten szmer sprawiał ból."

I wśród nocy ciemnej, jak atrament, jego biały sweter ledwo był widoczny i przypominał, bez głowy i rąk, jakieś popiersie greckie w głębi wód. Jean-Jacques mówił jakby we śnie. W tym mroku ciepłym i niemym, bezkreśnie niewzruszonym, dziwne obrazy wywoływane jego słowami nabierały dla mnie, słuchającego jakby przez sen, przekonywującej mocy marzenia...

Matka Piotra, uśmiechnięta i z lekka zniedołężniała, czekała na ganku. Nicole stała za nią bez ruchu w uchylonych drzwiach — niewyraźna biała postać w mroku przedsionka. Piotr zatrzymał pojazd i wysiadł. Zrobił kilka kroków i zatrzymał się u stóp schodów. Pani Cange nie poznała zrazu tej dużej chudej postaci. Później wyszeptała: „Mój Boże" i zalała się łzami. Wolno zeszła ze stopni i łkając rzuciła się na wąskie piersi syna. Piotr przycisnął ją do siebie i mówił różne czułe słowa, ale nie pocałował jej. Nie, nie pocałował, powiedział Jean-Jacques, i to był jeszcze jeden przejaw jego dziwnego zachowania, do którego, jak mówił, nie mógł dobrać klucza. Piotr mocno tulił matkę i szeptał do niej słowa czułe i gorące, ale nie całował jej. Przez cały czas nie spuszczał oka z Nicole. Patrzył na nią, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz, ja jej nie całuję." A Nicole pod wpływem tego wzroku najpierw cała się zarumieniła, a potem zbladła. I kiedy w końcu Piotr puścił matkę, młoda dziewczyna nie drgnęła. Stała tak we drzwiach bez słowa i bez ruchu, z szeroko rozwartymi oczyma. Piotr wszedł po stopniach prowadząc matkę pod rękę; potem zatrzymał się i powiedział łagodnie: „Dzień dobry, Nicole." A ona mu odpowiedziała: „Dzień dobry, Piotrze", ale, mówił Jean-Jacques, ot tak, nie

ruszając się z miejsca. Piotr czekał jakby na coś. Wtedy Nicole usunęła się z przejścia i Piotr minął ją, nie podając nawet ręki. Uśmiechał się i Nicole uśmiechała się także. Nie był to uśmiech całkowicie smutny. Był to uśmiech patetyczny — uśmiech pełen odwagi, lecz bliski łez, uśmiech kochanków rzucony z okna pociągu.

W hallu przygotowano posiłek. Piotr pod pretekstem wielkiego zmęczenia podróżą wymówił się i poszedł się położyć. Pani Cange zaprotestowała: „Jak to, nawet chwilki nie zostaniesz, nawet dziesięciu minut?" Piotr odpowiedział: „Jutro, matko, bardzo cię o to proszę. Jestem naprawdę znużony." Mówił do matki, lecz patrzył na Nicole. „Nie jestem jeszcze tak... silny..." zrobił jakiś ruch i rzuciwszy spojrzenie na Jean-Jacquesa powiedział wolno ze smutnym uśmiechem: „Miałem widać co do swych sił złudzenia, obawiam się tego..." a potem dorzucił: „Jutro będzie lepiej, codziennie jest lepiej. Potrzeba tylko czasu, jedynie trochę czasu", powtórzył, jak przedtem w powozie. Doszedł do dębowych schodów, które wiły się spiralnie i prowadziły na wewnętrzny balkon i jeszcze raz powtórzył: „Wybaczcie mi", powiedział robiąc jakiś ruch ręką, wszedł na schody i zanurzał się stopniowo w mrok. Pani Cange zaczerwienionymi oczyma chciała przeniknąć ciemności, w których ginął odgłos kroków. Jean-Jacques powiedział, że musi iść po bagaże i z prawdziwą ulgą opuścił pokój pogrążony w milczeniu.

Takie było to pierwsze spotkanie i Jean-Jacques zapytywał się głośno, czy to nie ono przypadkiem przyczyniło się do zastanawiającej niemożliwości zbliżenia się Piotra z Nicole. — A przecież oni kochają się — powiedział raz jeszcze z całą pewnością. — Do krocset, czyż ja nie widziałem... — zaczął, by znów zagłębić się w swe ciche rozmyślania. I znów je porzucił, aby stwierdzić, że nic nie rozumie. Nie, nie umiał dodać dwóch do dwóch. Mógł zrozumieć postawę Nicole; jest to dziewczyna skupiona i poważna, obdarzona tego rodzaju intuicją, która przechodzi nasze pojęcie, nas, biednych mężczyzn, spętanych logiką. Być może, że ona wszystko zrozumiała, ale nie powie ani słowa. On zaś na próżno medytował, nie rozumiał nic, zupełnie nic.

Piotr nie wychodził nigdy ze swego pokoju. Co on tam robi? Nie pisał, a biblioteka w Plenmach nie mogła mu wypełnić samotnych godzin. Robiło to wrażenie jakichś niekończących się dąsów. Schodził jednakże bardzo regularnie na posiłki, podczas których był uśmiechnięty, pełen serdeczności dla matki, przyjaźni dla Jean-Jacquesa, oraz wytwornej i pełnej szacunku grzeczności dla Nicole. Nie, nie można mu było nic zarzucić, chyba że... Taką postawę można było całkowicie uznać u kogo innego, ale nie u niego, dorzucił jakby w imię dokładności, a dla tego, kto znał Piotra, jego zapał, jego przykuwającą szczerość, jasną serdeczność, ten brak wszelkiego napuszenia w stosunkach z ludźmi, taka postawa była istotnie dziwna. Godziny popołudniowe były jedynymi chwilami, które spędzał w towarzystwie gospodarzy. To też co wieczór ktoś z sąsiedztwa przychodził winszować mu powrotu. Piotr zostawał z gośćmi, lecz jego obecność niegdyś tak podnosząca na duchu, niekiedy

tak podniecająca, była dziś dla każdego źródłem przytłaczającego zakłopotania. Zagłębiał się zwykle w fotel obity kilimem, stojący obok dębowych schodów, i starał się, co nie uszło uwagi Jean-Jacquesa, aby twarz zawsze choć trochę pozostawała w cieniu. Chude swe nogi zakładał jedna na drugą i trwał bez ruchu, obojętny i niewzruszony, jak suseł.

Zwykle i Nicole milczała. Schyliwszy głowę, reperowała zniszczoną sieć (miała nadzieję, jak brat trafnie przypuszczał, że Piotr znów nabierze ochoty do łowienia ryb) i na tego, kto do niej się zwracał, z trudem podnosiła oczy ciemne, jak oczy bobrów. Ich marzycielskie spojrzenie zdawało się drżeć i migotać, niby blask księżyca. Innym razem, opuszczając na kolana sieć o potrójnych okach, wiążącą jej ręce niczym blade uśpione gołębie, podnosiła wąską główkę o miedzianych włosach lekko lśniących w świetle lampy i rzucała w głębię, kryjącą twarz Piotra, spojrzenie, które tym razem nie było ani chwiejne ani drżące, lecz silne i niewzruszone.

W taki to sposób schodziły te dziwne wieczory. Pewnego razu Jean-Jacques stał na wewnętrznej galeryjce pokoju, gdzie zajęty był opuszczaniem pająka na prośbę pani Cange; przy szyciu potrzebowała więcej światła. Był to duży świecznik holenderski, który podnosił się albo opuszczał za pomocą sznura przerzuconego przez wałek i owijającego się naokoło jednego z prętów. W ten sposób sam będąc w cieniu, Jean-Jacques zauważył, że twarz Piotra była bardziej widoczna. Twarz Piotra...[1]) powtórzył i uśmiechnął się uśmiechem zabarwionym melancholią. Twarz z kamienia, tak. Prawdziwa twarz z kamienia, niewzruszona i zimna. Tylko te oczy. Świeciły w cieniu — mówił — jak u kota. Utkwione były w Nicole. Było to tak przejmujące, że Jean-Jacques nie mógł się ruszyć, tylko stał nieruchomo w ciemnościach oczarowany tymi oczyma, które utkwione były w Nicole. Domyślił się, że wzrok ten nie tylko w tej chwili był tak uporczywy, lecz że każdego wieczoru, tak jak dziś, każdego wieczoru od chwili przyjazdu, Piotr, korzystając z ciemności, musiał tak natarczywie przyglądać się młodej dziewczynie. Ta myśl przyprawiła go o zawrót głowy i zastygł tam, objęty mocą niepojętego wzruszenia, gdy pani Cange odłożyła robotę, wstała i poszła wraz ze swym gościem, miłośnikiem architektury, obejrzeć sklepienia piwnic w Plenmach. Po raz pierwszy młoda para znalazła się sama — a raczej myślała, że jest sama. Wtedy Nicole, opuściwszy na kolana ręce uwięzione w sieci, podniosła oczy raz jeszcze ku twarzy ukrytej w mroku. Nie mogła go widzieć, lecz być może, a nawet z pewnością, domyślała się, że patrząc szła naprzeciw tamtemu niewidzialnemu spojrzeniu. Była blada, pełna wahania, a jednak z trudem można było spostrzec lekkie drżenie powiek. W końcu powiedziała:

— Piotrze...

Jean-Jacques zobaczył, że na oczy lśniące w mroku nagle opadły powieki, jakby młody człowiek szukał za nimi schronienia przed własną słabością. Nie

---

[1]) Gra słów. Imię własne Piotr i kamień po fracusku jedną noszą nazwę: Pierre i pierre.

odpowiedział jednak, ani nie drgnął. Nicole zawahała się. Jean-Jacques widział drżenie jej palców pod siecią.

— Piotrze... czy śpisz?

Odpowiedź nie przyszła od razu, ale jednak przyszła, gorzkim wypowiedziana szeptem:

— Ja nie śpię, nie. Ja nie śpię.

Znów głos Nicole, łagodny, drżący, gorący i zrozpaczony:

— Ty cierpisz, Piotrze, a ja nie mogę ci pomóc.

Odpowiedział z prostotą: — Nie, teraz nie możesz.

— Nawet nie uścisnąłeś mi ręki, nie dotknąłeś mnie nawet palcem, — powiedziała Nicole jakoś dziwnie — ani razu.

Ku zdumieniu Jean-Jacquesa Piotr podniósł się szybko, przeszedł przez pokój, pociągając swymi ciężkimi stopami. W oczach Nicole zajaśniał przelotny błysk. Lecz Piotr zwolnił kroku, zatrzymał się, przykucnął i usiadł u nóg dziewczyny. Wziął w ręce zwisającą sieć i przesunął palce przez oka.

— Dawniej — mówiła Nicole — kładłam swą rękę w twoją dłoń, i cała w niej się mieściła.

Piotr bawił się siecią palcami, rozpostartymi jak wachlarz i zdawał się nie słyszeć. Jean-Jacques, znów zdany na łup tysiąca różnych uczuć, znalazł się na rozdrożu między bezgraniczną ciekawością a uczuciem popełniania krzywdzącej niedyskrecji. Lecz nie miał siły nawet palcem ruszyć, obezwładnił go brak zdecydowania i obawa wyjawienia zbyt późno swej obecności.

Piotr opuścił ręce, wysunął palce z sieci. Podniósł ku Nicole swą twarz ptaka morskiego, pełną trwogi.

— Czy tak samo jak dawniej lubisz zielone żabki, Nicole?

Dziewczyna wydała się nie mniej zdziwiona tym dziwacznym pytaniem, co i Jean-Jacques. Odpowiedziała niepewnym głosem:

— Tak samo.

— Ale nie mogłabyś się ich dotknąć, nie prawda? Nigdy nie mogłaś. Lubiłaś je, ale wzdrygałaś się przed ich dotknięciem.

— Tak — przyznała. — Lecz, Piotrze, dlaczego...

— Nawet końcem palca, czy tak?

— Oh! Piotrze... czy ja na tobie robię wrażenie żaby? — powiedziała, a raczej wyszeptała. Odrzucił sieć i zerwał się na równe nogi.

— Wielkie nieba! — powiedział w podnieceniu, — jak możesz nawet przypuszczać...

Wyciągnął ku niej swą zdrową rękę, ale prawie natychmiast ją cofnął, jak gdyby chciał ją ukryć pośpiesznie za plecami i drugą ręką, tą wykoślawioną, o bezkształtnych palcach, musnął czule jej delikatne, kasztanowate włosy. Nicole chciała uchwycić tę biedną rękę, ale nie stało czasu. A on potrząsnął głową, rzucając na nią tępe spojrzenie.

— Oh, Piotrze, Piotrze — szepnęła. — Czy to z powodu tej ręki? Daj mi ją, pozwól mi ją przytulić do twarzy.

Zawahał się, uśmiechnął i zwolna ją ku niej wyciągnął. Była to ręka czerwona i szpetna, istotnie straszna. Nicole przycisnęła ją do twarzy.

— Daj mi... drugą, — powiedziała z ledwie dosłyszalną prośbą, w której Jean-Jacques ze zdumieniem wyczuł lęk i obawę.

I oto Piotr stanowczym ruchem uwolnił rękę i — oddalił się. Nicole opuściła ręce, biedne rybki złowione do sieci naciągniętej na kolanach. Wolnym krokiem Piotr podszedł do okna. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w czarne niebo. Musiał czuć na swych plecach niespokojny i natarczywy wzrok Nicole.

— Nie zadawaj nigdy pytań, nigdy — wyszeptał.

Przez dłuższy czas Nicole przyglądała się blademu, zapadłemu karkowi, zanim zdołała wykrztusić półgłosem:

— A jednak trzeba ciebie wyleczyć.

Piotr odwrócił się szybko i krzyknął: — Tylko nie ty!

Oczy dziewczyny, szeroko rozwarte, lecz spokojne, spoczywały ciągle na nim. Opuścił powieki, jakby grał na zwłokę; podniósł je i usiłował uśmiechnąć się. Wreszcie z ledwie dostrzegalnym wysiłkiem powiedział:

— Niezadługo... kiedy będę miał... wszystko będzie dobrze. — Powtórzył raz jeszcze, jakby sam siebie chciał przekonać: — Wszystko będzie dobrze... zupełnie... zupełnie dobrze. — Poruszył brodą zdecydowanym ruchem — godnym politowania — i raz jeszcze powtórzył: — Niezadługo. Tak, z pewnością. — Nicole z bólem przymknęła oczy i odwróciła się.

Piotr stał oparty o okno, jego długa sylwetka wyraźnie rysowała się na tle nocy. Na wychudłej twarzy można było wyczytać, z zadziwiającą wyrazistością, nadzieję pełną dobrej woli, wzruszającą energię, której kłam zadawały usta o zapadniętych kącikach. Nicole zabrała się znów do roboty, lecz ręce jej drżały, a węzły plątały się w palcach. Wśród ciszy, w głębi mroku Jean-Jacques bał się odetchnąć.

A potem nadeszła pani Cange ze swoim gościem. Piotr żywo powrócił na swoje miejsce w cieniu. I podczas gdy jego matka i gość podjęli swą błahą rozmowę, ponownie utkwił w Nicole swój świecący wzrok cierpliwego kota na czatach.

— I nagle nie mogłem znieść tego spojrzenia — wybuchnął Jean-Jacques, i, jakby to zniecierpliwienie znów go opanowało, poderwał się nerwowo i uciekł, by popatrzeć na morze. Księżyc wstał za Bréhat i dziwne kształty skał na wyspach odbijały swe czarne sylwetki w drgającym srebrze przedziwnie spokojnych fal. Był to jakiś krajobraz przedhistoryczny, jakaś inna planeta. Ani cienia wiatru. Niebo było usiane gwiazdami:

— Istne mrowisko czułem w sobie — powiedział. — Nie mogłem tak samo oprzeć się chęci interweniowania, jak chwilę przedtem obserwowania ich. Nicole mrugała oczyma, podniosła ręce i opuściła głowę nad robotą. Piotr z lekka podniósł głowę i szukał mnie oczyma w ciemnościach. Zeszedłem po schodach i podszedłem do niego. „Chodź, Piotrze, pójdziemy się przejść. Pogoda jest wspaniała". Nawet matka, nawet gość (tego wieczoru był nim kapitan Dhoué, wiesz kto to jest, ten ze statku Dróg i Mostów) wyczuli niezwykłość

tej propozycji w takiej atmosferze. Starałem się unikać wzroku Nicole, ale czułem go jakby przyklejony do karku — łapczywy, drżący i przerażony. Piotr wyprostował założone jedna na drugą nogi i wstał powoli z wahaniem. „Dobrze ci to zrobi", powiedziałem z lekka wymuszoną swobodą. Stał tak, patrząc na mnie z ukosa przez chwilę, co mi pozwoliło pochwycić spojrzenie nader przenikliwe i żywe. Otworzył usta. „Weź szalik!" zawołała pani Cange. Piotr uśmiechnął się i poszedł, aby zdjąć z wieszaka szkocki, wełniany szalik. Zamykając za nami drzwi, zobaczyłem Nicole, niby jakąś wizję senną z rękoma i siecią przy gardle. Wyglądała jak złapana w pułapkę, jak nimfa czy rusałka, ofiara cudownego połowu, która rozszerzoną źrenicą rzuca nieme wezwanie, pełne przerażenia i nadziei.

Puste przestrzenie otaczające Plenmach, objęte ćmą nocną, przybrały jakiś niepokojący wyraz. Gdy niegdyś w dzieciństwie przebiegali je, serca ich napełniał rozkoszny dreszcz, obawa i utajone pożądanie ujrzenia zjaw lub czarów. Dziś obaj mężczyźni szli w milczeniu, owładnięci ponownie, jak wyznał Jean-Jacques, pewnego rodzaju lękiem, tak, lękiem. Lęk ten nie wyłaniał się z otaczającej ich pustki, lecz był w nich samych.

Cisza, jaka między nimi zapadła — gęstniała, i Jean-Jacques czuł, że każda miniona chwila udaremniała możność zerwania jej. Schwycił Piotra za przegub ręki w chwili, gdy ten odwrócił się twarzą ku niemu i nagle wyczytał na niej przerażenie. Było już jednak za późno, słowa same wybiegały na usta:

— Kochasz ją, prawda?

Przerażenie natychmiast zniknęło. Tak jak to się zdarza, nie wtedy, kiedy przedmiot obawy się zmienia, lecz kiedy się urzeczywistnia: bojaźń ustępuje miejsca decyzji obrony. W blasku gwiazd i wschodzącego księżyca Jean-Jacques spostrzegł, że wzrok Piotra mimo to, iż był w niego utkwiony, nikł jakby za żelazną, okienną zasłoną. Głosem głuchym Piotr powiedział:

— Nie próbuj.

Te dwa słowa wypowiedziane były takim tonem, że nasuwały inne na myśl. Ostrzeżenie przed zbędnym trudem: „Po co to? Nie odpowiem... Przestroga — rada i prośba: „Nie tędy droga: niebezpieczeństwo". Groźba: „Uważaj!" Błaganie: „Oszczędź mnie".

Młodzi ludzie stali ciągle naprzeciw siebie. Jean-Jacques był trochę zbity z tropu. Piotr nie robił wysiłku, żeby wyrwać się z uścisku jego ręki. Oczy jego znów przybrały swój niezbadany wyraz. Znów cała twarz była — z brązu. Jean-Jacques silnie szarpnął go za ramię, jak robi się z dzieckiem, które nie chce zrozumieć.

— Dur... jeden! do krocset! Czy ty nie rozumiesz, że chcę ci pomóc?

Cisza była całą odpowiedzią.

— Czy wyobrażasz sobie, że was nie widziałem?

Piotr uśmiechnął się: — Ah, tak? Wspaniale. Powinszować.

— Na Boga, ona cię kocha... To jest moja siostra! Dałbym głowę, że ty ją również kochasz. Co znaczy ta cała historia? Co zamierzasz? Do stu tysięcy

diabłów! Chodzi o istotę ludzką, o dziecko! Czy ty nie rozumiesz, że ją dręczysz?

— Tak, dręczę ją — przyznał Piotr cicho, ale wyraźnie.

— No więc!... — Jean-Jacques dusił się. — Ach! ta-a-k... no więc, ona jest silna! Ty wiesz o tym i trwasz przy swoim do licha, jeśli małżeństwo przeraża cię...

— Głupcze.

— Dobrze — powiedział Jean-Jacques. — Przyjmuję ten epitet z radością. Ale czemu to przeklęte milczenie? Wiesz, że wszystko mogę zrozumieć, ale mimo to — no co! Widzisz... to biedactwo... do stu tysięcy diabłów, tak dłużej być nie może! To tak jakbyś chciał... jakbyś nie śmiał... ani jej zdobyć ani stracić. A więc, tak dalej być nie może. Musisz ją albo zdobyć albo stracić. Jestem odpowiedzialny za... Na Boga, czy nie wykrztusisz ani jednego słowa?

Trzymał ciągle mocno rękę Piotra w przegubie. A on nie zrobił ani jednego ruchu, żeby się uwolnić. Westchnął tylko głęboko i powiedział:

— Błagam cię: później. Tylko troszeczkę później. — I nagle głosem drżącym i podnieconym:

— Czy ty nie rozumiesz, że ja jestem... o! Jean-Jacques, drogi mój bracie. Jestem podobny do... do człowieka wspinającego się po stoku góry, upartego, ale u kresu sił. On może jeszcze piąć się wyżej, lecz z zaciśniętymi zębami. Nie żądaj ode mnie, bym mówił... nie teraz. Później, kiedy będę mógł... — Zamilkł, jakby istotnie zbrakło mu tchu. Zaczerpnął powietrza dwa lub trzy razy, zanim zdołał dorzucić: — ...wspiąć się na wyżyny, skąd w końcu... w końcu... — I nagle zawołał: — Dopnę tego! Wyrwę się z tej złowrogiej doliny okrytej mgłą! Dosięgnę znów tych szczytów kryształowych, odetchnę przejrzystym powietrzem, skąpię się w tych mroźnych światłościach! Kto mi przeszkodzi?

— Kto ci przeszkadza? — zagadnął Jean-Jacques. Ta górnolotność zirytowała go. Nie wypuszczał dłoni Piotra i poczuł, że drżała. Powiedział, być może z okrucieństwem: — Podobny jesteś do Hamleta: ulżyć chcesz sercu słowami. Nie umiesz już działać.

Po raz pierwszy Piotr zdobył się na większy wysiłek, by uwolnić rękę z uścisku. Ale Jean-Jacques trzymał ją mocno. — Nie umiesz już działać! — powtarzał, czuł bowiem, że rośnie w nim gniew. — Nicole nie jest jedynym przedmiotem tej rozmowy, wiedz o tym dobrze! Nie, nie, wysłuchasz mnie do końca — upierał się jakby wyczuł w postawie Piotra błaganie. — Jesteś tu od tygodni i odmawiasz wszystkim wszystkiego. Czy wiesz o tym, że we Francji pełno jest ludzi takich, jak ty? Dziś nawet...

Jean-Jacques powiedział mi, że w chwili, gdy to mówił, miał uczucie, że lepiej byłby zrobił, gdyby był milczał. Lecz ludzie wstydzą się posłuchać instynktu, jeśli rozum nie przychodzi z pomocą.

— Robić ze siebie odludka! — ciągnął dalej. — Nie chcieć nikogo widzieć! Ci czterej młodzi ludzie, którzy byli dziś rano, czy wiesz czego chcieli?

— Mówiłem ci już... — wtrącił Piotr głosem nerwowym, jakby to, co miał usłyszeć, było groźne.

— ...Że ty nie chcesz nic o tym wiedzieć, to wiem. Chcesz czy nie chcesz, dowiesz się jednak. To w końcu nie ma sensu! — wykrzyknął ze zniecierpliwieniem pełnym gniewu i wyrecytował pośpiesznie: — Ja cię, na Boga, stamtąd wyciągnę, czy będziesz chciał czy nie. Co to byli za chłopcy? Czterej rozbitkowie z Buchenwaldu. Pełni wspomnień, któreś tam zostawił, zanim wyjechałeś do Hochswörth. Hymny pochwalne śpiewali na twoją cześć. Stawiali ci ołtarze. Byli niewyczerpani. Trzeba było widzieć twoją matkę i Nicole!... Czego chcieli? Założyli w Saint-Brieuc stworzyszenie, które grupuje wszystkich Bretończyków z obozów. Chcą ciebie na prezesa, ot co: chcą, byś ich wziął w garść, jak to robiłeś w Buchenwaldzie. I nie ustąpią, uprzedzam cię. Oznajmili mi to. Będą czekać cierpliwie. Teraz wiesz już wszystko, — zakończył i jeszcze dodał brutalnie: — twoim bezwzględnym obowiązkiem jest zgodzić się, wiesz o tym dobrze. Jesteś im potrzebny. Czy tym razem także wykręcisz się?

Piotr powiedział półgłosem: — Nie, — lecz zaciśnięte wargi chciały jakby cofnąć wymówione nieopatrznie słowo. I przez dłuższą chwilę stał jak zastygły, bez ruchu i bez słowa. A potem dziwnie wyszeptał: — Czy to jest tylko cień?— lecz było to wypowiedziane tak oczywiście dla niego samego, że Jean-Jacques bardziej jeszcze odczuł dotkliwą ciszę, tę ciszę, która okrywała dręczące wiry myśli trudnej do wyrażenia. Co znalazł Piotr w głębi tej studni niemych ciemności? W piersiach jego zadrgała głucha skarga, podobna do jęku drzewa, padającego pod ostatnim ciosem drwala; wyszeptał powoli: — Mój Boże... — tonem tak przybitym, że Jean-Jacques zastygł, zmartwiał tak, jak ten, kto widzi, że walące się drzewo może zgnieść dziecko czy psa. A potem wreszcie, po dłuższej chwili Piotr powiedział cicho: — Nigdy? — cichutko, tonem rozpaczliwego pytania i raz jeszcze do siebie, do siebie samego zamkniętego i jakby ukrytego w konsze samotności i ciszy.

Jean-Jacques zanurzył się w tę ciszę, by mu przyjść z pomocą, użył tego słowa „zanurzył", abym mógł odczuć wrażenie, jakie na nim robił Piotr: tonącego człowieka. Było to tak, jakby się zagłębiał powoli w moich oczach w stawie posępnym i zabójczym. Krzyknąłem coś, coś, co mi przyszło do głowy, potrząsając go za ramię:

— Na Boga, czy odpowiesz w końcu? Przecież nie odmówisz? Bo w przeciwnym razie co zamierzasz? Albo jeśli nie możesz inaczej — zamknij się w klasztorze! Kiedy do diabła powrócisz do życia? Kiedy wrócisz między ludzi?

— Wyrwał się z ucisku moich palców — powiedział Jean-Jacques — jakby to było żelazo rozpalone do czerwoności. Nastąpiła chwila tragicznego bezruchu i ciszy... ciszy tak ciężkiej, jak ołów. A potem wyszeptał (musiałem łowić wprost słowa na wargach): „Ani słowa więcej." I, dalibóg, nie znalazłem istotnie już ani słowa do powiedzenia. Staliśmy tak, twarz w twarz, zmienieni w posągi z soli. W końcu Piotr podniósł powoli jedną rękę i zrobił dwa lub trzy kroki wstecz. Potem zdawał się sunąć, jak krab, ku pochyłości, na wzór statku, który

zmienia kierunek pod naciskiem wiatru. Odwracając się trzymał ciągle podniesioną rękę skierowaną ku mnie i patrzał na mnie jakoś dziwnie. Po raz ostatni ujrzałem jego twarz. A potem widziałem już tylko jego oddalającą się mroczną sylwetkę; szedł tak szybko, że znikł w ciemnościach, jakby pochłonęła go noc.

Długo siedziałem otulony ciepłym mrokiem nocy letniej, rozstrząsając w cichości ducha ciemne obrazy, które rodziły się pod wpływem tego opowiadania. Zmęczenie i noc jednocześnie przyprowadziły me zmącone myśli na skraj halucynacji, a wiatr przepojony ciężkimi zapachami idącymi od morza mieszał się w tym smutnym rozmyślaniu z patetyczną walką, którą biedny Piotr staczał przez dwadzieścia dni, aby móc żyć, podczas gdy zimne odblaski księżyca przynosiły z kolei gorzkie odkrycie, że nigdy tego nie osiągnie. Gdyż, niewątpliwie, Piotr zaprzestał walki, a jego ranna ucieczka była przyznaniem się do klęski.

Nie wiem, jakie myśli snuł Jean-Jacques, w każdym razie wyszeptał zwolna w zadumie: — Durniu. Durniu, — i usłyszałem trzy krótkie szydercze westchnienia. — Nie domyśleć się, że on ucieknie! Co prawda inni także... z wyjątkiem Nicole. Och! Nicole...

Wstałem. Księżyc wysoko toczył się po niebie.

— Skąd przypuszczałeś, że on będzie tutaj?

— Zabrał łódkę. Tę, która mu służyła do zakładania sieci. Latarnicy z Bodic widzieli go tego ranka, o świcie, wyjeżdżającego wraz z odpływem. Mieliśmy nadzieję... ale zabrał za dużo rzeczy, jednodniowy połów nie wymaga tego wszystkiego, zakopie się gdzieś z pewnością. Pojadę jutro do Bréhat.

Zawahałem się, a wreszcie odważyłem się:

— Czy przypuszczasz, że interweniowanie jest nierozsądne?

— Bezczynność nigdy nie jest rozsądna.

Noc kryła mi Jean-Jacquesa, mogłem tylko domyślić się jego smutnego uśmiechu: Piotr Cange odpowiadał sam za siebie, słowa te należały do jego legendy. Głęboko odczułem ironię i gorycz.

II

ORFEUSZ

Wypił lekarstwo i zaniósł się kaszlem. Podciągnął trochę kołdrę. Patrzyłem na jego twarz równie wychudzoną, jak pierwszego dnia po powrocie. Oko jednak straciło wyraz błędnego niepokoju, który mnie wtedy tak poruszył. Odtąd w głębi oczodołów kryło się spojrzenie jasne i pogodne. Nie było ono jednak uspakajające: ten spokój, tę pogodę — osiąga się również wtedy, gdy dochodzi się do szczytu wyrzeczenia.

Wyszedłem z lekarzem.

— Czy grozi mu niebezpieczeństwo? — Nie, jeśli będzie dobrze pielęgnowany. Oskrzela nie są zaatakowane. Małe ognisko zapalenia opłucnej, ale to

nie jest niepokojące. Oczywiście, później trzeba będzie zrobić prześwietlenie. Chwilowo łóżko, pielęgnacja i ostrożność. Do kogo należy ten dom? Widok jest stąd cudowny.

— Do starego Laouëdec z Cronan. To ten, który przywiózł pana doktora. Nieraz w zimie nocuje tu, aby o świcie ściągnąć sieci. Zapewne, jeśli chodzi o komfort...

— Niech tylko chorego nie zawieje, to wszystko. Reszta... Proszę mi powiedzieć, czy teraz jest przypływ. Czy będę mógł wydostać się stąd?

— Jesteśmy tutaj na spokojnych wodach. Przepłynąć zawsze możemy. — Uśmiechnąłem się: Ta wyspa nie jest niedostępna, odludna, jak moja.

— Moim zdaniem stokroć bardziej odludna. Cóż z tego, że ma nieraz połączenie z lądem, kiedy najbliższy dom jest oddalony o milę. Zresztą, mając statek...

Weszliśmy na teren skalisty. Prowadziłem doktora pod rękę, ponieważ nie bardzo pewnie stąpał.

— Co prawda — powiedział — wrócić z Niemiec i wybrać tę... tę... pustelnię! Przyzna pan...

— Wybrał? Niezupełnie... Były także pewne okoliczności...

— Mówił mi pan, że nie chciał jej porzucić.

— To jest trochę skomplikowane. On nie chce robić kłopotu swoją chorobą ojcu Laouëdec, tutaj, w Cronan, ale chce powrócić zaraz po wyzdrowieniu. Do czasu nie chce myśleć o innym miejscu. To wszystko.

Szliśmy w milczeniu. Doktór nie czuł się pewny na tym skalistym terenie.

— Czy zaziębił się na morzu?

— Tak. Gdy pojechali z Laouëdec założyć sieci w Douvres, w powrotnej drodze złapała ich wśród nocy straszna ulewa. Brzegi są niebezpieczne, zwinęli żagle i czekali świtu na morzu. Przemokli do nitki.

— Jak się nazywa ta wyspa?

— Zdaje się, że to jest tzw. Wyspa Żydów, ale nie jestem pewien. Ojciec Laouëdec pokazywał mi ją kiedyś, zanim ją wynajął. „To je Wyspa Żydów", powiedział mi. „Tamoj kady je domek, był kiejś klasztor. Chwalić Boga nie ma go już. Nie lubię ta je ich". „Żydowski klasztor, ojcze Laouëdec? Czy jesteście pewni?" — „A tak, Jezuitów", określił dokładniej. „Nie lubię ich..." Pan doktor może teraz wyrobić sobie swoje zdanie.

Dobiliśmy do brzegu. Czekał na nas gazolinowy motorek. Ojciec Laouëdec wypatrywał nas z niecierpliwością.

— Pan Piotr nie jest ciężko chory?

— Nie bardzo. Mimo wszystko byłoby mu lepiej u was, w Cronan — powiedział doktór. Uparty jest jak kozioł.

— A jednak, a jednak — wykrzyknął wieśniak tonem pełnym rozpaczy — a jednak to nie jest dobrze. On gadał, że nie chce, coby moja stara miała utrapienie. Ale ja, do ciężkiej cho...

— Trzeba, żeby dobrze się odżywiał — powiedział doktór.

— O! nie ma o czym gadać. Kużdego dnia zaciągam więci. Przynoszę mu wszystko, co trza.

Doktór wziął go do swego wozu i odjechali.

Wiatr wzmagał się. Ze wschodniego zmienił się na południowo-zachodni. Chmury szybko się gromadziły. Wydawało mi się, że przezorniej będzie zmienić miejsce zakotwiczenia. Wyszedłem na pokład i skierowałem mój kuter pod wiatr idący z wyspy. Zakotwiczyłem go solidnie, a potem udałem się powoli w kierunku starej budowli położonej pośród jeżyn i jałowców. Okiennice z lekka trzaskały. Umocowałem je i wszedłem do wiejskiej izby, gdzie leżał Piotr.

Była to izba bardzo ciemna, choć ściany były wybielone wapnem. Lecz sieci, sprzęt rybacki, cały asortyment bierwion na maszty, wioseł, lin, garnków ze smołą, starych żagli i cała masa innych nieokreślonych przedmiotów zawalała ściany i podłogę, zasłaniając i tak słabe światło, które sączyło się skąpo przez jedyne wąskie i niskie okienko.

— Czy chcesz, żebym zapalił światło?

— Jestem dość ubogi w świece — powiedział Piotr. Łóżko jego stało w głębi alkowy i było zupełnie w cieniu. Ledwie widziałem jego twarz na poduszce. — Połóż tylko zapałki w pobliżu, zapalę za chwilę, jeśli będę potrzebował. A teraz uciekaj, nim noc zapadnie.

— O, nie. Dobrze mi tutaj.

Byłem więcej niż pewien, że nie jest zadowolony. Lecz nie troszczyłem się o to.

— Ależ to jest szaleństwo! — zawołał. — Nie ma potrzeby!... Jestem mocny jak dąb. Dla kataru... Ten poczciwy krzykacz Laouëdec musiał narobić krzyku!

— Wybacz, ale tak wyglądasz, że można rozumieć jego obawy. Ponadto od trzech dni szukamy cię po wyspach. Odnalazłeś się. Oszczędziło mi to niepotrzebnych kłopotów.

Obawiam się, że nie mówiłem tego uprzejmie. Piotr leżał bez ruchu. Głowę miał wtuloną w poduszki.

— Przypuszczam — powiedział w końcu głosem bezbarwnym, nie poruszając się — że macie zamiar leczyć mnie i wyleczyć i może przywrócić do życia?

— Nie mam żadnego zamiaru.

Leżał ciągle nieruchomy, bez drgnienia, jak umarły.

— Nie pójdę tą drogą — powiedział.

Nie odpowiedziałem. Usiadłem na skrzynce i oparłem się o ścianę.

Cisza trwała niezmiernie długo. Dzień gasnął za oknem, mienił się złotem i purpurą. Wiatr przybierał na sile, jęczał wśród dachówek, śpiewał wśród krzaków jeżyn, morze rozbrzmiewało głuchymi pomrukami. Ta monotonna wrzawa była także ciszą. Ciemny pokój był jakby ciszą w ciszy.

Piotr poruszył się trochę — troszeczkę. Powstrzymywał się od ruchu, czułem to. Kilkakrotnie usłyszałem nerwowy szmer idący od łóżka, lekkie mlaskanie świadczące o tym, że język odkleja się z trudem od podniebienia. W mię-

dzyczasie nic. Trwało to długo. Nie poruszałem się. W końcu, — w końcu, nie wytrzymał i wyszeptał:

— Idź już!

Nie drgnąłem. Czułem pewnego rodzaju podniecenie połączone z niepokojem, jaki się odczuwa, gdy po długim wysiłku cierpliwości wystawionej na próbę, otrzymuje się zapłatę.

Piotr poruszył się jeszcze i powiedział głośniej:

— Idź już, błagam cię.

Odpowiedziałem:

— Nie licz na to.

Uniósł się, wsparł się na łokciu, wyciągnął ku mnie swą twarz zgłodniałego ptaka:

— Czego chcesz ode mnie? — dorzucił zduszonym głosem. Nic nie odpowiedziałem i nie poruszyłem się. Siedziałem w najciemniejszym kącie izby, wśród bierwion, masztów i sieci. Widziałem, że nie mógł mnie widzieć, zaledwie domyślał się, gdzie jestem.

Głowa opadła mu głęboko na poduszkę. Wyglądał zupełnie na zmarłego.

— Nie możecie zostawić mnie w spokoju? — wyszemrał po chwili. Uważałem, że chwila nadeszła i powiedziałem wyraźnie:

— Nie.

Odczekałem chwilę. Nie poruszył się. Powiedziałem:

— Czy nie uważasz, że dość już jest trupów? Czy sądzisz, że Francja ma za dużo dobrych synów? Ty nie chcesz, mówisz, iść tą drogą, nie chcesz powrócić do życia. Jakie miano dajesz tej odmowie, temu upadkowi ducha?

Westchnął, — wyglądał na wyczerpanego:

— A więc to tak?

Powiedziałem:

— Tak, to tak.

Dużo czasu upłynęło, zanim udało mu się wymówić ni to głośno, ni to cicho — raczej cicho niż głośno:

— Uważacie mnie za człowieka bez woli, czy tak?

Nie odpowiedziałem: była to jednak odpowiedź i prawdopodobnie najgorsza. Piotr powiedział spokojnie:

— I ja nim jestem. Tylko... — Zdawał się zastanawiać nad dalszym ciągiem: — ...Jak zrobić, kiedy obowiązek każe nim być, kiedy tchórzostwo i uczciwość idą w parze?

Powiedziałem:

— Złudzenie. — Zawahałem się chwilę i dodałem: ...albo wykręt.

Trafiłem w sedno. Poderwał się na łóżku, zdawało się, że wyskoczy z niego.

— Wykręt? Jak śmiesz... co wiesz, aby... — Uspokoił się tak samo nagle, jak się uniósł — Oh! powiedział zupełnie naturalnym głosem: macie prawo tak myśleć. Macie pełne prawo.

Byłem zbity z tropu. Zdawało mi się, że chwyciłem garść rtęci. Ale czekałem.

Piotr opadł na poduszki i czułem, że jest u kresu znużenia, poza którym wszelka wola w końcu abdykuje i poddaje się.

Na dworze niekończący się szum nabrzmiewał różnorodnymi dźwiękami. Deszcz młócił po dachu z usypiającą jednostajnością. Spiętrzone fale uderzały o skały głuchym grzmotem. Wiatr szturmował do murów z opętaną cierpliwością. Moje własne nerwy cierpiały na skutek tego zgiełku. „Bez końca powtarzającego się"; ale on szedł ręka w rękę ze mną, — przeciw Piotrowi. Zdawało mi się, że czuję jak on wolno, wolniutko traci grunt pod nogami, jak daje się wolniutko, bez żadnego oporu, unosić przez otaczające go fale zmęczenia i posłuszeństwa.

Zobaczyłem, jak zwolna przesunął dłonią po twarzy. Wydał jedno jeszcze kurczowe westchnienie. Później drugie, spokojniejsze, pełne raczej rezygnacji i ulgi, niż niepewności i udręki...

Poddał się.

— Czego chcesz? — zapytał słabo.

Rzuciłem się do wody:

— Co się stało w Hochswörth?

Nie drgnął nawet. Czy spodziewał się ciosu? Słowa moje padały, jak kamienie w głąb studni: woda niema i czarna i zamyka się, lecz poruszana jest z pewnością przez gorączkowo krążące i krążące fale, których nie można jednak ani dostrzec, ani usłyszeć.

Czekałem. Serce miałem ściśnięte.

Piotr mówił obojętnym głosem, do tego stopnia pozbawionym wyrazu, jakby przekroczył granice rozpaczy:

— Straciłem tam miano człowieka.

Nie życzę nikomu, aby usłyszał kiedykolwiek podobne słowa. Nie wiem, czy niebo nagle pociemniało, czy też to było złudzenie: zdawało mi się, że ciemności w okamgnieniu zalały najodleglejsze zakątki i tak mrocznego pokoju, głęboko otulonego zmierzchem. A tam, zlana z ciężkim mrokiem alkowy, ta postać bez ruchu, ta głowa zagrzebana w poduszki z makabrycznym stygmatem śmierci na czole... Czy dlatego przyszła mi nagle dziwna myśl: „Oni go zabili..." I zaczął głosem z zaświatów, który zdawał się sączyć jak szmer z głębi mroku:

— Wiesz, skąd przychodzę. Wiesz to, a raczej zdaje ci się, że wiesz. Mówicie: z Piekła. — Wyczułem jakby drwinę. — O, tak: Piekło!... Ogień, siarka, męczarnie wieczyste... co to znaczy?

Ciężko mi było słuchać go. Wiatr, burza... tak, bez wątpienia. Lecz nade wszystko moje serce. Bolały mnie piersi. Krew mi szumiała w uszach.

Powtórzył powoli, półgłosem:

— Co to znaczy? Ból, zimno, głód... Powiem ci: to straszne, ale to można znieść. Tak, wystarczy tylko... wystarczy tylko wyrobić w sobie duszę dość twardą. Rozumiem przez to: duszę taką, jak brylant, który nie da się ukruszyć.

Duszę kamienną, to jest schronienie nienaruszalne. — Powtórzył powoli, tonem nieosobowego stwierdzenia: — Nie-na-ru-szalne.

I podjął: — Bito mnie, tłuczono, katowano. Pałką, żelaznym drągiem. Dwadzieścia razy katowano mnie do zatraty... ale nigdy na śmierć, zatrzymali się zawsze w porę! — krzyknął głosem tak nabrzmiałym urazą i wściekłością, że zadrżałem. Można znieść razy, pałkę, — powiedział ze spokojem. — Jest to tylko kwestia zamknięcia się w sobie. Każdy ma swoją metodę: jeden recytuje w duchu Wergiliusza. Drugi się modli. Ja... — poruszył się z lekka: — ...ja ukułem sobie brewiarz: rodzaj inwokacji, litanię ludzi, których uwielbiam. Brutus, Louis Blanc, Robespierre ...Szlachetny Bonchamp, fanatyczny Lenin, Pascal, Sokrates, Kopernik. Myślałem usilnie o Richelieu, który konał powoli, a jednak ciągnął bez chwili słabości swą wytężoną pracę... O Renoirze sparaliżowanym a malującym pędzlem przywiązanym do powykrzywianych rąk światłość i radość życia... o Guillaumet, zagubionym w lodowatych pustkowiach Andów, zmarzniętym, złamanym, ślepym, lecz posłusznym swemu rodzinnemu obowiązkowi i idącym, idącym w burzy i śniegu ku śmierci... Tej dziedziny — granic tej dziedziny — nikt nie może przekroczyć. Oh! można tam umrzeć! Bogu niech będą dzięki — tam można umrzeć. Kto tam umrze, jest jeszcze człowiekiem...

Usłyszałem jak się poruszył. Łóżko zaskrzypiało.

— Umrzeć jest łatwo... Przynajmniej — wyszeptał jakby dla siebie samego (tu westchnął), — tak się zdaje... Wmawia się w siebie: — Nikt nie może wydrzeć mi tej swobody. Nie zepchną mnie nigdy tak nisko, żebym nie mógł w porę porzucić tej drogi. Tylko... — Nagle zawołał głuchym głosem, w którym drżała wściekłość: Psy! Psy! Czy oni o tym wiedzieli? Czy posiedli tę wiedzę szatańską? — I ciągnął dalej żywo i z goryczą: — Zadaję sobie pytanie, zadaję sobie pytanie, czy nie igrano z nami tak głupio, tak beznadziejnie głupio, czy nie wodzono nas na ślepo, łudzono, oszukiwano, jak byka na arenie... Czerwona płachta, chorągiewka, to wystarczy... to samo setki, tysiące razy, wystarczało to zawsze... Zwierzę rwie się, atakuje, broni się, opiera, buntuje, zużywa, wyczerpuje... i nagle jest już wyzute ze sił, złamane, istna bryła odrętwiała bez woli, bez władzy... nędzna figurynka, igraszka torreadora... Kiedy i jak się to stało? W jakiej chwili straciło ono kontrolę nad swymi muskułami i swym instynktem? W jakiej chwili, w jakiej sekundzie? Kiedy przestało być bykiem i przeistoczyło się w wołu? A my, a my? Kiedy przestaliśmy być istotami wolnymi, istotami, które mają jeszcze prawo wyboru — kiedy przestaliśmy wybierać śmierć, kiedy przekładać nicość nad upodlenie? Kiedy? Na jakim punkcie pochyłości? Którego dnia, o której godzinie?

Od jakiegoś czasu burza szalała gdzieś w dali. Kilkakrotnie szyby zajaśniały jakąś niewyraźną światłością, zbyt oddaloną jeszcze, by móc oświetlić pokój. Blask bliższej błyskawicy oświetlił ściany, sufit i alkowę. Powstrzymałem okrzyk. Ta olbrzymia postać, odarta z ciała, siedząca na brzegu łóżka, cała biała, ta maska śmiertelna, to ciało z lekka zgięte, istna zjawa... Przed chwilą zdawało mi się, że leżał wyciągnięty, bez ruchu, jak umarły... To nieoczeki-

wane widmo przeraziło mnie, jak starą kobietę. Miałem czas także zobaczyć jego matowe ręce, zaciśnięte kurczowo między kolanami.

— Pierwsza pomyłka byka, to wiara w walkę. Wiara w rzetelność walki, wiara, że zachowując się przy życiu, opóźniając nadejście śmierci, przeciwstawia się zamiarom wroga... Okrutna naiwność! Jego śmierć nie wiele znaczy. To co jest ważne dla jego oprawców, to jego upadek, ten stan kiedy będzie rzeczą godną pogardy, którą wystawia się na pośmiewisko... Doprowadzić go do tego, by niepostrzeżenie utracił godność zwierzęcia dzielnego i dumnego, a przyjął nikczemną poddańczość wołu... Gdyby odmówił walki... zaprowadzonoby go do klatki, a potem do rzeźni. Wtedy zniweczono by jego zamiary... to... szatańskie...

Przerwał mu atak kaszlu. Kaszlał długo i z trudem. Powinienem był ułożyć go na łóżku. Nie miałem dość siły woli. Nie jestem nawet pewien, czy pomyślałem o tym. Byłem skamieniały, zahipnotyzowany.

— Zwierzęta prowadzi się zwykle do rzeźni. Dobre są na mięso. Najlepsze. — O, te tylko są warte, by je zarzynano. Nie zrozumiałem, nie zrozumiałem, że Hochswörth był jednocześnie rzeźnią i cyrkiem. Potrząsano czerwoną płachtą, wbijano czerwone chorągiewki: selekcja prędko była zrobiona. Rzeźnia funkcjonowała dniem i nocą, ale nie dla nas. Nie-dla-nas! — wykrzyknął z taką rozpaczą, że miałem ochotę zatkać sobie uszy. — O ślepcze, nieszczęsny, dumny ślepcze! Czy nie wiedziałem o tym od pierwszego dnia, od chwili, gdy pokrzyżowałem im ich diabelskie machinacje, rzucając się przez okno? Czy nie wiedziałem, że potrzeba im świadków, coraz więcej świadków dla ich nikczemnego zwycięstwa? Dla okrutnego zwycięstwa? Dla okrutnego zwycięstwa pogardy, odrażającej wiedzy, która ma pogardę za cel, a człowieka za sposób? Zwycięstwo straszne, ale kruche, bez końca uprawiane. Czy nie wiedziałem także, że trzeba im było bez końca, bez końca, nigdy dosyć, bez końca i bez końca udowadniać wobec siebie samych, że człowiek jest godny pogardy? Otóż, jaki jest dowód bardziej oczywisty, niż poniżenie istoty szlachetnej aż do ostatnich granic podłości? Wiedziałem o tym, wiedziałem o tym! A jednak zagrałem w ich karty. Wierzyłem, o nędzny głupcze, wierzyłem, że będę mógł ich pobić własną ich bronią. Nie zrozumiałem podstępu niosącego rozkład, a ukrytego w czerwonej płachcie i chorągiewkach. Walczyłem, trzymałem się, opierałem, nie chciałem im zrobić służalczej ofiary ze swej śmierci. Myślałem: „Jeszcze mogę stać. Później. Mam czas." Nie czułem, jak ubywało mi sił, a już ich nie miałem...

W pokoju zrobiło się potwornie duszno. Czułem się przytłoczony i cały lepki. Gdzieś w pobliżu uderzył piorun i deszcz zaczął bić w dach ostrymi falami. Doznałem ulgi.

— Z każdej próby — ciągnął Piotr — z każdej próby, myślałem, że wyjdę zwycięsko. Razy, niekończące się apele na śniegu i lodowatym wichrze, okrutne znużenie na skutek próżnego dźwigania niepotrzebnych ciężarów, — mówiłem ci: odmawiałem swoje litanie i nigdy się nie ugiąłem. Podszycia lasów, w któ-

rych nurzało się aż po brzuch i które trzeba było oczyścić gołymi rękami w kucki, zbici wedle rozkazu w gromadę plugawą i śmieszną, na oczach kobiet po drugiej stronie drutów; te prace poniżające, to wyryte piętno upadku, to wszystko było jakby poza mną i nie dotykało mnie. Głód, stopniowy zanik sił, wyczerpanie — pragnienie śmierci, to wszystko. Śmierć... zżyliśmy się z nią. Co ci może zrobić śmierć wcześniejsza czy późniejsza, gdy jest twoją towarzyszką codzienną? Pięć razy wysyłano mnie do komory gazowej. Pięć razy — powtórzył powoli, abym mógł dobrze zrozumieć znaczenie słów. Zrywano nas o północy. Dawano nam mydło i ręcznik, wedle zwyczaju, i stało się to oszustwem tak nędznym, że w końcu śmieliśmy się z tego... Tak, podżartowywaliśmy sobie: przekroczywszy pewne granice, dziwnie jest łatwo kpić i śmiać się z własnej śmierci. Ogałacano nasze biedne ciała. I szliśmy do ogonka. Tak, do ogonka, aby przekroczyć śmiertelny sklepik, gdzie nam udzielą wreszcie spokoju i snu... Poszła pierwsza partia. Później druga. Czekaliśmy na swoją śmiertelną kolejkę. A potem zatrzaskiwano nam drzwi przed nosem. Trzeba było ubierać się po omacku i wracać do baraków. Budzono się z agonii. Aż do następnego razu.

Powtórzył dziwnie naturalnym głosem: — Mordowano mnie pięć razy w przeciągu ośmiu miesięcy.

Burza była teraz akurat nad nami. Seria grzmotów z silnymi, oślepiającymi błyskawicami, napełniła mi uszy i oczy. Zobaczyłem, że Piotr wstał. W swej białej pyjamie, zbyt obszernej dla jego wychudłego szkieletu, podobny był do nędznego, mizernego Pierrota. Chodził po alkowie jak niegdyś po swej celi we Fresnes: trzy kroki wzdłuż, jak dzikie zwierzę w klatce. Błyskawica oświetlała go od czasu do czasu, utrwalała mi go w oczach, jak w migawce i nadawała jego długim, wychudłym członkom dziwaczną i niepokojącą postawę szkieletu.

— Ostatnim razem... — powiedział i wydało mi się, że głos jego zadrżał — było to... na jakiś czas... kilka zaledwie tygodni przed oswobodzeniem obozu. Wiedzieliśmy dobrze... wiedzieliśmy dobrze, że nadchodził dzień... być może nie taki bliski jeszcze... w każdym bądź razie... żeby miano pozostawić nas przy życiu, było to tak absurdalne przypuszczenie... — Przerwał i zakaszlał. Nie wiem czemu jego kaszel nie wydał mi się zupełnie naturalny — tak jakby chciał zyskać na czasie. — ...Był to ostatni ogonek, ostateczna likwidacja, tak mi się zdawało... zdawało mi się tak, oczywiście... Był dłuższy, niż zawsze i utworzył się wcześniej. Tym razem nie stałem daleko od drzwi. Od dziewiątej godziny nic nie jedliśmy. Nic, zupełnie. A piliśmy tylko to, co się dało, z brudnych kałuż. Staliśmy tam goli i drżący, zbrukani, ohydni, trzymając się nie wiadomo jak na naszych pożałowania godnych kikutach. Tym razem wszystko było pomieszane, nie tylko tacy, jak ja... Była to wielka partia skazana na spalenie. Jęk i płacz... Widowisko istotnie dość... dość... podłe. Byłem jakby we śnie, doszedłszy do tego stopnia... tego stopnia... rozszczepienia umysłu... że nie mogłem nawet wzbudzić w sobie uczucia... Żalu... czy też ulgi... Nic. Żadnego zniecierpliwienia ani obawy. Nic, pustka. Wół, wół, u drzwi rzeźni. Czy zdawałem sobie z tego sprawę? Nie wiem już. Być może tkwiło

we mnie... tak, coś w rodzaju pozoru, cienia... zadowolenia, dumy (zaśmiał się szyderczo)... wreszcie zadowolenia, że dobiłem do kresu bez upadku. Nigdy w przeciągu trzynastu miesięcy, nigdy, pomimo bicia i groźby śmierci, nie poddałem się, nie zgodziłem się na... tknięcie nawet włoska kolegi. Dziesięć razy porzucano mnie skatowanego na ziemi po... po takiej odmowie. Umierałem, tak trzeba było. „Śmierci, gdzie twoje zwycięstwo?" Nie byłem zwyciężony.

— Czy ja to tak wszystko jasno widziałem? O, nie, bez wątpienia... Był to... jakby osad... na dnie wyrzuconej butelki... jeśli się poruszy butelką, wychodzi na powierzchnię, w przeciwnym razie pozostaje na dnie, ale... wiadomo, że tam jest. To wszystko. Czekałem i głowa moja była pusta... To, co widziałem, wydawało mi się... natrętną zmorą, lecz zmorą innych, tą zmorą, która was nie dotyczy.

— Staliśmy w ogonku wzdłuż brudnego muru, a z drugiej strony... inny mur... to były piece. Znajomy widok dla mnie. Było to po raz piąty, prawda? Nie patrzyłem wcale — po co? Co chwila więźniowie, popychając wózek pełen trupów, przychodzili, aby go opróżnić. Śmierć naturalna — tyfus, gruźlica, wycieńczenie... Stos rósł.

— Wówczas...

— Zobaczyłem olbrzymiego SS-mana tuż koło siebie. Powiedział: — Ty — tutaj... Nie pojąłem zrazu, nie zrozumiałem. Popchnięto mnie — koledzy. Wziął mnie za ramię, pchnął tak silnie, że znalazłem się o jakie dziesięć kroków bliżej pieców. Podszedł, nie spiesząc się. Wskazał na stos trupów, żałosny stos ścierwa ludzkiego. „Władujesz je do pieca".

— Pomyślałem (z trudem): „Dobrze". To, czy coś innego... wiesz, ciało.. zwłoki... prędko tam się człowiek nauczy brać je za to czym są: kupą gnijących komórek. „Duch subtelnieje w bólu". — Przede wszystkim staje się jedyną rzeczą, którą bierze się w rachubę. Wyłączną. Jedyną godną szacunku i miłości. Tysiąc razy więcej warte są prochy, gdy duch opuścił tę biedną bolesną powłokę, niż żywe ciało w rozkładzie plugawym i smrodliwym... Wziąłem w ramiona te żałosne szczątki, odarte z ciała, wysuszone, dziwacznie pokręcone i niezgrabne tak, że z ledwością zdawałem sobie sprawę, iż podnoszę ciało ludzkie... a jednak... czy moja biedna powłoka w swej odrażającej nagości lepiej wyglądała? Niewiele... Umrzyk podnoszący drugiego umrzyka... Podnosiłem go z trudem, sapiąc i stękając, do tego stopnia wyczerpywał mnie najmniejszy wysiłek. Rzuciłem go, jak mogłem, na coś w rodzaju wózka, który jednym ruchem można przeważyć i wrzucić ładunek w otwartą otchłań pieca... I wtedy właśnie... wtedy, gdy on tam leżał, na plecach... zobaczyłem...

— Twarz jego była mi znana: jak mógłbym ją zapomnieć? Więcej niż miesiąc byliśmy razem skuci tą samą gehenną. Wlekliśmy we dwóch rodzaj noszy naładowanych kamieniami. Musieliśmy bez przerwy przechodzić tą samą drogą między dwoma barakami. Na rogu jednego z nich dzień w dzień czekał na nas dozorca więzienny, był to chłopiec piętnasto lub szesnastoletni. I tam, niezmiennie, spuszczał swą pałkę na czaszkę tego z nas, który był na przedzie. Za każdym nawrotem zmienialiśmy miejsce, aby otrzymać tę samą ilość ra-

zów... Biedny stary, zmarło mu się przede mną. Patrzyłem na jego twarz wynędzniałą, przy której moja wydałaby ci się tłusta. I wtedy...

Drgnął, jak koń przed przeszkodą. Wysiłek, który zrobił, był tak widoczny, że wydawało mi się, iż spięto mnie ostrogami. I podjął znowu głosem bezbarwnym, drżącym i głuchym:

— Otworzył wtedy oczy. Powieki powoli odsłoniły mętne oczy, oczy wyblakłe, bezbarwne. Tak. I spojrzał na mnie. Zobaczył mnie. Poruszył nawet trochę ręką i nawet... ach... spróbował, udało mu się... cień uśmiechu rozchylił mu wargi. Było to straszne i nadzwyczajne, straszne i wstrząsające, lecz dla mnie było tylko straszne, straszne, straszne, przeraźliwie straszne. Zrobiłem krok wstecz, odwróciłem się. Wielki SS-man stał z rękoma w kieszeniach i nahajką pod pachą. Uśmiechał się. I powiedział: „I cóż?"

— Nic nie odpowiedziałem. Próbowałem przecisnąć się między nim a wózkiem, żeby stanąć w ogonku, żeby czekać śmierci na swoim miejscu, u drzwi komory gazowej. Schwycił mnie za ramię, rzucił na piec. Parzyło, nie mogłem powstrzymać się, żeby nie zawyć. Ramię miałem całe przypieczone. Wielki SS-mann trzymał mnie na odległość nahajki. Powiedział do mnie: „Pakuj go do pieca. Natychmiast. Inaczej..." popatrzył na mnie chwilkę oczyma bezlitosnymi i drwiącymi i pchał mnie w stronę pieca, w kierunku ognia rozżarzonego i syczącego: „...pójdziesz w ogień, ty sam". Ponieważ nie zdawałem się rozumieć, krzyknął: „Ty, i ty tam!" I zobaczyłem twarze dwojga ludzi w ogonku, dwóch biednych istot napoły doprowadzonych do stanu zdziczenia, zobaczyłem ich twarze rozjaśnione bezwstydną nadzieją. Zrobili jeden krok. Byłem bardziej... bardziej słaby, niż przypuszczałem. Moje biedne kulasy ugięły się pode mną. Upadłem. Ach! oni wiedzą, jak cię podnieść jednym uderzeniem batoga, nawet gdybyś był trupem! „Pakuj go do pieca, natychmiast! — ryknął. — Albo..." Przygwoździł mnie do wózka, wbijając nahajkę w bok. Byłem zbyt blisko otworu pieca, płomienie syczały tam i wirowały, nawet w tej odległości żar był straszny. SS-mann powiedział: „Nie?" Dał znak dwom ludziom, którzy do połowy podnieśli ręce, jak dwa goryle... Piekielny żar palił mi plecy... zaczęli się zbliżać, najpierw powoli, bo nie byli bardzo pewni... SS-mann śmiał się... Zobaczyłem jak biegli...

— Oto wszystko — powiedział głosem tak cichym (to było tchnienie) i tak dziwnie spokojnym, że dreszcz mnie przebiegł. — Znalazłem się z pustym wózkiem w rękach... Straszny krzyk, przeraźliwy krzyk ucichł, w ogniu ciało przypiekało się, gotowało, trzeszczało i zacząłem czuć odór... SS-mann powiedział: „Tak, dobrze... następny". Włożyłem następnego. Zdaje się, że ten był nieżywy, naprawdę nieżywy. Ale to przypadkiem. Inni także byli nieżywi — lecz co to zmienia... — wykrzyknął z jakimś skomleniem, w którym głos mu się załamał, — i krzyczał dalej głosem złamanym, zachrypłym, gorączkowym: — ...gdy dla uratowania siebie wrzuciło się do ogniska człowieka, przyjaciela, kolegę, którego oczy na was patrzyły i którego uśmiech... uśmiech... uśmiech...

Niech Bóg mi oszczędzi usłyszeć ponownie ów dziwny bełkot, który zdusił końcowe wyrazy. Nieznośna mieszanina łkań, słów bez związku, nieartykuło-

wanych dźwięków. Słyszałem: „Och... och... och...“ i w blasku, w niknącym świetle burzy, która oddalała się w stronę wysp anglo-normandzkich, zobaczyłem, że rzucił się na łóżko, wtulił twarz w poduszkę i huśtał nią to w jedną, to w drugą stronę, jak małe, zrozpaczone dziecko.

A ja, w swoim kącie, pośród sieci i lin, i starych, połamanych krokwi, poddałem się słabości łez. Płynęły one cicho, nie ocierałem ich i nie próbowałem nawet zatrzymać. Przerażały mnie uczucia, które odczuwałem: ponad litość, ponad tkliwość braterską, jaką wzbudzało we mnie tak straszne nieszczęście, wzbierało nieznośne uczucie mdłości i dziwnego wstrętu, przeciw którym daremną musiałbym stoczyć walkę. Nierozumna odraza, podobna do tej, która owładnęła mną pewnego dnia, gdy jeden z mych przyjaciół, dając mi w ręce dziwną okładkę, powiedział nagle: „To jest ludzka skóra...“ Ten wieczór był tak ohydnie niesprawiedliwy, że pragnąłbym zmusić się i wstać, wziąć w ramiona i uściskać tę biedną zamordowaną istotę — nie mogłem. Przyszła mi wtedy na myśl Nicole, — Piotr i Nicole, ich miłość. I zrozumiałem.

— Wybaczcie mi — usłyszałem nagle. — Czy nie jest to niegodna słabość... moje nerwy nie są jeszcze zupełnie mocne... Bądźcie tak dobrzy wziąć to pod uwagę.

Znacie teraz najgorsze. Pełniłem ten zawód przez siedem tygodni. Wrzucałem do pieca setki ciał — może tysiące. Przeważnie byli to zmarli, lecz prawdopodobnie nie wszyscy. Nie sprawdzałem. Było mi to nad wyraz obojętne. Czasem, po całej serii trupów sztywnych i zimnych, trzymałem w swych rękach ciało jeszcze ciepłe, z resztkami życia. Co za różnica? Jedno czy dziesięć tysięcy, co za różnica? Było za późno. Powtórzył zwolna i gorzko: — Za późno... — i jeszcze raz, twardo i z naciskiem, jakby zwracał się do kogoś, kogo chciał ukarać: — Za-póź-no. — I znowu podjął głosem bardzo wolnym, bardzo cichym i przytłumionym: — Ro-zu-miecie? Mogą być... są ruchy straszne, ruchy nieodwołalne... których wszystkie zapachy arabskie... Zrobi się taki ruch i... za późno. Na zawsze za późno. — Umilkł i słyszałem go, jak długo oddychał z trudem, oddychał spokojnie, ale z trudem jak ktoś w głębi ciemnego pokoju pogrążony w niespokojnym śnie.

— Przez cały ten czas nie byłem nawet nieszczęśliwy — podjął znowu i głos jego wydał mi się zabarwiony nieznośną ironią. — Byłem tak pewny... było dla mnie oczywiste, że to jest tylko głupie odroczenie własnej śmierci. Żeby ciało moje przeszło z kolei przez rozwartą otchłań pieca, była to kwestia dni, — kwestia, która zależała tylko od humoru dozorców. W owym okresie zajęcie to czyniło mi życie nie tak bezdennie nędznym: spałem na sienniku, mogłem się myć, włosy mi odrosły i przynoszono mi do jedzenia rzeczy, które bardziej przypominały pokarm... Tak, przyjąłem to dodatkowe poniżenie. Było mi wszystko jedno. Wszystko jedno, wszystko jedno, wszystko jedno, — powtórzył, jakby gniótł orzechy zębami. — Na koniec zachorowałem na tyfus. Podobno pewnej nocy runąłem na ziemię, koło taczki, którą przed chwilą opróżniłem... Dlaczego nie wrzucono mnie tam, jak to powinno było się stać, — jak miałem prawo spodziewać się tego? Być może dlatego, że słyszano armaty

od dwóch czy trzech dni... Amerykanie zbliżali się... być może dlatego... w zamęcie i przerażeniu... w każdym razie, znalazłem się pewnego ranka w szpitalu. Wybrnąłem z kłopotu.

Kończył z goryczą: — Oto wszystko... przywrócono mnie do życia — westchnął głęboko i wyszeptał, wymawiając każde słowo półgłosem, tonem pełnym złości czy też rozpaczy: — Wprowadzono mnie wśród ludzi.

Zamilkł. I, po długim milczeniu, powiedział:

— To wszystko. A teraz, proszę cię, zostaw mnie. Idź sobie.

Wstałem. Byłem pełen wahania i niezdecydowania. Co mogłem powiedzieć? Zrobiłem kilka kroków w stronę drzwi. Zatrzymałem się tam niezdecydowany, z ręką na klamce. Czy jemu się zdawało, że wyszedłem? Usłyszałem jak szeptał:

— Tyle lat jeszcze przede mną. Tyle lat...

To nie było powiedziane do mnie, do mojej osoby. Być może do bogów. Otworzyłem drzwi.

Ostatni blask ukazał mi go skurczonego pod prześcieradłem, z twarzą odwróconą do ściany. Wyszedłem.

Noc była bardzo ciemna. Księżyc zdawał się biec od chmury do chmury, spiesząc się ku ziemi. Schodząc, potknąłem się o kant skały i uderzyłem się boleśnie. Dostałem się do swego kuterka, utajonego w ciszy zatoki i położyłem się w ubraniu w kabinie. Dwadzieścia razy wśród nocy zasypiałem i budziłem się. Jak Hamlet, słyszałem opowieść mary o najczarniejszej zbrodni, jaką można sobie wyobrazić: zabójstwie duszy.

Murther most foule as in the best it is;
But this most foule, strange, and unnatural...

Wszystko można wybaczyć, — być może nawet mord. Ale dusza!...

Nie mogłem wytrzymać i o świcie poszedłem ku ciemnemu domowi i piekłu, które krył w swych murach.

Piotr spał w takiej samej pozie, w jakiej go zostawiłem. Prześcieradło unosiło się lekko i rytmicznie, uwydatniając jego chude ramię.

Stałem tam długo, z sercem boleśnie ściśniętym.

Wróciłem do kutra i wyruszyłem. Wiatr dął z północy i pomógł mi płynąć z odpływem morza.

Skoro tylko znalazłem się w domu, zagłębiłem się w fotel i odtąd zadaję sobie ciągle pytanie.

Niewątpliwie na próżno. Co można zrobić przeciw nieubłaganemu uczuciu, które Piotr zawarł w tych słowach: „Utraciłem prawo do miana człowieka?" Kto mu pomoże odnaleźć je, — jeśli nie on sam? Na nic nie przyda się mówić mu: „Błagać będziemy dla ciebie przebaczenia". Zapewne, nie opuszczę go. Lecz jak go przekonać? Czego można się spodziewać?

Nie wiem.

Nie wiem. Nie wiem.

Przełożyła Stanisława Lazarowa

ALFRED KANTOROWICZ

POŻEGNANIE REPUBLIKI

Alfred Kantorowicz, potomek starej kupieckiej berlińskiej rodziny, wychowany w pruskim patriotyzmie, mając lat 17 zgłosił się w połowie I wojny światowej na ochotnika do cesarskiej armii i walczył o zwycięstwo Niemiec Wilhelma II na francuskim froncie. Lata spędzone w okopach odebrały młodziutkiemu Kantorowiczowi wiarę w piękno moralne pruskiej historii. Burzliwe powojenne lata studenckie w Berlinie, Fryburgu, Erlangen i Monachium, choć dały mu tytuł doktora praw, pozbawiły go reszty szacunku dla mieszczańskiego świata, z którego wyrósł. Nie wykorzystuje więc akademickiego tytułu, lecz zgodnie z wewnętrzną potrzebą próbuje walczyć piórem o wolność dla każdego człowieka. Pisuje w „Vossische Zeitung" i „Weltbuehne", dwóch pismach będących największą chlubą kulturalną Weimarskiej Republiki. Dwóch wielkich pisarzy niemieckich ma decydujący wpływ na kształtowanie się osobowości pisarskiej i ludzkiej Kantorowicza: Henryk Mann i Carl von Ossietzky. W ich kręgu duchowym pozostaje Kantorowicz przez całe życie. W roku 1933 ucieka z Niemiec do Francji, gdzie obejmuje kierownictwo „Schutzverband der Deutschen Schriftsteller" oraz tworzy „Deutsche Freiheitsbibliothek", wydającą dzieła tych pisarzy, których książki palono wówczas w Trzeciej Rzeszy. Na emigracji walczy piórem, a gdy zachodzi potrzeba — i karabinem. W pierwszym starciu hitleryzmu z Europą śpieszy Kantorowicz do Hiszpanii. W Brygadzie Międzynarodowej, w batalionie im. Czapajewa, zdobywa oficerskie szlify. Powrót wiosną 1939 drogą klęski wiedzie go do francuskiego obozu koncentracyjnego, a później — już w czasie wojny — do więzienia. Wyzwolony wreszcie wskutek klęski Hitlera decyduje się — odwrotnie, niż większość emigrantów — na powrót do Niemiec. Szczupły, nerwowy, z mocno nadszarpniętym zdrowiem, osiada w Berlinie i rozpoczyna w roku 1947 wydawanie nowego miesięcznika, który wkrótce staje się najpoważniejszą pozycją kulturalną byłej stolicy Rzeszy. Pismo w formacie swym, układzie, treści i charakterze przypomina „Twórczość", mimo silniejszego nacisku na sprawy polityczne. „Miesięcznik poświęcony sprawom politycznym i kulturalnym naszych czasów" nosi tytuł „Ost und West" („Wschód i Zachód"). „Der Akzent liegt auf dem UND" — napisał we wstępnym słowie pierwszego numeru Kantorowicz.

W roku bieżącym wydał pierwszą swą książkę w pohitlerowskich Niemczech: „Portraets — Deutsche Schicksale". Jest to siedem opowieści, choć tak w czasie bliskich, to jednak już historycznych, o niemieckich ludziach walczących przeciw wzburzonej hitleryzmem narodowej fali. Najbardziej wzruszają i literacko najpiękniej są opisane dzieje trzech ludzi: ojca autora, osiemdziesięcioletniego starca, ginącego w upodleniu barbarzyńskim za syna walczącego na emigracji; opowieść zamykająca książkę — o Henryku Mannie i opowieść — otwierająca książkę — o Carlu Ossietzkym. Tę ostatnią za zgodą autora przetłumaczyłem urzeczony ukazaną w niej osobowością Ossietzky'ego. Nieskazitelnie klasyczna forma historycznego opowiadania daje opisem jednego dnia wybranego z pięćdziesięcioletniego żywota wielkiego Europejczyka przekrój tragicznej niemocy moralnej narodu niemieckiego w ostatnim roku Weimarmarskiej Republiki. Z olbrzymiej literatury o człowieku odznaczonym pokojową nagrodą Nobla wtedy, gdy za umiłowanie pokoju gnił w koncentracyjnym obozie, nie znam bardziej pięknego i wstrząsającego wspomnienia o Ossietzkym, niż to „Pożegnanie Republiki" Alfreda Kantorowicza.

Ossietzky był szczerym przyjacielem Polski. Jego walka z antypolskim militaryzmem pruskim prowadziła go wielokroć do zaciekłej obrony na łamach „Weltbuehne" nie tylko naturalnych praw do samodzielnego rozwoju Państwa Polskiego, ale i do obrony uciśnionej w Weimarskiej Republice — tak jak w przeszłości za czasów Wilhelma, a w przyszłości za czasów Hitlera — ludności polskiej Nadodrza, Prus Wschodnich i Westfalii. Opisujący żywot Ossietzky'ego Alfred Kantorowicz szczyci się braterstwem broni z polskimi żołnierzami Brygady Międzynarodowej. Kiedy po II wojnie światowej korespondent polski w Niemczech styka się bezpośrednio z pisarzami niemieckimi i ich twórczością, trudny ma wybór w przedstawieniu Polakom pisarzy niemieckich. Mamy bowiem srogo wycierpiane prawo żądania od nich nie tylko formalnej wartości literackiej, ale i wartości moralnej zarówno dzieła jak i autora. Z całą odpowiedzialnością dokonywującego wyboru przedstawiam Czytelnikowi polskiemu jeden z nielicznych powojennych utworów literatury niemieckiej, wartych i godnych przeczytania, i przemyślenia, utwór poświęcony Człowiekowi, który 10 lat temu skonał zamęczony w Berlinie.

Berlin, w marcu 1948.

Edmund Jan Osmańczyk

ROZRACHUNEK CARLA VON OSSIETZKY'EGO

We wtorek 10 maja 1932 roku, w uroczy wiosenny dzień, najbliżsi współpracownicy liberalnego antyfaszystowskiego tygodnika Berlina *Die Weltbuehne* zebrali się w gabinecie redaktora naczelnego Carla Ossietzky'ego, aby towarzyszyć mu do bram więzienia w Tegel. W dniu tym Ossietzky rozpocząć miał osiemnastomiesięczną karę więzienia, na którą skazany został przez Najwyższy Sąd Republiki Weimarskiej — Trybunał Rzeszy w Lipsku — za opublikowanie artykułu przeciwko nielegalnym zbrojeniom Niemiec.

Ossietzky, liczący lat czterdzieści trzy, był człowiekiem raczej nikłym, niepozornym, z natury nieśmiałym i zamkniętym w sobie. Jego ciemnoblond, piękne, w górę zaczesane włosy odsłaniały czoło wysokie i szlachetne. Regularne rysy spłaszczonej nieco twarzy były w konturach raczej miękkie. Z osadzonych głęboko, jasnoniebieskich oczu, w rzadkich chwilach pogody biła potężna siła i optymizm. Wyglądał raczej na pogrążonego w sobie skromnego marzyciela, niż na bojownika. Tylko subtelny psycholog mógłby wyczuć wewnętrzne napięcie tego zamkniętego w sobie człowieka.

Zwracając się do przyjaciół powiedział swym matowym głosem: — Tak, dopiero dziś zażądano ode mnie paszportu. Nic nie stało na przeszkodzie, bym uciekł za granicę. Władze oczekiwały tego i nie zamierzały przeszkadzać mi w ucieczce.

Uśmiechnął się jakby do siebie, a głos jego stał się o odrobinę pewniejszy, gdy dorzucił: — Już choćby dlatego ucieczka byłaby błędem!

Przyjaciele wiedzieli, że powziął już ostateczne postanowienie. Na nic by się zdało powtarzanie w ostatniej minucie doradzających „rozsądek" argumentów. Wszyscy byli przybici i zmieszani. Ktoś wyszeptał: — Wątpię, czy w naszym kraju i w naszych czasach pański gest będzie zrozumiany i doceniony.

— To nie jest gest — odpowiedział z mocą Ossietzky, nie podnosząc wpółprzymkniętych powiek. — Jeżeli się chce walczyć skutecznie z duchową zarazą w jakimś kraju, trzeba dzielić powszechny tego kraju los.

Zapadło milczenie. Wiedziano, że próżne byłyby wysiłki zmierzające do odmienienia jego poglądów. Znów uśmiechnął się do siebie. — Toż nie po raz pierwszy sądownictwo niemieckie pośpieszyło na pomoc generałom prze-

ciwko mojej osobie. Będąc bardzo młodym człowiekiem, drobnym urzędnikiem biurowym w Hamburgu, już w roku 1913 doświadczyłem na własnej skórze, iż w Niemczech żaden cywil nie może bezkarnie krytykować planów lub czynów generałów.

Większość obecnych znała tę sprawę. Ossietzky, wywodzący się z zachowawczej mieszczańskiej rodziny hamburskiej, po raz pierwszy wystąpił publicznie przeciw niemieckiemu militaryzmowi w roku 1913. Powodem była słynna w całym świecie w owym czasie „afera Zabern". Pewien pruski leutnant brutalnym postępowaniem z ludnością cywilną miasteczka Zabern w Alzacji wywołał w całym świecie, a również wśród liberalnych kół niemieckich — burzę sprzeciwów. Ossietzky w jednym z artykułów zaatakował generała będącego wówczas dowódcą niemieckich sił zbrojnych w Alzacji. Postawiony przed sąd skazany został na kilka tygodni więzienia, które jednak na skutek generalnej amnestii zostały mu darowane.

— Obecnie jest jednak inaczej — powiedział z gorzką ironią jeden ze współpracowników *Weltbuehne,* znany z ostrości języka. — Nasza służbista Republika poskramia przyjaciół pokoju zgoła inaczej, aniżeli „niedołężna" Rzesza Kaisera. Dziś za taką samą zbrodnię główną sprzeciwianiu się niemieckiemu militaryzmowi skazany pan został z miejsca nie na kilka tygodni, lecz na osiemnaście miesięcy. A naszemu, właśnie ponownie wybranemu, Prezydentowi Rzeszy von Hindenburgowi, strażnikowi wszelkich republikańskich wolności, trudno będzie zrobić użytek z prawa łaski na korzyść jakiegoś pacyfisty.

Ossietzky z niewymuszoną wesołością wtrącił się do rozmowy: — *The quality of mercy, is not strain'd* — powiedziała Portia. My jednak powinniśmy mieć pełne zrozumienie dla pana von Hindenburga — którego zawsze nazywałem „fałszywą obsadą prezydenckiego stolca" i przeciwko którego ponownemu wyborowi pisałem wielokrotnie — jeśli odmówi mi dowodu swego dla mnie poważania...

Nie pochwycono jego żartobliwego tonu. Ktoś westchnął: — Można by łatwo zdefiniować „postęp", jaki od czasów Rzeszy Kaisera uczyniła demokracja pod opieką „demokratycznej Republiki".

Ktoś nieustępliwy czynił ostatnią próbę zmiany postanowienia Ossietzky'ego wydania się w ręce „sprawiedliwości". — Kto wie, co i kogo zastanie pan w Niemczech wychodząc z więzienia po odbyciu osiemnastomiesięcznej kary? Być może nazistów, którzy w listopadzie 1933 roku zechcą oczekiwać pana przy wyjściu z więzienia, aby z kolei umieścić Carla Ossietzky'ego w obozie koncentracyjnym. — Z Paryża czy Londynu uczynić pan może dla sprawy daleko więcej.

Ossietzky opuścił głowę. Odpowiedź dał jednak nie wprost temu, który pytanie zadał, lecz wszystkim obecnym, a przede wszystkim chyba swemu wewnętrznemu głosowi, który zapewne nie dawał mu spokoju.

— Trybunał Rzeszy postarał się o napiętnowanie mnie w sposób niezbyt przyjemny. Zdrada kraju i zdrada tajemnic wojskowych — to w najwyższym stopniu uwłaczający zarzut, z którym niełatwo przyszłoby żyć. Wywędrować

z takim piętnem za granicę, to znaczy pozwolić całej prawicowej prasie na zwycięski okrzyk: „Uciekł do wroga!" A wówczas, wielu z tych, tak łatwo zmieniających poglądy, wzruszony ramionami i pomyśli: jednakże coś w tym prawdy być musi.

Die Weltbuehne w walce o utrzymanie pokoju, w walce przeciwko militaryzowaniu życia i w walce o sprawiedliwość społeczną zajęła wyraźnie określoną postawę. Wynika z niej dla mnie szczególnie wiążące zobowiązanie wobec tych wszystkich, którzy słuchają głosu *Weltbuehne* i wierzą weń. Głos ten, który i w przyszłości będzie miał odwagę wypowiadania własnych przekonań w kraju drżącym od potężnych kroków nadchodzącego faszyzmu, może zachować swój dźwięk i siłę przekonywania tylko wtedy, jeśli odpowiedzialny wydawca *Weltbuehne* rzuci na szalę swą osobę i nie będzie wybierać rozwiązań wygodnych, lecz te, które są konieczne.

Teraz dopiero Ossietzky podniósł wzrok, a rozejrzawszy się po przybitych twarzach swych przyjaciół pomyślał: Robią takie miny, jakby byli na pogrzebie. — Dziennikarstwo polityczne nie jest bynajmniej ubezpieczeniem na życie — powiedział, i natychmiast prawie wesoło dodał: — Dopiero ryzyko daje dziennikarstwu wspaniałą siłę twórczą.

Przebiegł wzrokiem kolejno swych przyjaciół, lekkim zmrużeniem oczu pozdrawiając każdego: oto poeta Alfred Polgar, pisujący maleńkie, pełne cichej melancholii, nie polityczne felietony. (Polgar zapisywał już w myśli początkowe słowa rozpamiętywań, w które zamknie później tę godzinę rozstania.)

Kurt Tucholsky, współwydawca i główny współpracownik *Weltbuehne*, nie był obecny. W połowie, a nawet trzech czwartych, żył już na emigracji. Z Paryża lub Szwecji nadsyłał swoje ostre, zjadliwe *aperçus*, polityczne essaye, glossy i wiersze pełne goryczy i oskarżeń.

Był natomiast Helmut von Gerlach, potomek staro-pruskich oficerów i junkrów, lecz mimo to rzetelny, niezłomny przyjaciel pokoju. Mały, niemłody już, przysadkowaty pan z siwą śpiczastą bródką, spoglądał na Ossietzky'ego ze smutkiem i determinacją. Ossietzky raz jeszcze wobec gromadki swych wiernych przyjaciół podkreślił nieodwołalność swego postanowienia: — W czasie mej nieobecności polityczne kierownictwo *Weltbuehne* obejmie Gerlach, który da nam swe bogate doświadczenie, a swoją przeszłością zawsze godną i bezkompromisową zaręcza nam, że nic nie zostanie zmienione w postawie *Weltbuehne*.

Poeta Alfred Polgar ułożył w myśli jedno ze zdań swego wspomnienia: „Mimo że chętnie bym to uczynił — nie mógłbym jednak powiedzieć, że Ossietzky opuszczając owego przedpołudnia redakcję *Weltbuehne* rzucił smutne i czułe spojrzenie na swój redakcyjny stół, przy którym zwykł pracować. Uczynił to zań raczej stół, przy którym przez pięć lat Ossietzky — mistrz swego zawodu — prowadził pracę pisarza. Lepszego pana nie prędko sprzęt ten znajdzie".

W rzeczywistości Ossietzky rozejrzał się po całej swej pracowni. Polgar prawie podświadomie uchwycił to spojrzenie i wplótł je w swe wspomnienia.

Ossietzky z namysłem, bez odrobiny uczucia, tonem kronikarza powiedział: — „Oto właśnie w tych dniach upłynęło pięć lat, gdy mi powierzono kierownictwo *Weltbuehne* po śmierci niezapomnianego Siegfrieda Jacobsohna, który to „pisemko", jak zwykł nazywać dzieło swego życia, stworzył, a dla nas wszystkich był mistrzem i wzorem. A oto jego spadkobierca żyje w okresie czasu, unicestwiającym stopniowo wszystko to, co rozwijało się z pomocą *Weltbuehne*. I nikt nie wie tego lepiej ode mnie, jak bardzo pozostać muszę dłużny owej minionej szlachetnej wspaniałości. *Weltbuehne*, tak jak ją przejąłem od Siegfrieda Jacobsohna, była wspaniale wykutą mosiężną skarbonką, w której zgromadzono zbiór najpiękniejszych rzeczy, błyszczących kusząco w wieczornej zorzy mieszczańskiej epoki. *Weltbuehne* była ostatnim bojownikiem walczącym szlachetnie..."

Po krótkim namyśle Ossietzky ciągnął dalej: — Dziś wszędzie pełno polityki i ekonomii. Z przystani piękna uczyniono skład wszystkich trosk. Lecz *Weltbuehne* dobrze przetrwała tę przemianę, toteż opuszczam redakcję w świadomości, że przez te kilka lat, które liczyć się powinno jako lata wojny, przeprowadziłem szczęśliwie moje „pisemko" nie wyrządzając mu szkody.

„W ten sposób raczej on ułatwił przyjaciołom rozstanie, aniżeli oni jemu" — zapisał w myśli Alfred Polgar.

Ossietzky spojrzał na zegarek. Zbliżał się czas wyruszenia w drogę. W pruskim więzieniu należy się stawić do odbycia kary punktualnie co do minuty — inaczej...

Dopomożono mu włożyć nieprzemakalny płaszcz. Ktoś zniósł ręczną walizeczkę do auta czekającego przed drzwiami. Wychodząc Ossietzky powiedział z uśmiechem: — „Zatem na czas pewien oddaję moją szpadę do przechowalni".

SPRAWIEDLIWOŚĆ REPUBLIKI

W tym samym czasie w zachodniej dzielnicy Berlina przy Nollendorfplatz zatrzymało się około dwudziestu samochodów przystrojonych czarno-czerwono-złotymi proporczykami. Była to maleńka, nieco ryzykowna nawet demonstracja. W Republice Weimarskiej nie było rzeczą zręczną i korzystną obnoszenie się, poza oficjalnymi okazjami, z barwami Republiki. Policjant stojący na rogu przyglądał się zjazdowi z niechęcią i z nieufnością: zgromadzenie republikanów na otwartej ulicy — toż to wyglądało prawie na przygotowywanie przewrotu. Gdyby panowie i panie wysiadający z prywatnych aut nie byli w większości dobrze ubrani, policjant musiałby niewątpliwie bliżej zająć się tym zjazdem.

Przybysze skupili się przed amerykańskim kościołem przy Motzstrasse. Słuchaczy zgromadził wokół siebie dr Rudolf Olden, zdolny, liberalny publicysta dziennika *Berliner Tageblatt*, z zawodu prawnik, obrońca Ossietzky'ego przed Trybunałem Rzeszy.

— Najwyższy Sąd skazał nas na milczenie — powiedział. — Proces odby-

wał się przy drzwiach zamkniętych. Nie jestem powołany do dawania oświadczeń o przebiegu rozprawy. Byłaby to w rozumieniu sędzów Rzeszy zdrada kraju.

Olden był wytwornym, szczupłym, wysokim mężczyzną w sile wieku, obnoszącym swą godność z dystynkcją członka Izby Lordów. Pod zimnymi, nieco ironicznymi manierami światowca starał się ukryć swoje głębokie rozczarowanie wobec wyraźnego już załamania się liberalizmu w Republice Weimarskiej. Człowiek o jego zdolnościach odgrywałby w Anglii czołową rolę w życiu publicznym kraju. Był bardziej stworzony do reprezentacji, niż do buntu.

Republika Weimarska (Olden nazywał ją w gronie najbliższych przyjaciół „republiką łobuzów") nie wiedziała jednak, jaki użytek można by zrobić z ludzi o jego inteligencji i politycznych zdolnościach. Olden lodowaciał więc żyjąc między tępą biurokracją przedstawiającą Republikę, a coraz bardziej chamiejącą w krańcowości poglądów prawicą. Prawica ta przygotowywała się właśnie do zastąpienia socjaldemokratycznych lokai, którymi posługiwano się dotąd dla łatwiejszego oszukiwania mas ludowych, przez pałkarzy z szeregów hitlerowskiego ruchu. Na cóż zdał się Oldenowi dowcip i wiedza, na cóż umysł i styl — wobec Botokudów starających się zagłuszyć wszystko grzmotem podkutych butów.

I na cóż zdać się mogło prawo, prawo jasne jak kryształ, wobec prawa pięści, stosowanego przez sądownictwo w służbie wsteczników i podżegaczy wojennych. To, co stało się w wypadku Ossietzky'ego, nie było już żadnym orzeczeniem prawnym; był to świadomy, z zimną nienawiścią obmyślony mord — *„ein Justizmord"*. Słynny kolega Oldena, prof. dr Alsberg, znany w całym świecie autorytet w prawie karnym, człowiek zapatrywań raczej zachowawczych, nie mógł uwierzyć w prawdziwość wyroku. Obrony Ossietzky'ego podjął się nie ze względów politycznych, lecz z pobudek prawniczych. Po zaznajomieniu się z przesłankami prawnymi ani przez chwilę nie wątpił, że wyrok będzie i musi być uwalniający. Powątpiewania bardziej politycznie doświadczonych kolegów — Oldena i Rosenfelda — nie mogły zamącić jego pewności.

Dr Kurt Rosenfeld, były pruski minister sprawiedliwości, jeden z czterech obrońców Ossietzky'ego — czwartym był słynny obrońca karny dr Alfred Apfel — liczył się od początku procesu z wyrokiem politycznie stronniczym. Rosenfeld nadszedł właśnie. Miał siwą kozią bródkę oraz dobrotliwe oczy w wąskiej, śniadej twarzy. Wmieszał się natychmiast do rozmowy. Opowiadał, jak to Alsberg jeszcze w czasie podróży na rozprawę do Lipska starał się dowieść na podstawie wielu rozstrzygnięć Najwyższego Sądu oraz orzeczeń uznanych komentatorów, których zdania przytaczał z pamięci, że z łatwością wobec takiego stanu rzeczy będzie mógł przekonać sędziów o niemożliwości wydania wyroku skazującego. Kiedy jednak z powodów nie wytrzymujących krytyki prawnej zarządzone zostało usunięcie z sali publiczności, zaufanie Alsberga otrzymało pierwszy cios; a gdy wyrok został ogłoszony, zawalił się cały jego świat, świat rzekomo niewzruszonych zasad prawnych.

Wyglądało to, jakby skazany został nie Ossietzky, lecz Alsberg. Po odczytaniu wyroku załamał się duchowo i fizycznie i oto skazany, którego wyrok bynajmniej nie zaskoczył, musi pocieszać swego obrońcę, ponieważ wiedział, że Trybunał Rzeszy przestał być narzędziem prawa, a stał się narzędziem wstecznych sił politycznych.

Olden we właściwy sobie chłodny i opanowany sposób prowadził wykład: — „Powołując się na paragrafy ustawy o zdradzie kraju nie dano nam nawet możliwości zaprotestowania przeciwko wyrokowi, uważanemu przez nas za niesłuszny. „Bezpieczeństwo kraju tego wymaga" — tak uzasadniał Senat Karny Trybunałowi Rzeszy wykluczenie publiczności od rozprawy i obowiązek zachowania tajemnicy, nałożony obrońcom i oskarżonemu.

„W danym wypadku troska o ukrycie przed publicznością nie wytrzymującej krytyki prawniczej konstrukcji wyroku odgrywała co najmniej równie wielką rolę, jak troska o bezpieczeństwo Rzeszy. Lecz wzgląd na politykę zagraniczną musiałby przecież wprost narzucać wyrok uwalniający. Oskarżenie wykorzystało artykuł wydrukowany 12 marca 1929 roku w *Weltbuehne*, podający do wiadomości, że w ministerstwie komunikacji Rzeszy istnieje tak zwany wydział „M", służący nie lotnictwu cywilnemu, lecz sprawom wojskowym. Według przepisów prawnych Trybunału Rzeszy wyrok skazujący „za zdradę stanu i tajemnic wojskowych" nie mógłby być wydany, gdyby twierdzenia *Weltbuehne* nie były we wszystkich istotnych punktach zgodne z prawdą. Tak więc wyrokiem skazującym stwierdzono prawdziwość faktów podanych w artykule. Zatem Najwyżsi Sędziowie Rzeszy niedwuznacznie potwierdzili zagranicy, że z pieniędzy państwowych, jak to w potępionym artykule napomknięto, rzeczywiście odbywa się w pełni dozbrajanie niemieckich sił lotniczych".

Olden przytoczył w związku z tym napisany po ogłoszeniu wyroku artykuł londyńskiego *Timesa:* — „Właśnie wyrokiem tym jasno udowodniono, że odbywa się tajne dozbrajanie Niemiec, będące w sprzeczności z klauzulami traktatu i z oficjalnymi zapewnieniami niemieckiego rządu". — „Widzicie więc" — kończył Olden — „jak mało przysłużył się wyrok rzekomemu dobru Rzeszy. Bynajmniej nie dobro narodu i ojczyzny miał jednak Trybunał Rzeszy na względzie. Chodziło mu o obronę kasty najciemniejszych wstecznych sił przed krytyką rzetelnego demokraty, jakim jest Ossietzky. Po wyroku miałem ochotę po raz pierwszy w mym życiu włączyć do mego słownika prawniczego pojęcie sprawiedliwości klasowej.

Ani razu w czasie rozprawy Trybunał Rzeszy nie uszanował subiektywnych pobudek oskarżonego. Przewodniczący ze zręcznie zagraną obojętnością przysłuchiwał się wszystkiemu, co mogłoby oskarżonego odciążyć. Tak na przykład pominął istotnie ważny fakt, że piętnowany artykuł ukazał się w marcu 1929 roku, w tym więc czasie, kiedy w ministerstwie spraw zagranicznych Niemiec zasiadał Stresemann i polityka zagraniczna Niemiec chwilowo skierowana była na osiągnięcie uczciwego porozumienia z dawnymi nie-

przyjaciółmi i sąsiadami Rzeszy, w tym więc czasie, kiedy walka z tajnym sabotażem polityki porozumienia była patriotyczna i pochwały godna, nawet w oficjalnym sensie. Lecz panowie sędziowie Rzeszy oceniali zapewne i politykę Stresemanna jako „zdradę stanu" i prawdopodobnie, gdyby Stresemann dziś jeszcze żył, zasiadłby również na ławie oskarżonych".

Ktoś ze stojących wokół Oldena przypomniał, że wysocy sędziowie Republiki w artykułach i przemówieniach napiętnowali pakt Kelloga jako zdradę interesów wojskowych, a o podpisujących plan Younga wyrazili się, że zasługują na karę ciężkiego więzienia.

Dr Rosenfeld ponownie zabrał głos. Pragnął temu, co chciał powiedzieć, nadać wydźwięk równie nonszalancki, jak Olden. Ocenę nieświetnego sądownictwa Republiki starał się dać ze stanowiska polityka, którego nic nie może wyprowadzić z równowagi, ponieważ posiada wyższość politycznego doświadczenia. Wielokrotnie jednak uczucie odnosiło zwycięstwo nad jego zamiarami. Wystarczyło spojrzeć mu w oczy — te dobrotliwe oczka w szczupłej, pooranej zmarszczkami twarzy — aby pojąć, że udawał nonszalancję, że bezprawie sprawiało mu ból i że całą siłą swego uczuciowego temperamentu solidaryzował się z postawą Ossietzky'ego.

Rosenfeld był człowiekiem około pięćdziesiątki. Był jednym ze starej gwardii socjaldemokratów i jednym z nielicznych, którzy pozostali wierni demokratycznym, wolnościowym i postępowym tradycjom partii Bebla i Wilhelma Liebknechta. Nie skorumpowała go polityka. Po przewrocie — jeśli się chce tak nazywać wydarzenia zaszłe w listopadzie 1918 roku — był przez pewien czas ministrem sprawiedliwości. Lecz kiedy doszedł do przeświadczenia, że kierownictwo partii, stosując się do życzeń junkrów i przemysłowców — wywiera zły wpływ na milionowe masy poczciwie ufających zwolenników, rozstał się ze swymi dawnymi przyjaciółmi partyjnymi i bez wahania złożył swój urząd i godności. W ohydnych zdradzieckich dniach pozostał wierny ideałom przeszłości, zachowując swe prawo do zajmowania miejsca w szeregach bojowników o lepszą przyszłość.

Trzęsąc siwą kozią bródką, mówił: „Dla Trybunału Rzeszy najistotniejszym faktem było to, że po wojnie Ossietzky przez dłuższy czas był sekretarzem pacyfistycznej organizacji. Trybunałowi do wydania wyroku wystarczyło zapoznanie się z antymilitarystycznym nastawieniem oskarżonego. Miłość pokoju jest równoznaczna ze zdradą stanu: oto myśl przewodnia Trybunału Rzeszy. Ossietzky ostatecznie zaprzestał prób wytłumaczenia sędziom pobudek swego postępowania. Oświadczył mi, iż wie, że dla swej walki o demokrację i pokój spodziewać się mógł tyleż łaski sędziowskiego gremium, ile znalałzby jej w Sanhedrynie przyszłej Trzeciej Rzeszy, z Goebbelsem jako najwyższym kapłanem".

Śmiano się z tego bardzo charakterystycznego dla Ossietzky'ego *Aperçu*, lecz gorycz była w tym śmiechu — tyleż goryczy, ile jej było w samym powiedzeniu

POTĘPIEŃCY REPUBLIKI

Coraz więcej przyjaciół Ossietzky'ego przybywało na umówione miejsce. Wszyscy byli pod wrażeniem znaczenia przeżywanej chwili. Wielu znało więzienia Republiki. Drogę, na którą wstępował Ossietzky, przeszli sami wierząc, iż w „wolnej demokracji" należy bronić i dopomagać wolności i demokracji. Kochani, poczciwi marzyciele.

Oto Erich Muehsam, poeta, o skręconej, czarnorudej brodzie, rozczochranych włosach i iskrzących się spoza binokli oczach. Doprawdy, kto go nie znał, mógł śmiało żywić obawę, iż za chwilę wyciągnie z kieszeni bombę i rzuci w czekający tłum. Kto go jednak znał, ten wiedział, że jest to najlepszy i najbardziej uczynny, a zarazem niczego dla siebie nie wymagający, najbezradniejszy człowiek, jakiego sobie można wyobrazić. Humanista w duchowym i ludzkim tego słowa sensie, żarliwy głosiciel i obrońca praw i wolności prostego człowieka.

Ludzi takich jak on oczywiście nie cierpiano w Republice. Rzesza Cesarska internowała go uprzejmie swego czasu na przeciąg kilku miesięcy, ponieważ niezbyt powściągliwie agitował przeciwko wojnie imperialistycznej Wilhelma. Republika za to wysłała go natychmiast do więzienia, i to na lat sześć, aby pojął, co ma rozumieć pod słowami „wolność" i „demokracja". Nauka ta nie na wiele się zdała: niezmożony idealista przyznawał się nadal głośno i bez lęku do swych wysoce indywidualistycznych ludzkich zasad. Hitlerowcy umieścili go na samym szczycie listy przygotowywanej na „noc długich noży". Zbyt często bowiem i zbyt uparcie występował przeciwko ich nieludzkim czynom swoimi wierszami, mowami i samym swoim nieskazitelnym istnieniem.

W podnieceniu gestykulował. Nie posiadał zdolności przyjmowania nowego bezprawia w sposób godny i zrezygnowany. Wyrządzone Ossietzky'emu bezprawie było tak krzyczące, że Muehsam musiał przeciw niemu krzyczeć. Starano się go uspokoić. Demonstracje na rzecz prawa i wolności uważane były w Republice za coś zdrożnego. Stojący na rogu policjant stał się od razu podejrzliwy. Gdyby Muehsam wywołał zamieszanie, to wówczas, miast odprowadzać Ossietzky'ego, sam musiałby wędrować do więzienia.

Nie łatwo jednak okiełznać Ericha Muehsama. Przecież coś trzeba czynić, trzeba coś zdziałać. Należy zmobilizować masy, demonstrować, agitować, poruszyć sumienie świata...

Wzruszano ramionami. Ossietzky nie należał do żadnej partii, ani do żadnej międzynarodówki. Lewica ma dość trosk z własnymi męczennikami, których liczy się na tysiące. Poza garstką literatów i postępowych intelektualistów trudno byłoby jeszcze kogokolwiek zmobilizować w sprawie Ossietzky'ego. A postępowi intelektualiści — o czym przyjaciel Muehsam wiedzieć powinien — są obecnie w Niemczech — ach, nie tylko w Niemczech! — śmieszną, bez wpływów, zepchniętą poza nawias społeczeństwa warstewką.

To, co można było zdziałać, zostało zrobione. Prezydent Niemieckiej Akademii Literatury Henryk Mann, laureat nagrody Nobla profesor Quidde, byli

ministrowie, profesorowie o światowej sławie, protestanccy teolodzy, prawnicy, pisarze, artyści podnieśli swój głos przeciwko bezprawiu. Liga Obrony Praw Człowieka i PEN-Club zbierały podpisy pod wezwaniem do Prezydenta Rzeszy, jako jedynej instancji, która by mogła poddać rewizji już nie w sensie prawnym, lecz ludzkim, niewłaściwy wyrok Trybunału Rzeszy.

Czy Muehsam chciałby dowiedzieć się, jak przekonywającymi słowy wyraził swój sąd o wyroku Tomasz Mann wzywając Prezydenta Rzeszy do naprawienia krzywdy wyrządzonej Ossietzky'emu? Dr Olden miał w swej teczce tekst oświadczenia słynnego w całym świecie pisarza, którego głos ciągle jeszcze posiadał dużą wagę wśród zachowawczych kół mieszczańskich.

„Straszna i upakarzająca jest świadomość — tak pisał Tomasz Mann — iż żyje się w kraju, w którym sądownictwo siłą narzuca milczenie o zjawiskach nieładu. Lecz ja sądzę, iż niszczenie krytyki publicznej należy pozostawić faszystowskim dyktatorom..." Pismo kończyło się słowami: „Dla zwolennika krytycznej wolności oraz dla przyjaciela ojczyzny (obie cechy bez trudu łączyć się mogą w jednej osobie) byłoby wielką duchową ulgą, gdyby ta władza, która dla nas wszystkich jest uosobieniem lojalności, unieważniła wyrok uważany przez wielu poważnych obserwatorów za niesłuszny".

— Czyżby myślał o Hindenburgu pisząc o „uosobieniu lojalności"? — prychnął Muehsam mierzwiąc swą dziką brodę. — Przecież dla tego analfabety listy pisarzy nie nadają się nawet na papier klozetowy!

Starano się wpłynąć na Muehsama, aby się opamiętał i ściszył przynajmniej głos. Na próżno. Rozgniewany począł krzyczeć: — Toż on sam szczycił się głośno tym, że w całym swym życiu nie otworzył żadnej książki prócz pruskiego regulaminu dla rekrutów. Dla tego prezydenta tej republiki nazwa „analfabeta" jest doprawdy komplementem. Gdybyśmy nazwali go intelektualistą, o, to wówczas mógłby nas zaskarżyć o obrazę. — Jak rozwścieczona osa napadł Muehsam na jakiegoś Bogu ducha winnego reportera berlińskiej popołudniówki, pragnącego dać opis godnej upamiętnienia chwili: — A pan go wybrał na prezydenta! — tego patrona bezprawia!

Dr Rosenfeld starał się uspokoić Muehsama rzeczową argumentacją: — Według konstytucji jedynie Prezydentowi Rzeszy przysługuje prawo łaski. Do niego tylko możemy apelować...

— Łaska? — rozległ się głośny okrzyk. — Dlaczego łaska? Nam łaski nie potrzeba! My żądamy naszego prawa! — Wołającym był Ernst Toller. Jego wielkie wyraziste oczy pałały. Na szerokiej, energicznej twarzy malowało się silne wzruszenie. Wyglądał wspaniale. Mimo młodych lat włosy miał przyprószone siwizną — ślad więzień republiki niemieckiej, w których przeraźliwie długie męczeńskie pięć lat musiał odbywać pokutę za miłość do ludzi i idealizm. W więziennej celi stworzył też swe najlepsze i najbardziej znane dramaty: „Człowiek masowy", „Maszynoburcy", „Hinkemann" i „Schwalbenbuch". Mimo tych lat, podobnie jak Muehsam, pozostał jednak niezłamany. Potrafił zachować swą wiarę w „dobro w człowieka". Tę wiarę opłacił wolnością i zdrowiem, lecz nie zmienił swych zasad i wciąż na nowo z zapałem

i szczerym patosem występował przeciw gwałtom i bezprawiu apelując do „dobra w człowieku". W rzeczywistości możliwości jego i Ericha Muehsama były znikome w czasach, w których z tak wielkim powodzeniem odwoływano się do „bestii w człowieku".

Rosenfeld i Olden starali się zapewnić zebranych, że prośba o łaskę dla Ossietzky'ego nie apeluje do uczuć sentymentalnych, lecz żąda zastosowania prawa, domaga się naprawienia krzywdy Tak więc przygotowane podanie jest aktem publicznym i politycznym skierowanym nie tylko do prezydenta jako właściwej instancji, lecz do całego narodu.

Wielki pisarz Arnold Zweig, który właśnie w swojej powieści „Spór o sierżanta Griszę" stworzył monumentalny obraz pruskiego militaryzmu, wmieszał się do rozmowy. Był to mały, silnie krótkowzroczny, zgarbiony człowieczek; ktoś, kto by nie wiedział, że oto stoi przed nim wybitny pisarz niemiecki Arnold Zweig, na pierwszy rzut oka określiłby go jako biedniutkiego pomocnika buchaltera.

Zweig wykładał swe myśli powoli, z namysłem, głosem cichym, tak cichym, że skupiono się wokół niego, by lepiej móc go zrozumieć (a kto słuchał nie tylko jego słów, lecz dźwięku wypowiadanych zdań, ten mógł zauważyć w leciutkim drżeniu głosu, w zahamowaniach i przerwach, jak wzruszony był mówca):

— Duchowa wytworność przy prostocie postawy — rozpoczął — oto definicja gentlemana, a zarazem charakterystyka Ossietzky'ego. I tego rodzaju człowiek w naszych czasach z łatwością wpada pod koła wozu, którym dążą do celu karierowicze, dorobkiewicze, oszuści — wszyscy ci mali ludzie, którzy dziś w Niemczech używają wielkich słów i robią wielkie interesy lub wielką politykę...

Zamilkł na chwilę i nim rozpoczął dalszy wywód swych myśli, odezwał się Olden: — To, że ta pruska armia z jej oficerskim korpusem, ta słynna mafia od dwóch stuleci mówiąca stale o *point d'honneur*, nie wykazała nigdy najmniejszej rycerskości wobec swego prawdziwie arystokratycznego przeciwnika, jakim jest Ossietzky, to wydaje się mnie, który sam ongi do tej mafii należałem, szczególnie smutną oznaką czasu, w którym wszystko zapada się w barbarzyńskie schamienie. Ostatecznie mogę nawet — choć z trudem — zrozumieć sam wyrok, oczywiście nie z punktu widzenia prawnego, lecz od strony politycznej siły, wymagającej, aby wszelkimi środkami zmuszano niewygodnego wroga do milczenia. Lecz to, że ośmielono się temu najuczciwszemu z ludzi odebrać honorowe prawa obywatelskie, to jest dla mnie czymś zupełnie nowym, czymś niepojętym w walce politycznej.

— Być może — odpowiedział mu Arnold Zweig, — potrzeba wam było, tak jak mnie, służyć przez parę lat w niemieckim batalionie piechoty, aby móc dojrzeć bagnistą głębię pod gładką powierzchnią tych ludzi; a mimo to — jakby już to nie wystarczyło dla odsądzenia od honoru — staramy się jeszcze jakoś obronić przed przekonaniem, iż tak wielka jest ilość zbrodniarzy pałających chęcią zemsty za swą umysłową i moralną niższość. Ossietzky wiedział,

z kim ma do czynienia i... nie wiedział. Znał dość dobrze zdecydowanie tamtych kół w kierunku niszczenia i deptania wszystkiego, co człowiek kocha i czci; lecz o stopniu podłej osobistej zemsty, do której zdolni są tamci ludzie, Ossietzky nie miał pojęcia — ponieważ sam jest gentlemanem. Po prostu niezdolny był do objęcia myślą otchłani podłości swoich przeciwników — a słuszniej będzie powiedzieć: naszych przeciwników — którzy w tej otchłani żyją, tworząc z niej swe pole walki".

W ciszy, która nastąpiła po tych bolesnych słowach, rozległy się niecierpliwe sygnały samochodowych trąb. Olden skinął na Rosenfelda. Obrońcy zasiedli w aucie. Dwadzieścia samochodów z czarno-czerwono-złotymi proporczykami ruszyło w drogę do Tegel.

PRZED BRAMĄ WIĘZIENIA

Więzienie Tegelskie położone jest wśród zieleni jednego z przedmieść Berlina. Niewielki zagajnik smukłych świerków sięga prawie do bramy więzienia. Tam oczekiwały już gromadki ludzi, przybyłych koleją nadziemną lub autobusami. Rozmawiano przyciszonym głosem. Od czasu do czasu spoglądano w stronę bramy więziennej. Za nią zniknie na przeciąg osiemnastu miesięcy Ossietzky. Przyjaciele znający go lepiej wypowiadali swe przewidywania o wytrzymałości zdrowia Ossietzky'ego. — On ma tak słaby żołądek — wzdychała jakaś miła starsza pani z Ligi Obrony Praw Człowieka.

Tuż po godzinie jedenastej przybyła kolumna samochodów z czarno-czerwono-złotymi proporczykami. Siedemdziesiąt, a może osiemdziesiąt osób wysiadło z aut. Wszyscy mieli uroczyste miny. Kłaniano się sobie wzajemnie. Przy uścisku dłoni spoglądano poważnie, znacząco w oczy, jak to zwykle czynią ludzie osieroceni, spotykający się na cmentarzu.

W kilka minut później nadjechał Ossietzky. Utworzono szpaler, którego środkiem kroczył. Przechodnie idący ulicą prowadzącą obok więzienia przystawali i powiększali gromadę żegnających. Prawdopodobnie byli zdumieni tym niezwykłym widowiskiem odprowadzania „zbrodniarza" z honorami do bram więzienia.

Wszyscy przyjaciele Ossietzky'ego czuli, że trzeba jeszcze coś powiedzieć, a jednocześnie zdawali sobie sprawę z tego, że słowa dane mu na długą więzienną drogę nie wyrażą tego co trzeba. Polgar sformułował w duchu: „Trudno jest dawać zapewnienie przyjaźni człowiekowi, któremu żadna przyjaźń nie jest w stanie odjąć ciężaru narzuconej krzywdy, i mówić mu, że odczuwa się gorycz, którą on sam tylko będzie musiał przeżyć".

Również Ossietzky odczuwał, że sprawie, z której powodu naraził się na niesprawiedliwy wyrok, winien jest ostatnie uzasadnienie swych motywów, jako memento dla tych, którzy jeszcze byli na wolności i mogli dalej walczyć. Czuł się nieswojo. Nie był mówcą i nie lubił wysuwać swej osoby na widok publiczny. „Dziennikarzy należy czytać, lecz nie należy ich oglądać" — powtarzał niejednokrotnie.

Przyjaciele skupili się wokół niego; stali półkolem, odwróceni plecami do bramy więzienia, na którą padał jego wzrok, gdy przemawiał. Wyglądało to, jakby w ostatniej chwili chciano mu zagrodzić czekającą go drogę.

Rozpoczął bez wstępu, przyciszonym głosem, tak jakby prowadził rozmowę w zamkniętym pokoju. Skupiono się więc ciaśniej wokół niego, by móc lepiej słyszeć. W prawej ręce trzymał kapelusz, lewą ukrył w kieszeni niezapiętego, nieprzemakalnego płaszcza. Stał swobodnie. Wzrok wbił w ziemię. Nie było w nim nic odświętnego, nic sztucznego. Zupełnie tak samo przemawiał na stałych konferencjach redakcyjnych w redakcji *Weltbuehne*.

„Nie z lojalności wobec państwa udaję się do więzienia, lecz z przeświadczenia, że uwięziony będę najbardziej niewygodny. Jako mieszkaniec pruskiego zakładu karnego pozostanę żywą demonstracją przeciwko wyrokowi Najwyższego Sądu, wyrokowi w istocie swej politycznie tendencyjnemu, a w prawnej motywacji wysoce niesprawiedliwemu".

Przy następnych słowach głos jego stał się silniejszy, a wzrok nie był już utkwiony w ziemię, lecz zwrócony w stronę odległej odeń o pięćdziesiąt kroków bramy więziennej.

„Wszystkim tym, którzy występowali w mej obronie, winien jestem, aby protest ten pozostał żywy. Winien to jestem przede wszystkim ośmiu tysiącom bezimiennych proletariackich ofiar Trybunału Rzeszy...

„Tyle co do sprawy Ossietzky'ego, którą należałoby raczej nazwać sprawą Niemiec, sprawą Niemieckiej Republiki. Zły wyrok wydany na życzenie ministerstwa spraw wojskowych Rzeszy przez posłusznych panów w Lipsku jest tylko jeszcze jednym dowodem, iż nigdzie dziś na świecie tak szczerze nie wierzy się w wojnę, jako najskuteczniejszy środek polityczny, jak w Niemczech — i nigdzie nie przemilcza się z taką łatwością okropności wojny, nie lekceważy się tak łatwo skutków wojny i nie wielbi się tak bezkrytycznie żołnierskiego rzemiosła, jako najwyższego wytworu ludzkich cnót i nigdzie nie piętnuje się tak bezmyślnie miłości pokoju, jako osobistego tchórzostwa — jak dziś w Niemczech.

„Jest to tragiczna wina i samobójczy błąd Republiki, iż nie zrozumiała potrzeby umocnienia spontanicznego antymilitaryzmu, który przyniosły ze sobą z wojny nasze pobite armie. Przeciwnie, Republika dusiła antymilitaryzm wszelkimi sposobami, czyniła natomiast jedną koncesję za drugą szowinistycznym prądom wstecznym, nie potrafiąc jednocześnie poskromić tych prądów. Z tego wszystkiego wyrósł najniebezpieczniejszy owoc: — supremacja wojska nad polityką".

Ossietzky zająknął się i zamilkł. Również ci, którzy go otaczali, milczeli niepewni, czy skończył już, czy też pragnie mówić dalej. W ciszę tę wpadł cienki, nieśmiały głos: „Cześć Ossietzky'emu!" Wydawało się niestosowne, aby to colloquium prowadzone przez Ossietzky'ego w gronie swych najwierniejszych zakończone zostało zwykłą owacją. Lecz każdy rozumiał, że wznoszący okrzyk pragnął uwolnić się od nieznośnego już prawie wewnętrznego napięcia, które wszyscy odczuwali. Niektórzy w zakłopotaniu, z wahaniem powtó-

rzyli półgłosem: „Cześć Ossietzky'emu!" Inni czekali do chwili, gdy oczekiwany uśmiech ukazał się na twarzy Ossietzky'ego. On zaś odpowiedział na okrzyk po swojemu, bez pozy i patosu:

„Nie trzeba byśmy oddawali sobie wzajemnie cześć i ogłaszali się wielkimi ludźmi. My, demokraci i przyjaciele pokoju, jesteśmy w tym świecie, jeśli ktoś tak chce to nazwać, sprzysiężeniem — w żadnym jednak wypadku nie jesteśmy partią, w której wznosi się okrzyki na cześć wodza".

Wtedy dopiero znikł uśmiech z jego twarzy. Wśród otaczających powróciło znów dawne napięcie. Ossietzky kończył:

„Byliśmy sprzysiężeni w obronie zasad konstytucji republiki, której od pierwszego dnia jej narodzin broniliśmy przeciwko woli urzędowych strażników Republiki, jak to z każdym dniem staje się coraz bardziej widoczne. My nie uważamy demokracji za zasłonę; my o niej myślimy szczerze...

Umysł mój niezmiennie przyznaje się do wyszydzanej dziś demokracji — lecz serce moje nieodparcie kłoni się ku proletariackim masom. Nie ku zamkniętym w doktrynach ideologiom, lecz ku żywej krwi ruchów robotniczych, ich ludziom, ich ku sprawiedliwości pałającym duszom.

Nie należę do żadnej partii. Walkę prowadziłem przeciwko partiom, bardziej przeciwko prawicy, lecz również i przeciw lewicy. Dziś powinniśmy zdać sobie sprawę z tego, że sojusznicy nasi znajdują się już tylko na lewicy. Flaga, do której się przyznaję, nie jest już teraz czarno-czerwono-złotą flagą zwyrodniałej Republiki, lecz proporcem zjednoczonego ruchu antyfaszystowskiego. I oto ja, pacyfista, staję w szeregach olbrzymiego wojska walczącego o wolność".

ŚMIERĆ REPUBLIKI

Oświadczenia Ossietzky'ego wysłuchano w skupieniu rozumiejąc, że jest to testament. Jeszcze tylko Ernst Toller powiedział odchodzącemu kilka wzruszonych słów na pożegnanie — i oto nadszedł czas Ossietzky'ego. Zegar wskazywał pięć minut przed dwunastą.

Raz jeszcze rozejrzał się wkoło i spojrzeniem oczu żegnał się kolejno ze swymi przyjaciółmi. Rysy twarzy zachowały spokój, a nawet miały w sobie coś z wewnętrznej wesołości. Postanowienie zapadło. Swym miękkim filcowym kapeluszem zatoczył półkole powściągliwym, ledwo zaznaczonym ruchem, po czym opuścił wzrok i odważnym krokiem, mając z dwu stron dr. Rosenfelda i dr. Oldena, ruszył ku otwierającej się bramie więzienia. Nie oglądając się już wcale na tych, którzy pozostawali zafascynowani, przygnębieni, zapatrzeni weń, zniknął za bramą, uścisnąwszy w cieniu murów więzienia po raz ostatni ręce swych obu obrońców.

Pisarz Lion Feuchtwanger, który ze swą pomarszczoną sowią twarzą stał w pierwszym rzędzie „honorowej gwardii" Ossietzky'ego, powiedział cicho do przyjaciela Arnolda Zweiga w swój ironicznie powolny sposób: — „Prawdziwa Republika udała się do więzienia".

Rozwój wypadków w Niemczech nie był dla Feuchtwangera niespodzianką.

Już przed rokiem orzekł w towarzystwie artystów i pisarzy, że Berlin staje się miastem zapełnionym przyszłymi emigrantami. Po czym z zapałem zabrał się do urządzania w swej willi w Grünewaldzie, którą właśnie rozpoczął budować z wielkim smakiem i przepychem, jako miejsce, w którym zamierzał odpoczywać przez resztę swego życia. Gdyby mu to ktoś przypomniał, to napotkałby w jego mądrych oczach ukrytych za grubymi szkłami okularów i w jego pomarszczonej twarzy uśmiech i ledwo dosłyszalną, napół ironiczną odpowiedź: — „Cóż pan chce? Taka jest natura ludzka".

Gdyby go jednak ktoś zapytał, czy widzi w tym sens, że Ossietzky wybrał drogę męczeństwa w świecie, który wydaje się zdecydowany na nieprzyjęcie do wiadomości tak wyraźnego ostrzeżenia, iż pokój ponownie jest zagrożony — to prawdopodobnie Feuchtwanger odpowiedziałby pytaniem na pytanie: — „Po cóż umarł prorok Izajasz, najpotężniejszy orędownik pokoju, jakiego zna historia? Przeciwnicy pokoju, jak głosi legenda, wtłoczyli go w spróchniały pień drzewa i przepiłowali żywego, by móc dalej wojnę prowadzić. Po cóż umarł Jezus z Nazaretu? Ani Żydzi nie słuchali Jego posłannictwa pokoju, ani Rzymianie".

Zaś po chwili namysłu wyciągnąłby Feuchtwanger wniosek ze swej cichej sokratycznej nauki: ‚Carl von Ossietzky zna swą odpowiedź na te pytania. Wie bowiem, iż działalność proroka Izajasza „pożyteczna" była nawet w rozumieniu sceptyków i wie, że jego własna działalność będzie pożyteczna. Ossietzky przy całym swym romantyzmie jest realistą. Wie, że męczeństwo często dopiero na daleką metę jest propagandowo coś warte. Jeśli nawet wojna toczy się na świecie i czekają nas dalsze kataklizmy, to ten bojownik pokoju wie, że nadejdzie czas, kiedy jego męczeństwo nie będzie daremne".

Brama więzienia zamknęła się za Carlem Ossietzkym. Erich Muehsam przerwał milczenie wściekłym protestem. Musiano ponownie przywołać go do zachowania spokoju. Gumowe pałki policji czekały w pogotowiu, aby rozpędzić wprawnymi uderzeniami tę garstkę intelektualistów *outcasts*, nie mającą za sobą żadnej partii, żadnej organizacji, żadnej siły.

Zaczęto się rozchodzić. Na brzegu lasku parkowało dwadzieścia aut. Wesoło furkotały w wiosennym wietrze czarno-złoto-czerwone proporczyki. Ktoś podszedłszy do swego wozu zatrzymał się nagle, zawahał przez mgnienie oka i — zdjął flagę Republiki.

Był to jakby sygnał dla pozostałych. Jeden po drugim uczynili to samo. Nikt nie rzekł słowa. W geście tym było podobieństwo do sypania garści ziemi na świeży, otwarty jeszcze grób. Przyjaciele pokoju i wolności, republikanie, którzy najwierniej dla swej Republiki walczyli i cierpieli, pochowali tym gestem swe ostatnie nadzieje, że uda im się przecież utrwalić to, o co tak dzielnie walczyli.

Kiedy mała kolumna aut ruszyła w powrotną drogę, ani na jednym samochodzie nie było już proporczyka.

EPILOG

Działo się to 10 maja 1932 roku.

Datę tę będzie się wspominać: dzień ten posiada bowiem przełomowe znaczenie w dziejach naszej epoki.

W rok później, 10 maja 1933 roku, na Placu Opery w Berlinie i na wielu innych publicznych placach wielkich miast uniwersyteckich Rzeszy rozpalono stosy, niszcząc w ogniu kwiat niemieckiej i światowej literatury od czasów Gottholda Ephraima Lessinga i Woltera, a tłum wył w dzikiej radości. Trzecia Rzesza wstępowała w historię, a jeden z jej rzeczników, dr Goebbels, w swej uroczystej mowie nazwał to autodafé symbolicznym aktem. Był to istotnie akt symboliczny.

I znów tegoż dnia w siedem lat później, 10 maja 1940 roku, ruszyły pancerne kolumny palaczy książek przeciw zachodniej Europie. Przejechały Holandię, Belgię i Francję i w kilka tygodni później defilowały bulwarami Paryża. Stara, skorumpowana Europa, która zniosła wśród siebie (jeśli nie chcemy powiedzieć: ułatwiła) publiczne proklamowanie barbarzyństwa aktem palenia książek w dniu 10 maja 1933 roku, otrzymała pokwitowanie swej niedołężności (jeśli nie chcemy powiedzieć: moralnej podłości) dokładnie co do dnia w siedem lat później.

Ossietzky tej rocznicy już nie dożył. Po niewypowiedzianych fizycznych i duchowych torturach w obozie koncentracyjnym nazistów on, więzień nazistów do śmierci, dnia 4 maja 1938 roku, mając lat pięćdziesiąt, zmarł w jednym z berlińskich szpitali na skutek przeżytych męczarni. Zmarł jednak w świadomości, że męczeństwo jego zostało zrozumiane przez współczesnych: oto jemu, przebywającemu w obozie koncentracyjnym, przyznana została w listopadzie 1936 roku nagroda pokojowa Nobla (piękna demonstracja uczciwego świata, o niezapomnianej odwadze i szlachetności, a zarazem jedna z najcięższych moralnych klęsk, jakie Hitler poniósł w czasach swego panoszenia).

Nie wielu z tych, którzy wówczas odprowadzali Ossietzky'ego, pozostało przy życiu. Spośród czterech obrońców pierwszy profesor dr Alsberg, wierzący w niezłomność prawa, położył kres swemu życiu, widząc jak bezprawie szyderczo tryumfuje. Dr Olden, któremu ucieczką do Anglii udało się uratować ze szpon hitleryzmu, stał się ofiarą niemieckich łodzi podwodnych, gdy statek wiozący go do Kanady zatonął trafiony torpedą. Oldena wraz z żoną znaleziono w kilka tygodni później martwych w błąkającej się po oceanie łodzi ratunkowej. Dr Apfel zmarł w Marsylii w czasie ucieczki przed nazistami po upadku Francji, a później, już jako obywatel Ameryki, walczył niestrudzenie dalej o uwolnienie świata i Niemiec od opętanych szałem Amoka barbarzyńców. Kiedy we wrześniu 1943 roku zmarł w Nowym Yorku, posiadał w każdym razie pewność, że oto zbliża się kres nazistowskiego szaleństwa.

Z innych bliskich przyjaciół i współpracowników Ossietzky'ego i *Weltbuehne* Kurt Tucholsky jako jeden z pierwszych położył na emigracji kres swemu pełnemu rozpaczy i zwątpienia życiu.

Erich Muehsam został zatłuczony kijami przez nazistów w obozie koncentracyjnym, a zwłoki jego powieszono.

Profesor Theodor Lessing, znany lewicowo-liberalny filozof i essaista, również bliski *Weltbuehne*, został według żargonowego określenia odnowicieli Niemiec — „ubity" w Czechosłowacji przez gangsterów SA.

Hellmuth von Gerlach zmarł na emigracji w Paryżu w czasie, gdy panoszenie się nazistów wydawało się nie mieć granic.

Ernst Toller w ataku rozpaczliwej beznadziei zrezygnował z walki po Monachium i jego skutkach: wydaniu Hiszpanii na łup faszyzmu i okupowaniu Czechosłowacji przez nazistów. Powiesił się w maju 1939 roku w swym pokoju hotelowym w Nowym Yorku.

Jego przyjaciel a zarazem rywal, dramaturg Walter Hasenclever, w godzinie upadku Francji w połowie czerwca 1940 roku zażył odpowiednią ilość trucizny w południowo-francuskim obozie koncentracyjnym Les Milles.

Historyk sztuki Carl Einstein utopił się w rzece w Pirenejach, pragnąc ujść ponownemu aresztowaniu.

Essaista Walter Benjamin zakończył swe życie w hiszpańskim miasteczku granicznym Port-Bou, gdy został aresztowany przez straż graniczną.

Lekarz i powieściopisarz Dr Ernst Weiss zażył truciznę w swym pokoju w Paryżu na widok wkraczających wojsk nazistowskich.

Franz Hessel, essaista i tłumacz Prousta, którego życie poświęcone było duchowemu zbliżeniu między Niemcami a Francją, zmarł w biedzie i nędzy po latach więzienia w Nowy Rok 1941 w Sanary, w Południowej Francji.

Poeta Alfred Wolfenstein, należący do tych, którzy odprowadzali Ossietzky'ego do bram więzienia w Tegel, został zaskoczony przez oddział nazistów i wzięty do niewoli. Był w obozie i w więzieniu, uciekał. W podziemu udało mu się przeżyć tak długo, że mógł ujrzeć uwolnienie Europy Zachodniej. Zmarł na skutek straszliwych przeżyć zimą 1945 roku w Paryżu.

Austriacki poeta i biografista Emil Alphonse Reinhardt wszedł jako człowiek w podeszłym już wieku do europejskiego ruchu podziemnego, walczącego z nazistowskimi tyranami. Skończył w Dachau.

Wśród tych, którzy przeżyli są: Henryk i Tomasz Mann, Arnold Zweig, Lion Feuchtwanger, Rudolf Leonhard i Ferdynand Bruckner, Theodor Brecht i Oskar Maria Graf, Johannes R. Becher, Friedrich Wolf, Theodor Plivier, Ludwig Renn, Egon Erwin Kisch, Alfred Doeblin, Erich Weinert, Fritz von Unruh, Walter Mehring, Berthold Viestel, Alfred Polgar, Baldur Olden, Herman Kesten, Maximilian Scheer — aby tylko tych wymienić, którzy stali blisko *Weltbuehne*. Ich walka nadal pozostała niedokończona. Wolność i humanitaryzm jeszcze nie zwyciężyły. Świat ciągle daleki jest od ideału wewnętrznego i zewnętrznego pokoju, któremu służył Ossietzky i za który oddał swe życie. Ci, którzy go znali, zachowali jego testament, a młodzież niemiecka, która dopiero zaczyna poznawać znaczenie własnej osobowości, uczyni kiedyś z Ossietzky'ego symbol lepszych, wolnych, sprawiedliwych Niemiec jutra.

Przełożył *Edmund Osmańczyk*

JULIA HARTWIG

POEMATY PROZĄ MAXA JACOBA

Pobyt w klasztorze św. Benedykta nad Loarą i śmierć w obozie hitlerowskim w Drancy, w marcu 1943 r., wysłużyły Maxowi Jacob męczeńską aureolę i miejsce należne w poczcie świętych patronów literackich. Z młodością poety miałby jednak w kanonizacyjnym procesie niejeden kłopot jakiś *Advocatus Dei,* czy urzędowy biograf, wyuczony rzemiosła na schemacie żywota „z jednej bryły".

Autor „Cornet à dés" ukazuje nam na tle epoki ostatniej cyganerii paryskiej z lat 1920—1920 twarz nawróconego clowna, który po okresie bezładnego życia wśród cygańskiej braci przechodzi przez krótką służbę w snobistycznych salonach, a w końcu oddaje się w dozgonną już pańszczyznę bożą.

Nawrócenie Jacoba nie miało w sobie nic z dostojnej wzniosłości nawrócenia Claudela. Claudel doznaje metafizycznego wstrząsu w kościele, w czasie podniosłej uroczystości Bożego Narodzenia, święconej pośród imponującej scenerii kadzideł, organów i szlachetnej architektury. Jacoba odwiedza w jego ciasnej norze przezroczysta zjawa w kolorowych szatach, ta sama, która ukazuje mu się w parę tygodni potem w kinie, podobna do operowego Chrystusa z Ben-Hura, czy pretensjonalnego ducha z seansu spirytystycznego. Jak harmonijna i dostojna wydaje się kariera Claudela, potomka mieszczańskiego patrycjatu o katolickich, choć wystygłych już tradycjach, który swą „własną drogę" odkrywa po dawno wyznaczonych jego klasie gościńcach — tak zawstydzające i cierniste są stacje drogi Jacoba, syna żydowskiego krawca z Quimper, który narażając się na śmiech i wzruszenie ramion, spowiada się swym przyjaciołom z nawiedzających go wizji i ekstaz. Jaki upadek ze szczytu poezji i towarzyskiego kuglarstwa na padoły chrześcijańskiej pokory! Spodziewa się tam już tylko dżdżu łaski, porzuca twórczość i, niepodzielny, gardzi „letnimi, których wymiotuje Pan Bóg."

Wszystko niemal, co stworzył, a jest tego około 40 tomów, między którymi wiersze, poematy prozą, „Ars poetica", powieści dla dorosłych i dzieci — stworzył był przed latami nawrócenia. Potem następują tylko codziennie „Medytacje" na zadany temat, które pisze jak pokutę każdego dnia wczesnym rankiem, przed pójściem na mszę, czy to w lecie, czy też w ciemne, mroźne,

poranki grudnia. Wróg kobiet od wczesnej młodości, nie musi zmieniać toku swego życia osobistego: do późnego wieku maluje i zbiera książki, nigdy więc jego starokawalerskie pokoje, nawet gdy mieszka przez czas jakiś w opustoszałym klasztorze Benedyktynów, nie mają pozoru pustelni.

Przyjaciele uważają nawrócenie Jacoba za jego nowy dowcip, tym razem w nienajlepszym stylu. Próbują go ciągle traktować jak wesołka w cylindrze, który zamiast wróżyć z ręki — podaje się nagle za wysłańca Ducha Świętego. Publiczność literacka boi się wziąć go na serio z obawy przed mistyfikacją, ksiądz, do którego przychodzi Jacob z opowiadaniem o sobie, wyśmiewa go w oczy. Wreszcie ktoś miłosierny skierowuje go do misjonarzy imienia Matki Boskiej Sieneńskiej. Jacob zostaje ochrzczony imieniem Cypriana, po długiej batalii z Picasso, ukochanym jego przyjacielem i ojcem chrzestnym *in extremis,* który — bardziej tu poetyczny niż sam poeta — pragnie go nazwać imieniem patrona ogrodników, Tymona.

Picasso jest już wtedy bogaty. Minęły czasy pogodnie znoszonej nędzy, gdy Jacob przesiadywał godzinami w jego pracowni malarskiej przy ulicy Ravignan, która pod mianem Bateau-Lavoir przeszła do historii jako kolebka kubizmu. W sąsiedztwie mieszkań praczki, krawczyni i handlarza starzyzny, w rozlatującym się domku z desek i bali, powstaje jeden z najekskluzywniejszych kierunków malarskich. Jacob zamazuje arkusze pakunkowego papieru rysunkami i wierszami, bawi się białą myszką, pupilką gospodarza, i odgrywa z nim wieczorami intermedia i burleski według własnego pomysłu: „Pogrzeb Sary Bernhard", czy „Suflera primadonny". Te codzienne odwiedziny wchodzą tak bardzo w zwyczaj, że Picasso wychodząc na miasto zostawia zawsze na drzwiach kartkę, z objaśnieniem: „Jestem na obiedzie", albo „Zaraz wrócę". Raz zdumiony Jacob zastaje napis „Wyjechaliśmy do Hiszpanii". Musiało to być tuż przed ślubem Picassa z jego pierwszą żoną, tancerką rosyjską, (anegdotę tę opowiada Fabureau w swojej książeczce o Jacobie). Zabawnym świadectwem plotkarskich stosunków panujących w rozleglejszym, zdawałoby się, niż w Polsce, świecie literackim Paryża, jest wypowiedź Jacoba: „Napisał moją biografię niejaki p. Fabureau, którego nigdy nie widziałem na oczy". Żadnym jednak faktom podanym w książce nie zaprzecza. Wkrótce do Bateau-Lavoir sprowadza się Van Dongen i Salmon, wieczorami zbierają się tu coraz inni artyści. Jacob celuje w zabawianiu gości w najrozmaitszy sposób: czyta z rysów twarzy, rozdaje amulety, wykłada Apokalipsę, popisuje się wreszcie darem jasnowidzenia, z którego chętnie korzystają przyjaciele, aby zapytać go o radę w sprawie wyboru wełny, czy przynoszących szczęście wydawców.

Jacob żyje początkowo w wielkiej nędzy. Chodzi przez czas jakiś do Akademii Malarskiej, którą opuszcza upokorzony ubóstwem swego ubrania i brakiem pieniędzy na materiały malarskie, potem akompaniuje lichej śpiewaczce operowej, wreszcie zostaje guwernerem w bogatej rodzinie, gdzie również długo nie zabawi. Bywają dni, gdy żywi się tylko chlebem, a kiedy i na chleb nie starcza mu paru *sous,* zamyka się w pokoju i woła jękliwym głosem do pie-

karza, który przynosi mu rano bułki, aby zostawił mu je pod drzwiami, gdyż jest cierpiący i nie może wstać, by mu zapłacić. Zmożony głodem wraca do Quimper, gdzie ku przerażeniu rodziny zostaje czeladnikiem u stolarza, a następnie skrybą u miejscowego notariusza. Następny wyjazd do Paryża jest już pomyślniejszy: udaje mu się sprzedać parę swoich rysunków i poematów, zaczyna pisywać drobne krytyki malarskie. Tak wchodzi w życie artystyczne stolicy, powoli zaczyna być sławny nawet w salonach, gdzie czyta swoje wiersze i grywa ze zmiennym powodzeniem Mozarta. W roku 1923 jeden z przeglądów belgijskich poświęca cały numer jego twórczości.

W epoce nawrócenia poeta zostaje nagle opuszczony przez wszystkich niemal przyjaciół. Gorliwość neofity i ekshibicjonizm w sprawach religijnych przepłaszają niebieskie ptaki Montmartre'u. Ile w ich ocenach słuszności — nie sposób orzec. Harry Baur, znakomity aktor, powiedział o tych czasach: „Zanim Jacob nawrócił się — byłem jego przyjacielem"... Potem było już nie na miejscu przyjaźnić się z Maxem. André Billy, autor wstępu do wyboru poezji Jacoba, również z zażenowaniem wspomina te czasy: „Miałem dla niego tyleż litości, co przyjaźni, i te mieszane uczucia znajdowały wyraz w nieopisanym zawstydzeniu. Działo się to nie tylko mimo serdeczności objawianej przez Jacoba, ale właśnie jak gdyby z jej powodu — pisze Billy. — Mówiłem sobie, że tę samą czułość okazuje on nawet w nadmiarze, wobec wszystkich, i robi to w sposób, który wydawał mi się trochę — jakby to nazwać? — trochę w stylu kobiety lekkich obyczajów. Na wspomnienie o tym odczuwam teraz gorący żal".

W klasztorze benedyktyńskim prowadzi Jacob żywot samotniczy. Oddaje się praktykom religijnym, pisze trochę wierszy (zebranych pośmiertnie w „Derniers poèmes"), przyjmuje wierniejszych przyjaciół, którym zdarza się odwiedzić go czasem, niekiedy sam wyjeżdża do Paryża, raz nawet do Hiszpanii, w roku 1926 serdeczna przyjaźń łączy go z miejscowym proboszczem, do którego adresuje swój ostatni list z obozu w Drancy. Cieszy się z każdej nowej znajomości zawartej w miasteczku. Gdy czarne auto gestapo zajeżdża po niego w lutym 1943, zdąży jeszcze uścisnąć ręce swoich ostatnich przyjaciół: miejscowego fryzjera, szewca i aptekarza, którzy zbiegli się zaalarmowani przed jego dom. Aptekarz odważa się zagadnąć gestapowców: „Nie zrobicie mu nic złego? Przecież to erudyta". „Erudyta" znaczyło tu tyle co poeta, miłośnik książek, i święty, a nade wszystko wyłączony z życia. Ale tacy właśnie okazują się często najgroźniejsi, najniespodziewaniej mieszają się do spraw tego świata.

Wybór dokonany z poematów prozą jest może trochę niesprawiedliwy. Pomija bowiem te, które napisane zostały bezpośrednio z pobudek natury mistyczno-religijnej. Spłatą tego długu zaciągniętego bardziej wobec człowieka niż poety, miał być obszerny w stosunku do całości biografii ustęp o konwersji Jacoba. Sprawiedliwy jednak jest wybór r o d z a j u pisarskiego, bo właśnie poematy prozą wydają się najkapitalniejszym wkładem Jacoba do całokształtu poetyckiej kultury. Cóż bowiem zostaje nam z różnorodnej twórczości

Jacoba? W traktaciku „Ars poetica" usuwa Jacob powieść, podobnie jak u nas Witkiewicz, poza granice sztuki. (Z pewnością jednak powieści Jacoba są lepszym potwierdzeniem jego sądu, niż w przypadku odkrywczej twórczości prozatorskiej Witkiewicza). Wiersze Jacoba, doskonałej zresztą klasy, nie przewyższą chyba twórczości poetyckiej Cocteau. „Medytacje", dzieło ostatnich lat jego życia, to owoc wyrzeczenia się wszelkich ambicji pisarskich, i sam ich twórca pragnął, aby czytywano je jako rozważania moralne, do których nie pasują żadne oceny estetyczne. Godne uwagi są „Rady dla młodego poety", ale tylko jako notatnik z rozważań nad techniką i higieną pisarską. Dopiero „Cornet à dés" ustala pozycję Jacoba w literaturze francuskiej. I choć w wieku podeszłym zdarzyło mu się powiedzieć, że nie zna książki głupszej nad tę, bliższy był właściwym kategoriom oceny literackiej jako młodzieniec, kiedy obcy był mu jeszcze smak pisarskiej ascezy. Podawał się wtedy we wstępie do „Cornet à dés" za pierwszego twórcę poematu prozą, przyjmując za swych poprzedników co najwyżej Aloysiusa Bertrand i Marcela Schwoba. Kto zna „Cornet à dés", zna i wstęp poprzedzający każde nowe wydanie tego zbioru. (Jacob miał u nas zawsze swoją grupkę wielbicieli, szczególnie w epoce „Antologii liryki francuskiej" Napierskiego). Punktem wyjścia jest w tym ustępie pochwała klasycyzmu: „Kiedy śpiewak ma głos postawiony, może się zabawiać ruladami. Aby mnie dobrze zrozumieć, porównajcie potoczny język Montaigne'a z językiem Aristida Bruant, albo obelgi praktykowane w dzienniku za jeden su z brutalnością Bossueta atakującego protestantów".

Punkt drugi rozprawki: pochwała małej formy. „Dotąd otaczało się szacunkiem przede wszystkim dzieła długie, choć trudno jest być pięknym przez czas dłuższy. A przecież bywa, że poemat chiński, złożony z trzech linii, przekładamy nad „Ewę" Péguy liczącą 300 stron, a list pani Sévigné, pełen szczęśliwych zwrotów, swobodny i śmiały, nad owe stare romanse z dawnych czasów, które pozszywane z różnych kawałków — roszczą sobie pretensje do wzorowego kroju, ponieważ dobrane były według jakiejś wspólnej tezy". *Ergo:* byłoby niedorzeczne odmówić poematowi prozą prawa obywatelstwa pośród dzieł sztuki budzących doskonałe emocje artystyczne. To jednak nie wszystko: Każdy rodzaj ma swoje kanony i swoich przodków. Obie te sprawy domagają się rewizji. Tu Jacob tworzy sobie własną teorię sztuki, oceniając wszystkie gatunki literackie według dwu jakości, które określa jako „*style et situation*", styl i postawienie dzieła. Wyprowadza je zresztą racjonalnie, czyściutko i po francusku ze świadomej, upartej pracy pisarskiej. Czym jest owe „*style et situation?*" Że dzieło ma styl, poznajemy po wrażeniu zamknięcia; to, że jest „postawione", poznajemy po lekkim wstrząsie, jaki w nas wywołuje, „po marginesie obwodzącym je, po atmosferze, w jaką nas wprowadza". Ów „wstrząs" nie ma nic wspólnego z baudelairowską teorią „zaskoczenia", „niespodzianki" *(surprise)*, którą Jacob uważa za wulgarną. Zdumiewające, z jaką pasją Jacob, poeta posługujący się tak umiejętnie dowcipem poetyckim, zwalcza tę teorię Baudelaire'a. Trudno się oprzeć wrażeniu, że starcie to, dotyczące, zdawałoby się, zagadnień techniki, ma w gruncie rzeczy podłoże moralne. Ja-

kiego typu są zaskoczenia baudelaire'owskich spleenów: szydercze, bezlitosne, trujące. Przy cieniutko tkanych, choć z potocznego języka, anegdotach Jacoba, Baudelaire wydaje się genialnym kanibalem, wyplatającym potworną materię sztuki z żył i ścięgien ludzkich i to mimo całej jego „sztuczności".

Co rozumie Jacob przez *style et situation*, wyjaśniają dalsze przykłady: „Niektóre dzieła Flauberta mają styl, lecz żadne nie jest postawione. Teatr Musseta jest postawiony, ale nie ma wiele stylu. Twórczość Mallarméego jest przykładem dzieła postawionego; gdyby Mallarmée nie był tak napuszony i niejasny, byłby wielkim klasykiem. Rimbaud nie ma ani stylu, ani postawienia; dużą rolę odgrywa u niego baudelairowskie zaskoczenie. Rimbaud rozszerzył pole wrażliwości i wszyscy pisarze winni mu za to wdzięczność, ale autor poematu prozą nie może brać go za wzór, gdyż poemat prozą musi podporządkować się ogólnym regułom sztuki, które wymagają stylu, czynnika woli, i postawienia, które kształtuje ostateczne wrażenie z dzieła sztuki. Rimbaud zaś prowadzi tylko do nieporządku i rozdrażnia"... „Za wynalazców poematu prozą uważam Aloysiusa Bertrand i autora „Livre de Monelle", Schwoba. Obaj mają swój styl i margines, to znaczy komponują i stawiają. Pierwszemu zarzucam romantyzm „na wzór Callota" (jak on sam to określa), który przyciągając uwagę zbyt jaskrawym kolorytem zasłania samo dzieło. Zresztą Bertrand przyznał się do tego, nazywając swe fragmenty materiałami do dzieła, a nie skończonym dziełem. Drugiemu zarzucam, że pisał opowiadania, a nie poematy. Ale jakie opowiadania! Wyszukane, młodzieńcze, artystowskie! Być może jednak, że pisarze ci stworzyli poemat prozą nie wiedząc nawet o tym". Jakiż więc wniosek? Ten, który wygłosił na początku: „Żywię nadzieję, że „Cornet à dés" zadowoli czytelnika pod obydwoma względami". Tyle ze skromnych wypowiedzi autora.

Wybrane tu poematy prozą pochodzą z „Cornet à dés" i z „Derniers poèmes"; tutaj szczególnie dochodzi do głosu ton osobisty, wciąż jednak z dystansem ironii i delikatnego dowcipu. Nie trudno zgadnąć, kim jest ów Max, który wstąpił do Benedyktynów, w poemacie „Kilka postanowień tych, co się bawią"; jak osobista gorycz wobec samego siebie, dawnego „proroka salonów" przemawia w „Pielgrzymach z Emaus".

Poemat prozą Jacoba jest doskonałą kontynuacją literackich tradycji francuskich. Wyraźnie rysują się na nim pokłady chamfotowskich „Charakterów" i „Uwag moralnych", średniowiecznego apokryfu, czy roussowskiej impresji („Wystrzał"). Wszystko jakby *pastiche à la manière de...*, ale w nowym stopie, z nową pointą. (Ten właśnie brak jednolitości, tę kameleonowość poety uważał Marcel Raymond, historyk poezji owych czasów, za największą słabość Jacoba.) Nie brak i dadaistycznego stempla w jego zabawach ze słowami *(l'enfant, l'efant, l'éléfant, la grenouille et la pomme sautée)*, ale zabawy te trwają krótko, poeta zbyt świadom jest natury („natura" — jedno z pojęć najbardziej nadużywanych w konwencjach „Ars poetica" od starożytnych, poprzez Boileau, romantyków i naturalistów). „Natura — oto słownik, a słowniki — wiemy, co one dają: Tristana Tzara".

Niewyczerpana jest w poetyckich anegdotach Jacoba wiedza o ludzkim świecie, tak typowa dla francuskich pisarzy — wiedza o niezapisanych prawach wrażliwości człowieka i o tym, co komu należy, według praw towarzyskiej ankiety. Ile wykrytych automatyzmów sądu, przykładem choćby „Rodziny chrześcijańskie" i „Kilka postanowień". Dlatego poematy prozą Jacoba są tak zajmujące, tak świeże i konkretne przy poematach Michaux czy Ponge'a, gdzie abstrakcja, największy wróg sztuki, szerzy spustoszenia w jałowiejących coraz bardziej ogrodach poezji.

Julia Hartwig

MAX JACOB

ZABAWA ZE SŁOWEM „KASTA"

Pogodziłem się z moją matką, choć nie jesteśmy z jednej kasty. W Paryżu, gdzie nic się nie liczy, kasty się liczą. Spotkałem ojca Varnin, dawnego właściciela bistro, którego niegdyś ja i moi przyjaciele zrujnowaliśmy bez skrupułów, ponieważ nie jest z naszej kasty, i piłem z nim wino, choć nie jest z mojej kasty. Pamiętam, jak przechadzałem się po mieście z kurtyzaną z nie mojej kasty, którą gardziło miasto z powodu jej kasty, jednak, ponieważ podtrzymywała ona nieco życie w mieście, niektórzy uśmiechali się do niej, choć nie była z ich kasty. Kiedy pogodziłem się z moją matką, wyfroterowałem u niej podłogę; aby upokorzyć się — wykonywałem gesty innej kasty, ale okazało się, że wyfroterowałem podłogę na czarno, ponieważ nie jestem z kasty czyścicieli podłóg: czerń ta pochodziła z kropel smoły, które kapały z bufetu, ja zaś rozprowadziłem je dalej. Wypiłem szklankę wina przy rodzinnym stole, ale stojąc, ponieważ wyfroterowałem podłogę.

(„Cornet à dés")

ANEGDOTA

Pewien stolarz wychwalał jednego ze swych dłużników. Doniesiono o tym dłużnikowi, który zaniepokojony postanowił pobiec do swych przyjaciół.

— Co z panem? Przecież pański wierzyciel pana uwielbia.

— Ejże, czy pan nie widzi, że skoro zaczyna mnie chwalić, to znaczy, że chce zwrotu swoich pieniędzy, a jeśli jest pewien, że je odbierze, to zamierza mi przysłać komornika. Biegnę do moich przyjaciół, aby znaleźć mniej twardego wierzyciela, który mnie od tego uwolni.

Opowiadałem tę anegdotę pewnemu artyście, opisując mu przy tym rodzinę stolarza: jego żonę z napół odsłoniętą piersią, jej ręce kołyszące dziecko, brodę młodego robotnika...

— Mój drogi — powiedział artysta — jeśli dajesz stolarzowi brodę, nie dodawaj mu dziecka, proszę cię. Przy ogolonym ojcu obraz wydaje się nie tak głupi i anegdota zyskuje na tym.

Ponieważ nie rozumiałem, o co mu chodzi, artysta wzruszył ramionami z powodów, które przemilczę.

(„Cornet à dés")

KLUCZ

Kiedy pan na Framboisy wrócił z wojny, żona robiła mu gorzkie wymówki w kościele. Powiedział więc: „Pani, oto klucz od wszystkich naszych dóbr, wyjeżdżam na zawsze". Pani upuściła przez delikatność klucz na posadzkę świątyni. W kącie modliła się mniszka, zgubiła bowiem klucz od klasztoru i nikt nie mógł do niego wejść. „Proszę sprawdzić, czy nie będzie pasował do zamka". Ale klucza już nie było. Znajdował się w muzeum w Cluny: był to olbrzymi klucz w kształcie pnia drzewnego.

(„Cornet à dés")

RODZINA JAPOŃSKA

Mały Japończyk po śmierci swojej siostry wyjechał do Francji. Biedny Japończyk. Nie może zapomnieć swojej siostry. Rysuje do humorystycznych pism, ale wszystkie twarze kobiece są podobne do twarzy jego ukochanej siostry. Stary Japończyk w ambasadzie myśli, że sprawi mu przyjemność wysyłając pisma do jego ojca, do kraju. Ojciec łka: rozpoznaje swoją ukochaną córkę.

(„Cornet à dés")

HOJNOŚĆ HISZPAŃSKA

Król Hiszpanii przysłał mi przez jednego z moich hiszpańskich przyjaciół trzy wielkie diamenty do koszuli, koronkową kryzę do kurtki torreadora i portfel z listami polecającymi. Pojazdy. Bulwary, wizyty u przyjaciół: czy służąca prześpi się ze mną? Pan S. L. wyciągnął rękę do G. A., który odmówił swojej bez podania powodów. Pogodziłem się z Y... Nagle w Bibliotece Narodowej spostrzegam, że jestem strzeżony. Czterech urzędników zbliża się do mnie ze szpadą nie większą, niż szpada lalki, za każdym razem, kiedy próbuję podejść do pewnych książek. Wreszcie zaczepia mnie młodziutki groom. — Proszę za mną — mówi. Pokazuje mi studnię ukrytą z książkami; pokazuje mi koło z desek, które wygląda na narzędzie tortur: — Pan czyta książki o Inkwizycji, jest pan skazany na śmierć. — Dostrzegam na moim mankiecie wyhaftowaną trupią czaszkę. — Ile? — pytam. — Ile pan może dać? — Piętnaście franków. — To za dużo — mówi groom. — Dam je panu w poniedziałek. — Hojność króla Hiszpanii wzbudziła podejrzenia Inkwizycji.

(„Cornet à dés")

———

Portret dziadka zrobiony przez pięcioletnie dziecko: głowa wołu paląca fajkę. Rodzina jest zachwycona, dziadek wściekły.

Kiedy maluje się obraz, za każdym dotknięciem pędzla zmienia się on, obraca jak walec bez końca. Kiedy przestaje się obracać, znaczy to, że jest skończony. Mój ostatni przedstawiał wieżę Babel z zapalonymi świecami.

————

Aby pokazać, jak ważne są sprawy jedzenia u Rotschildów, pewien magazyn przedstawił tę rodzinę, maleńką, pod stosem talerzy. Jakiś czytelnik przygląda się postaciom drobnym jak mrówki przez lupę. — Który to Henryk? Który Henryk?

ZMIENNOŚĆ POGLĄDÓW, NIEMOC I WYKSZTAŁCENIE KLASYCZNE

Rozpieszczone 30-letnie dziecko siadło w wysokim, dziecinnym krześle. Brat rozprawiał: — Urzędnik handlowy nie powinien być zbyt wykształcony, brak mu wtedy pokory. Cóżeście zrobili z Marcelim? Słyszę jak wzdychają jego rodzice i słyszę wiele innych wzdychań. Czy wiecie, że Józef Dumain zna na pamięć tysiąc wierszy i kazania Bossueta? — To z racji tytułów — powiedziała matka. — Jakich tytułów? Imię Józef jest synonimem niemocy. — Rozpieszczone 30-letnie dziecko wlazło na wysokie krzesło, płakało samo nad sobą; ojciec płakał. Po chwili rozpieszczone dziecko mówiło w korytarzu: — Jest pół prawdy w tym, co mówił, ale tylko pół. — Brat dorzucił: — Ale spójrz sam na siebie. — Po tej wojnie wszystko się zmieni. — Dlaczego po, a nie podczas?

(„Cornet à dés")

DWIE ELITY WIDZÓW

W dniu wyścigów królowa matka miała pończochy z niebieskiego aksamitu. Kochanka królewska zbliżyła się do bariery: — Książę — rzekła — ta kobieta nie jest twoją matką; nie ma do tronu praw, które sobie uzurpuje... — Król wygłosił w wielkiej przemowie pochwałę prostytucji i poślubił swą kochankę, ladacznicę. Służący w okularach, który spał w kuchni na piecu z malowanej porcelany, był szczęśliwy z powodu tego małżeństwa. — Co o tym myśli elita widzów? — Widzowie z pierwszych rzędów uważali przemowę o prostytucji za zbyt rozwlekłą, inna część elity bardzo ją oklaskiwała.

(„Cornet à dés")

METAMPSYCHOZA

Tu ciemność i cisza. Kałuże krwi mają kształt obłoków. Siedmiu żon Sinobrodego nie ma już w szafie. Nie zostało po nich nic prócz czepka z organdyny. Ale tam. Tam. Na Oceanie widać siedem galer, siedem galer, na których liny spadają z masztów w morze, jak warkocze na ramiona kobiet. Zbliżają się. Zbliżają. Już są.

(„Cornet à dés")

WYSTRZAŁ

Ach. Nie śmiem wiedzieć. Nie chcę wiedzieć. Nie mogę postanowić, że wstanę i dowiem się. Wystrzał. Wystrzał. Wczoraj wieczorem był taki smutny: jego biedne grosze. Jego biedne serce. Nawet kiedy słońce będzie wysoko na niebie, nie zechcę dowiedzieć się... Wolę umrzeć ze zmartwienia na łóżku. W domu okiennice są jeszcze zamknięte; spotykam starego F., z pewnością słyszał wystrzał i przygląda mi się ze smutkiem. Moja siostra ubierając się mówi: „powinieneś zajrzeć do sosnowego lasku". Ale nie odpowiadam; obejmuję głowę rękami i szlocham... Może jednak to był strzelec poranny. Ach, nie śmiem wiedzieć, nie chcę wiedzieć: wczoraj wieczorem był taki zrozpaczony.

(„Cornet à dés")

POEMAT

— Będę przychodził do pani każdego ranka, dopóki pani syn, kapitan, nie wróci z kolonii.

— Byłoby o wiele prościej sprawdzić roczniki i dowiedzieć się kiedy przyjedzie, skoro tak bardzo pragnie go pan zobaczyć.

Weszliśmy do damy w czasie jej nieobecności. Moja siostra oświadczyła, że dama ma piękne meble: łóżko z inkrustacjami, z kości słoniowej z którego niektóre inkrustacje wypadły.

— Wszędzie widuje się takie łóżka. Zresztą to nie jest ładne, bo nie jest stare, a nie jest stare, bo oto inkrustacja z portretem syna pani.

— Nie używaj jej pilnika do paznokci. Po pierwsze, ponieważ nie umiesz się posługiwać pilnikami z kości słoniowej, po drugie dlatego, że nie wypada używać pilnika do paznokci pań, których nie ma w domu. Jeśli tu wejdzie, co powie? Jeśli nic nie powie, co siebie pomyśli?

— Powiem, że czekam na jej syna, który jest w koloniach.

— Będzie uważała, że nadużywasz jej gościnności, wyrzuci cię i będziesz musiał znów pić samotnie na tarasie kawiarni.

(„Cornet à dés")

BAJKA NA BOŻE NARODZENIE

Był pewnego razu w Filadelfii architekt, czy też koń; był to raczej koń, niż architekt. Powiedziano mu: — Znasz katedrę w Kolonii? Zbuduj katedrę podobną do kolońskiej. — A że nie znał katedry w Kolonii, wtrącono go do więzienia. Ale w więzieniu ukazał mu się anioł i powiedział: — Wolfrang, Wolfrang. Dlaczego rozpaczasz? — Muszę siedzieć w więzieniu, ponieważ nie znam katedry w Kolonii. — Trzeba ci wina reńskiego, aby zbudować katedrę jak w Kolonii, ale pokaż im plan, a wyjdziesz z więzienia. — I anioł dał mu plan, architekt pokazał plan i wyszedł z więzienia, ale nie mógł wy-

budować katedry, ponieważ nie dostał reńskiego wina. Przyszło mu na myśl sprowadzić wino reńskie do Filadelfii, ale przysłano mu straszne wino francuskie z nad Mozeli, tak że nie potrafił zbudować katedry kolońskiej w Filadelfii; zbudował tylko okropną świątynię protestancką.

(„Cornet à dés")

RODZINY CHRZEŚCIJAŃSKIE

W szkole klasztornej w X zdarzył się niezwykły wypadek. Zdumiewający cud. Mnich pobił chłopca, gdyż ten zakpił sobie z niego. Młodzieniec wezwał Chrystusa na świadka, że nie kpił z mnicha i marmurowy Chrystus wyciągnął rękę nad ofiarą, aby ją pobłogosławić, po czym tą samą ręką spoliczkował oprawcę. Cała klasa padła na kolana. Niejeden poczuł tego dnia powołanie; wiecie co nastąpiło potem? Rodziny przejęły się tym. Zaczęto zabierać dzieci z internatu, nie dlatego, że dzieci były w nim bite, ale ponieważ wychowanie było „o wiele za mistyczne" (sic).

(„Derniers poèmes")

KILKA POSTANOWIEŃ TYCH, CO SIĘ BAWIĄ

Poniedziałek: Świetnieśmy się bawili wczoraj u Melanii; uroczo było. Powtarzajmy sobie to często dla pewności.

Wtorek: Jakżeśmy się bawili wczoraj u Zuzanny. Marceli jest przemiły; ale Maria jest nieznośna. — Nieznośna.

Środa: Bawiliśmy się wczoraj u Juliusza. Powtórzmy. Malarstwo Maurycego jest urocze, ale muzyka Ludwika nic nie warta. — Masz rację.

Czwartek: Item.

Piątek: Alfred się zabił: co za głupota. — Tak, to głupota.

Sobota: Będziesz jutro u Augustyny? Maks wstąpił do Benedyktynów. To wariat. — Tak, to wariat. Trzeba być wariatem: to wariat.

Niedziela: To wariat. Ostatecznie trochę religii jest w dobrym tonie, ale żeby posuwać fanatyzm aż do wstąpienia do Benedyktynów, to już szaleństwo. Do czegóż to podobne. Czy wiecie, że... — No, no...

(„Derniers poèmes")

PIELGRZYMI Z EMAUS

Nie wiem, kto to był na prawdę. Bistro, jedno z tych, w których minęła moja młodość. Stół z białego marmuru i w rogu na obu ścianach tradycyjne lustro. Miałem na głowie ubogi okrągły kapelusz i moja twarz zapytywała chore oko Pana (to był On. Podobny był raczej do św. Jana Chrzciciela, ale to był On):

— Ponieważ jesteś Bogiem i wiesz wszystko, powiedz mi, kiedy skończy się wojna. — I dorzuciłem... i kto będzie zwycięzcą?

— Mam ci powiedzieć, abyś poszedł udawać proroka w salonach? — umilkł.

Wieczór zapadał. Na stole nie było nic do picia.

(„Derniers poèmes")

STRONICA Z HISTORII

Każdy stół tu to Ludwik XV i każdy fotel, każdy dywan z Aubuson. Okna sięgają aż pod sufit malowany przez Lebruna. Sufity. Wyście nie kłamały.

— Kłamią tu okna wychodzące na francuski ogród. Okna, okłamujecie nas parkiem francuskim. Okłamujecie nas parkiem, ukrywacie Acheront i przepastne studnie. Na dowód — straszliwe jęki wydobywające się z przepaści.

— Panie ministrze, pan jest świnia — ryczał demon Azazel, ukryty pod rysami sławnego X.

— A pan druga, — ryczał demon Amaymon ukryty pod rysami sławnego Z.

— Panie ambasadorze, ja sypiam z pana matką. — oświadczył Migalczus.

— Z moją matką, świnio, z moją matką. Zostaw go Julian, to cham.

— Gwiżdżę sobie — powiedział demon Mahazael. — Daj milion, albo wypatroszę ci szafę rewolwerem.

— Moje papiery. Moje papiery. Nie ruszaj moich papierów, łotrze.

— Nie ruszaj, Mazael. To butelki i cygara.

— Spokojnie, panowie. Nie bijcie się — powiedział odźwierny, który był demonem Oriens. — Niech ci panowie zechcą wziąć pod uwagę, że wszystko słychać w przednim pokoju.

— Ma rację — powiedział demon Samael. — No. No. Cisza. Trzeba zredagować komunikat. Redagujmy, proszę was. Komunikat do radia i do prasy.

Więc piekło zamilkło i z przepastnych studni wyszedł donośny, trójkolorowy głos:

— Panowie, proponuję tekst i oczekuję poprawek.

„Delegaci zebrani w duchu zgody i pokoju, mając na względzie honor ojczyzny i przyszłość Francji..."

Woźny otworzył obojętnie dwuskrzydłowe drzwi, odsłonił piekło i głowy zwierząt na ciałach mężczyzn; w przejściu wytworzył się zator i delegaci wymieniali ukłony ustępując sobie miejsca. W godzinę potem śniadali u diuszesy, markizy, lub po prostu żony finansisty. Podczas gdy demony innego gatunku grały dzieła Bacha, Beethowena i Mozarta, rozmawiali o malarstwie wszystkich wieków.

Na ulicy niebo było ołowiane, przecięte czerwonym piorunem.

(„Derniers poèmes")

RZĄDY PROROKÓW

Nie ma już zboża na chleb.

Są jeszcze stare zabytki świetnie naprawione.

Nie ma już masła do jajek.
Nie ma już jajka do masła.
Są jeszcze przewodnicy w zabytkowych budowlach.
Nie ma już nie ma wołu na kotlety wołowe.
Nie ma już baranów na baraninę. Nie ma baranów, nie ma musztardy.
Ale przewodnicy mają wiedzę, dzięki Bogu.
I trochę wyobraźni pomoże.
Pewnego dnia pewien bardzo świątobliwy biskup przechadza się w bardzo antycznym kościele.
— Wasza Świątobliwość, nie mamy już wosku na świece, nie mamy oliwy do lamp w sanktuarium.
— Skąd więc te światła, które się palą? — odpowiada biskup. — Macie elektryczność?
— Wasza Dostojność kpi sobie z pokornego przewodnika. W kościele jest ciemno.
— Jak więc to się dzieje, że lampy są zapalone u stóp posągów i w aureolach świętych?
— Wasza Dostojność jest jasnowidzem niebieskim — mówi przewodnik i klęka.
Kiedy biskup wyjechał, przewodnik spotkał księdza M. na rowerze.
— Jego Dostojność oszalał.
— Oto mi nowina — powiedział ksiądz. — To niemożliwe. Bóg nie zgodziłby się na takie nieszczęście. Widział pan jego Dostojność?
— Nie ma go już.
— Nie ma go, nie ma go.
— Nie ma już tłustych baranów.
— Ale biskupi zostają jasnowidzącymi.
— Częściej niż jasnowidzący biskupami, prawda?

(Derniers poèmes)

Przełożyła *Julia Hartwig*

FEDERICO GARCIA LORCA

ROMANCA O KSIĘŻYCU

Księżyc do kuźni nadszedł
w białej mantylli z tuberoz.
Dziecko nań patrzy i patrzy.
W powietrzu rozdygotanym
porusza rękami księżyc.
Piersi swe z twardej cyny
odkrył czysty i lubieżny.
Uciekaj, księżycu, księżycu.
Gdyby cyganie nadeszli,
zrobiliby z serca twego
wisiorki i pierścioneczki.
Dziecię, dajże mi zatańczyć.
Kiedy nadejdą cyganie,
odnajdą cię na kowadle
z zamkniętymi oczętami.

Uciekaj, księżycu, księżycu.
Już słyszę tętent ich koni.
Dziecino, zostaw mnie, nie depcz
mej bieli nakrochmalonej.

Jeździec się wciąż przybliża,
grając na bębnie równiny.
W kuźni dzieciątko leży
z oczami zamkniętymi.

Wędrują przez gaj oliwny
Dziecko wpatrzyło się w niego.
z brązu i ze snu — cyganie.
Z głowami podniesionymi
i przymkniętymi oczami.

Jakże zahukał puszczyk,
ach, jak zahukał w sadzie!
Niebem odchodzi księżyc
i dziecko za rączkę prowadzi.

W kuźni szlochają i płaczą,
w rozpaczy krzyczą cyganie.
Wiatr przy nich czuwa i czuwa.
Wiatr czuwa tam bezustannie.

ROMANCA O SMUTKU

Motyki kogutów grzebią
w ziemi, szukając jutrzenki,
kiedy Soledad Montoya
zstępuje nocą z gór ciemnych.
Mosiądzem jest jej ciało,
nocy się lęka i koni.
Przyćmione kowadła jej piersi
krągłymi pieśniami dzwonią.
— Soledad: czego ci trzeba,
samotnej i o tej porze?
— Trzeba mi, czego trzeba
i nic mi nie dopomożesz.
Wiem ja, czego mam szukać,
radości i siebie samej.
— Soledad, o moje smutki,
koń, gdy poniesie w szale,
w końcu do morza wpada
i pochłaniają go fale.
— Nie mów mi nic o morzu;
nam wschodzą czarne smutki
na ziemiach sadów oliwnych,
gdzie liście szumią cichutko.
— Soledad, jakżeś ty smutna!
Sam smutek, rozpacz sama!
Ty płaczesz sokiem cytryn
cierpkim od dni czekania.
O, jakiż smutek! Wybiegam,
przez dom mój szalona kroczę,
od kuchni aż do sypialni
wloką się moje warkocze.
O, smutek! Z węgla i ciała

i z szat zamierzchły mój obraz!
O, moje koszule płócienne!
O, moje makowe biodra!
— Soledad: wodą skowronków
obmyj dziś ciało swoje
i serce własne pozostaw
w pokoju, Soledad Montoya.

W dole śpiewająca rzeka:
nieba i liści falbanka.
W górze na nowiu księżyc
w kwiatów dyniowych wianku.
O, ciężki smutku Cyganów!
O, smutku źródeł ukrytych!
Smutku samotny i czysty
nierychłych, dalekich świtów

ROMANCA O SMUTKU SOMNAMBULICZNYM

Zieleń. Kocham cię zieleni.
Wiatr zielony i gałęzie.
Statek na dalekim morzu
i koń u górskiej przełęczy.
Ona śpi na swym balkonie.
Cień ją w pasie mrokiem przybrał.
Ciało i włosy — zielone,
a oczy z zimnego srebra.
Zieleń. Kocham cię zieleni.
Księżyc-Cyganka się zniża.
Wszystkie rzeczy patrzą na nią,
lecz ona nie może widzieć.

Zieleń. Kocham cię zieleni.
Wielkie gwiazdy szronu cicho
przychodzą ze smołą cieni,
by otworzyć drogę świtom.
Figowiec o wiatr się czochra
szczotkami szorstkich gałęzi,
a pagórek — dzika kuna —
w mroku jeży się i pręży.
Kto przyjdzie? I z której strony?...
Ona — na balkonie w ciszy,
ciało i włosy zielone,

i o morzu sen jej śni się.
— Druhu, my się zamienimy,
dam ci za zwierciadło — siodło,
za twój dom dostaniesz konia,
a za płaszcz — mój nóż ci oddam.
Druhu, idę, krwią spływając,
aż od przystani kabryjskich.
— Spełniłbym ja twe pragnienia,
chętniebym cię zaspokoił,
ale ja — już dzisiaj nie ja
i mój dom już nie jest moim.
— Druhu mój, dostojnie umrzeć
na swym własnym łożu chciałbym.
Na stalowym, żeby było
z bielusieńkim prześcieradłem.
Czyż nie widzisz, jak mi rana
piersią biegnie aż do gardła?
— Na twej koszulinie białej
róży trzysta kwiatów smagłych.
W tryskającej krwi strumieniach
pas odświętny — twoim strojem.
Ale ja — już dzisiaj nie ja
i mój dom już nie jest moim.
— Pozwólże mi chociaż wspiąć się
na wysokie twe balkony,
pozwólże, pozwól mi wspiąć się
na zielone twe balkony.
Na balkony księżycowe,
skąd się z szumem sączą wody.

I wspięli się dwaj druhowie
na wyniosłe balustrady,
krwawe ślady zostawiając,
zostawiając łez swych ślady.
Latarki zadygotały
blaszane, na dachach dźwięcząc.
Tysiąc bębnów kryształowych
pokaleczyło jutrzenkę.

Zieleń. Kocham cię zieleni.
Wiatr zielony i gałęzie.
Dwaj druhowie wzwyż się wspięli.
Wiatr przeciągły, wiejąc wszędy,
rzucił w usta rzadkie smaki

żółci, macierzanki, mięty.
— Druhu mój! Gdzie ona, powiedz,
gdzie twoja smutna dziewczyna?
Ile razy cię czekała!
Ileż razy tu chroniła
twarz swą chłodną, włosy czarne
na zielonym, na balkonie!
Cyganka się kołysała
w studni ponad wodą ciemną.
Ciało i włosy — zielone,
a oczy z zimnego srebra.
Kra świecąca księżycowa
unosiła ją na wodzie.
Noc się stała malusieńka,
niby zakątek w ogrodzie.
Wtem pijani policjanci
jęli we dźwierze łomotać.
Zieleń. Kocham cię zieleni.
Wiatr zielony i gałęzie.
Statek na dalekim morzu.
I koń u górskiej przełęczy.

ZWADA

W głębi ciemnego parowu
piękne od juchy wrogiej
noże albacetyńskie
błyszczą jak ryby w wodzie.
Światła twardego ostrze
wycięło z kwaśnej zieleni
konie spienione gniewem
i jeźdźców profile nad nimi.
Płaczą kobiety sędziwe
w gałęziach oliwki złotej.
Byk rozjuszonej zwady
śród ścian parowu się miota.
Chusty i wodę ze śniegu
czarne anioły przynoszą,
anioły o wielkich skrzydłach
z albacetyńskich noży.
Juan Antonio z Montilli
wali się trupem na dół.
Ciało ma całe w irysach,

a skronie pełne granatów.
Teraz tam krzyż się ognisty
unosi na śmierci szlaku.

Sędzia wraz z gwardią cywilną
przez gaje oliwne bieży.
Oślizgła krew jęczy głucho
śpiewem pełznących węży.
Słuchajcie panowie żandarmi:
zdarzyła się tu rzec zwykła.
To czterech Rzymian poległo
i pięciu Kartagińczyków.

Oszalały od figowców
i od płonących szelestów
wieczór omdlały opada
na uda zranionych jeźdźców.
I czarne anioły lecą
niebem, gdzie zachód odpływa.
Anioły o długich warkoczach
i małych sercach z oliwy.

ARESZTOWANIE

Antonio Torres Heredia
syn i wnuk Camboriów rodu
na walkę byków w Sewilli
podąża z pałką wierzbową.
Smagły zielenią księżyca
powoli i wdzięcznie kroczy.
Lśniące, namaszczone loki
opadają mu na oczy.
Na samym środku gościńca
począł do wody miotać
zerwane cytryny krągłe,
aż woda się stała złota.
Ale na środku gościńca
pod konarami wiązu
już nań żandarmi czekali,
aby mu ręce związać.

Dzień się oddala powoli,
przewiesił wieczór przez ramię

jak torreador — płaszcz długi
nad morzem i strumieniami.
Drzewa oliwne czekają
na moce koziorożcowe,
a nagły wietrzyk jak jeździec
skacze przez góry z ołowiu.
Antonio Torres Heredia
syn i wnuk Camboriów rodu
bez pałki wierzbowej idzie,
żandarmi go z sobą wiodą.

— Antonio, kimże ty jesteś?
Jeśli Camborio twe imię,
to rzeka krwi tutaj zaraz
z pięciu strumieni popłynie.
Nie jesteś synem niczyim,
ni Camborio prawowitym.
Nie masz już cyganów, którzy
samotnie chodzili wśród szczytów!
Zamarły już noże stare,
dygocą kurzem okryte.

O dziewiątej go wieczorem
wprowadzają do więzienia,
tymczasem żadarmi piją
lemoniadę — pomęczeni.
I o dziewiątej wieczorem
zamykają go w więzieniu,
tymczasem niebo wysokie
jak grzbiet źrebięcia się mieni.

Przełożył *Jerzy Ficowski*

W 75 ROCZNICĘ ŚMIERCI TEODORA TIUTCZEWA (1873—1948)

LIST TIUTCZEWA DO ŻONY ERNESTYNY

Warszawa, 23 czerwca 1843.

Moja droga koteczko! Już dziesięć dni, jak wyjechaliśmy z Wiednia. Pierwszego dnia jechaliśmy koleją; nazajutrz byliśmy już w Krakowie, gdzie zatrzymaliśmy się na dwa dni. Kraków to miasto, które byś obejrzała z przyjemnością. To godny brat Pragi, ale tylko drogi sercu nieboszczyk. To ostatni malowniczy widok, jaki rozciąga się przed podróżnym jadącym na Wschód. Zaraz bowiem za tym miastem zaczyna się ogromna równina — równina scytyjska, która tak nie podobała się tobie na mojej mapie plastycznej, gdzie rozpływa się jako jakaś olbrzymia plama; i w rzeczywistości nie jest też lepsza.

A teraz, droga, musisz się pogodzić z tym, że przez miesiąc albo i dłużej nie otrzymasz wiadomości ode mnie, ponieważ list, który napiszę do ciebie z Moskwy, dojdzie do Monachium nie wcześniej, niż po 15—18 dniach. Warszawa zdziwiła mnie przyjemnie. To prawie duże miasto i obecnie dzięki targom bardzo ożywione.

Przeżyłem tutaj na nowo wiele wrażeń, które przez całe lata drzemały w mojej duszy i nagle zbudziły się, jak tylko wyszedłem na ulicę. Miasto mimo wszystko bardzo jest podobne do Moskwy, co zwłaszcza uderza tego, kto przyjeżdża z Zachodu.

Oprócz tych wrażeń mogę ci jeszcze powiedzieć o spotkaniu z kilku znajomymi, m. in. z rodzicami Iwana Gagarina i oczywiście z nieuniknionym Turgeniewem, który wraca z Moskwy i udaje się do Kissingen z notesem w ręce.

Ze wszystkich ludzi ja z pewnością jestem najmniej przystosowany do rozłąki; rozłąka dla mnie to swego rodzaju niebyt, który sam siebie poznaje.

24 czerwca rb. Spędzimy tu jeszcze dzień dzisiejszy. Wczoraj w noc świętojańską odbyło się tu coś w rodzaju zabawy ludowej, odbywa się ona każdego roku. Cała ludność miasta wyległa nad Wisłę; olbrzymi tłum stał na moście. Zgodnie ze zwyczajem dziewczęta w tym dniu rzucają do rzeki wianki i z tego, jak te wianki płyną w dół rzeki, wróżą o przyszłości. To oczywiście szczegół poetyczny, ale niestety, jeśli to się nawet dzieje, trzeba temu wierzyć na słowo, ponieważ w tłumie i ścisku nic nie można zobaczyć.

Co się tyczy opinii, że Polki są czarujące, to sprawa inna; to już nie fama, ale bardzo miła rzeczywistość. Kobiety tutejsze istotnie odznaczają się jakimś osobliwym wdziękiem, specjalnie miłym sposobem mówienia, melodyjnym głosem, o czym głos pani Wyszkowskiej daje bardzo niezupełne wyobrażenie.

Okolice Warszawy nie są pozbawione uroku, choć okolica równinna. Ale widzę, że zaczynam wpadać w ton zawodowego turysty. A więc żegnaj, moja koteczko.

(Gagarin dyplomata rosyjski, były poseł w Monachium. Turgeniew Aleksander — brat dekabrysty Mikołaja Turgeniewa, Wyszkowska z domu Czetwertyńska, mieszkała w Monachium).

SILENTIUM

Ukrywaj, milcz i w sobie taj
marzenia i swych uczuć raj!
Niech w głębi duszy, gdzieś je splótł,
swój zachód znają i swój wschód,
jak gwiazdy na niebieskiej karcie.
Podziwiaj je i milcz uparcie.

Jak się wypowie serca łza?
Jak inny cię zrozumieć ma?
Czy trafi on do twoich bram?
Myśl wysłowiona — tylko kłam,
zamącisz zdrój przez śluz otwarcię:
więc karm się nim i milcz uparcie.

Żyj w sobie samym tylko rad:
w twej duszy mieszka cały świat
czarownych, tajemniczych mar,
zagłuszy je zewnętrzny gwar,
blask dzienny skaże na wymarcie:
więc chłoń ich pieśń i milcz uparcie!

1830

KOŃ MORSKI

O koniu morski, koniu bystry
z bladozieloną gęstą grzywą,
to miotający wściekłe iskry,
to znowu cicho — pieszczotliwy.
Wykarmił ciebie wicher huczny
w nieogarnionym bożym polu,
on brania przeszkód cię nauczył
i żwawych skoków i swawoli!

Ach, lubię ciebie, gdy zuchwale
w potędze dumy swej wspaniałej,
rozwiawszy gęste grzywą fale,
dymiący parą, w pianie cały,
ku brzegom bieg kierujesz hardy,
z wesołym rżeniem wodę mieciesz,

kopytem ciśniesz o brzeg twardy
i nagle w bryzgach się rozlecisz.

1830?

* *
*

Żar w powietrzu i milczenie,
duszno, burza już nadpływa —
róż gorętsze z sadu tchnienie,
głośniej świerszczyk się odzywa.

Cyt, za chmury kadzielnicą
grzmot potoczył się zuchwale,
niebo lotną błyskawicą
okręciło się jak szalem...

Jakiś nadmiar bujny życia
ciepłym wiatrem nas owiewa
i jak boski napój skrycie
w żyłach pali, w sercu śpiewa...

Co, dziewczyno, tak porusza
młodych piersi twych zasłoną,
co tak mąci, co tak wzrusza
twoje oczy rozemdlone?

Czemu czerwień lic zamiera
tak, że stoisz blada, cicha?
Co ci w piersiach dech zapiera,
czemu warga twa zasycha?

Poprzez rzęsy jedwabiste
łez się już potoczek smuży...
Czy to pierwsze krople czyste
nadchodzącej właśnie burzy?

1831—1836

* *
*

Jeszcze wciąż pragnę nieprzytomnie
i myśli się do ciebie rwą
i w mroku nieugasłych wspomnień
wciąż jeszcze chwytam postać twą.

Niezapomniana i bezcenna
zawsze i wszędzie mi się śni,
nieosiągalna i niezmienna
jak gwiazda, która nocą lśni.

1848

* *
*

Nieostygła od dnia znoju
noc lipcowa w krąg błyszczała...
I nad ziemią w chmur zawoju
niebo pełne niepokoju
w błyskawicach ciągle drżało.

Jakby rzęsy tajemnicze
podnosiły się nad nami
i przez śmigłe błyskawice
czyichś groźnych ócz źrenice
zapalały się czasami.

1851?

* *
*

Jak grzmi wesoło letnia burza,
kiedy miotając pył do góry
wichura popędzając chmury
zamąci jasność na lazurze
i rozszalała w ślepej dumie
na las dębowy nagle skoczy
i w krąg dąbrowa zadygocze
w konarów tęgich trwożnym szumie...

Jak stopą niewidzialną gięty
bije olbrzymów rząd pokłony,
jak niespokojnie ich korony
toczą ze sobą spór zawzięty —
i przez niepokój ten i trwogę
brzmi ptactwo w nieustannym świście
i w wietrze pierwsze żółte liście
gdzieniegdzie lecą już na drogę.

1850—1851

* *
*

Popatrz, jak gaje zielenieją
oddane słońca skwarnym snom,
jak wdzięcznie się gałązki chwieją,
jaką słodyczą liście tchną.

Chodź, siądźmy tu nad korzeniami
drzew, co z próchnicy czerpią sok,
tam, gdzie owiany ich cieniami
zdrój szepce pieśń w milczący mrok.

Nad nami w górze ich konary
majaczą chłonąc dzienny znój
i tylko czasem w nieb obszary
sęp dumnie rzuci okrzyk swój.

1857
przełożył *K. A. Jaworski*

KAROL W. ZAWODZIŃSKI

POEZJA LUDZKA I WSPANIAŁA

I

Czużaja dusza — potiomki, mówi przysłowie rosyjskie: „dusza innego człowieka — mrok". Nie tylko dusza człowieka, ale i dusza narodu; podobnie jak dusza indywidualna uzewnętrznia się — w bardzo różnym stopniu zrozumiale i jednoznacznie — czynami, gestami, mimiką, a zwłaszcza artykułowaną mową, tak i dusza zbiorowa wyraża się zachowaniem się narodu w dziejach, jego dokonaniami w dziedzinie nauki i sztuki, a nade wszystko jego literaturą. Stworzona w materiale słowa, odpowiada ona artykułowanej mowie jednostki i tak samo jest ograniczona w swym zasięgu ramami zasięgu danego języka. Ramy te stosunkowo łatwo mogą być przekraczane przy pomocy przekładów, jeśli chodzi o dzieła literatury, których waga skupia się w warstwie semantycznej (znaczeniowej) słowa: takimi dziełami są utwory epickie i dramatyczne, zwłaszcza gdy są pisane prozą, gdy język nie wykracza w nich poza rolę komunikatywną, rolę obojętnego medium, pośrednika w przekazywaniu pewnych treści, zwłaszcza odnoszących się do zewnętrznego świata rzeczy, zdarzeń, czynów ludzkich; znamy szereg dzieł powieściowych i dramatycznych, które w przekładach stały się jednakowo dostępne całej ludzkości.

Inaczej jest, gdy chodzi o utwory, w których słowo jest przedmiotem wszechstronnej obróbki i użytkowania artystycznego „jako takie", samo w sobie. Dzieje się to w poezji w węższym znaczeniu. W niej słowa-wyrazy są w swym doborze i uszeregowaniu poddane wymaganiom rytmu, najczęściej zwężonego do ściślejszych praw metryki, to znaczy są złożone w wiersze: pierwsza trudność wiernego odwzorowania oryginału w obcojęzycznym przekładzie. W ślad za tą trudnością przychodzą inne, tym większe, im bardziej utwór leżący na warsztacie tłumacza oddala się od czystego typu poezji epickiej lub dydaktycznej, gdzie można „od biedy", idąc za nicią fabuły lub rozumowania, oddać „treść", lekceważąc specyficzne, ale może mniejszej wagi właściwości oryginału, wynikające ze spajania się słów w ściślejsze kompleksy-wiersze, często nie pokrywające się z logiczno-syntaktycznymi związkami słów — ze zdaniami.

Ale w poezji w najściślejszym, najwęższym znaczeniu, równoznacznym dziś dla nas z pojęciem liryki, słowa wchodzą ze sobą w inne jeszcze pozalogiczne związki: dźwiękowe, nie tylko w rymach; a większą jeszcze bodaj wagę dla *imponderabiliów* ekspresji mają skojarzenia związane z użytymi wyrazami, zarówno pod względem dźwięku jak i znaczenia, to według podobieństwa, to według kontrastu, przynależność słów do pewnych szeregów leksycznych (słowa patetyczne, uroczyste, obrzędowe — lub przeciwnie: potoczne, uliczne, ordynarne) oraz przypominające się nam (lub subtelnie przypominane przez poetę), oboczne znaczenia wyrazów, peryferyczne, zapomniane częstokroć w codziennym życiu, a uwydatniane, odświeżane w niezwykłym związku słów. Te zaś niezwykłe związki, których tworzenie stanowi naczelny element twórczości poetyckiej powstają w drodze stosowania różnych „figur" i „tropów" stylistycznych, a przede wszystkim przenośni; metaforyczność stylu, uważana przez niektóre kierunki poetyckie za *differentia specifica* poezji (przynajmniej liryki) jest jednocześnie realizacją postulatu starej teorii, kwitnącej, szczególniej w Rosji, od czasów romantyzmu, że „poezja to myślenie obrazami". W każdym razie obrazowość jest tak ważną cechą języka poetyckiego, że pominięcie jej lub przeinaczenie w przekładzie jest najwyższą zdradą, jakiej może się dopuścić tłumacz: *traduttore — traditore* („tłumacz — to zdrajca"), zgodnie ze starym przysłowiem włoskim.

Jest rzeczą oczywistą, więc zostawiamy ją bez dowodów, iż tylko w najrzadszych wypadkach słowo jednego języka odpowiada słowu drugiego we wszystkich swoich warstwicach jednocześnie: znaczenia głównego i znaczeń pobocznych; skojarzeń dźwiękowych i wynikających z jego rodowodu a nadających mu często nie dające się zdefiniować bliżej zabarwienie uczuciowe, zdolność budzenia tych, a nie innych subtelnych wzruszeń; walorów dźwiękowych zdolnych do wywoływania zbliżonego efektu (choćbyśmy pominęli, jako wymysł przerafinowania, teorie zabarwienia uczuciowego czy „kolorystycznego słyszenia" pojedynczych samogłosek czy spółgłosek); siły obrazowej przynależności do określonego szeregu leksycznego. *A fortiori* za szczególnie rzadkie musimy uznać zespoły znaczeniowe, zdania dwu języków, które by odpowiadały sobie w tak kompletny sposób, mieszcząc się pod względem ilości sylab i rozłożenia akcentów w ramach identycznego metrum, jeśli ono jest w ogóle możliwe do realizacji w języku przekładu; a nawet i w tym wypadku — jeśli jest identyczne pod względem właściwym każdemu metrum assocjacji literackich, innych w każdym języku. Słowem, i d e a l n y przekład poetycki uważam za zjawisko wkraczające w dziedzinę cudu.

Czy stąd wynika, że nie powinno się o cud ten kusić, aby nie obrażać Boga, tak jak nas religia w sprawie liczenia na cuda naucza? Albo zadowolnić się, jak to robią powszechnie Francuzi i niektóre inne nacje, przekładami prozą, jako „przekładami informacyjnymi" [1]), rezygnując przynajmniej z jednego

---

[1]) Szerzej omówiłem rozmaite pod względem celu rodzaje przekładów w artykule *Przekłady z poetów rosyjskich* (*Droga*, 1934, nr 2).

aspektu utworu poetyckiego, aby skupić wysiłek na innym, przede wszystkim na znaczeniowej jego stronie? Doradzał to Boy, sam zresztą — z wielką korzyścią dla literatury i kultury literackiej narodu polskiego — dokonawszy poprzednio szeregu przekładów wierszem (z Villona, wszystkie komedie wierszem Moliera, *Fedra* Racine'a, nie licząc drobnostek), i to przekładów świetnych (wolę używać tego słowa zamiast „doskonały", zbliżonego znaczeniem do „idealny", co do którego możliwości wyraziłem wątpliwość przed chwilą). Nie podobna z Boyem się zgodzić: przekład prozą to jak teatr bez dekoracji — zbyt wielkie wymagania stawia wyobraźni czytelnika. Wbrew moim rozumowaniom, jakby dla okazania możliwości cudu „ludziom małej wiary", świetne przekłady nie są już tak rzadkie; jeszcze częstsze są przekłady dobre lub dostateczne, nie stanowiące może wspaniałego dzieła poetyckiego po polsku, dające jednak wyobrażenie o wspaniałości oryginału — takie choćby, jak jednobarwna reprodukcja pysznego pod względem kolorystycznym obrazu. Ma się rozumieć, nie bez współpracy wyobraźni widza — wysiłku wyobraźni w większości wypadków mniejszego jednak, zdaniem moim, niż ten, którego wymaga uzupełnienie do miary oryginału przekładu prozą.

II

I wysiłek wyobraźni czytelnika i beznadziejny, prawie nigdy nie wieńczony i d e a l n y m rezultatem wysiłek poety-tłumacza wart jest podjęcia, gdy chodzi o wielkie rzeczy, o wielką poezję.

Kontynuując zaczęte na początku tych uwag rozumowanie, jeśli literatura jest wyrazem ducha narodowego, to poezja w ściślejszym słowa znaczeniu — liryka — jest sięgnięciem do mroku, do najtajniejszych tego ducha zakątków. Niech to będzie wyraz irracjonalny, tak jak irracjonalne jest to, co się nim wyraża, zawszeć daje podstawę pewnej intuicyjnej, ściśle w słowa nie dającej się ująć wiedzy w przedmiocie tak ważnym, jak — w tym wypadku — dusza wielkiego, ostatnio swą wielkość w oczach całego świata utwierdzającego narodu, który jest, był i będzie naszym odwiecznym sąsiadem.

Literatura rosyjska swym wielkim rozkwitem prozy, specjalnie powieści, narzuciła się uwadze całego świata. Ale poezja jej znana jest światu jedynie „ze słyszenia" i najgłośniejszych nawet jej nazwisk wielkość, Puszkina np., przyjmowana jest przez świat cywilizowany przeważnie na wiarę. Bliskość języków, tysiącletnie przeplatanie się losów dziejowych obu narodów, naszego i rosyjskiego, ułatwiają nam bardziej niż komu innemu najintymniejsze poznanie jego ducha: poznanie za pomocą poezji, które wspomniany przed chwilą Puszkin przewidywał jako najwyższy swój zaszczyt pośmiertny, wymieniając na pierwszym miejscu wśród narodów, które o nim usłyszą, najważniejszy i cywilizacyjnie największy — „dumnego Słowian wnuka". Poznanie za pomocą przekładów jest zaś, być może, mimo wysuniętych poprzednio zastrzeżeń, poznaniem ważniejszym niż bierne poznawanie po nauczeniu się języka, jeśli chodzi o naród posiadający własną wysoko rozwiniętą literaturę — bo poznawaniem czynnym i porównawczym.

Niemniejszego znaczenia jest drugi, po zajrzeniu w duszę potężnego sąsiada, cel akcji poznawczej: poznanie w i e l k i e j poezji. W jakim znaczeniu i z jakim uzasadnieniem użyty został też ten epitet, szerzej trzeba będzie wyłożyć.

III

Przymiotnik „wielki" przy rzeczowniku „poezja" ma oczywiście znaczenie przenośne, jak najdalsze od tego, w jakim stosuje się do przedmiotów materialnych, rozciągłych w przestrzeni lub czasie. Mimo to, wystrzegając się zasadzek werbalizmu, spróbujemy go użyć w sensie jak najbardziej zbliżonym do konkretnego, nadając poezji jakby trzy wymiary przedmiotu materialnego, w każdym razie cechy do pewnego stopnia wymierne: potęgę oddziaływania, jej trwałość w czasie i powszechność w przekroju kulturalno-społecznym. Rozwijanie ściślejszych analogii z fizycznie wymiernymi siłami przy pewnym zasobie fantazji spekulatywnej mogłoby daleko zaprowadzić, np. do wyprowadzenia masy ze znanego wzoru mechaniki [1]) lub przynajmniej podkreślenia szybkości w tym iloczynie, szybkości-bezpośredniości oddziaływania.

Istotnie, jeśli potęgę oddziaływania, siłę czaru, można stwierdzić doświadczalnie za pomocą introspekcji na sobie samym i na bliskich, podległych bezpośredniej obserwacji i zwierzających się ze wzruszeń przyjaciołach (zwłaszcza w młodości, która jest właściwym wiekiem poezji), to nie tylko tymi samymi drogami, ale i na znacznie szerszym, socjologicznie dającym się utrwalić zasobie spostrzeżeń można wykazać zadziwiającą bezpośredniość oddziaływania poezji rosyjskiej: w przeciwstawieniu do arcydzieł innych literatur, wymagających dla zupełnego zrozumienia ich piękna odpowiedniej kultury literackiej, wejścia w krąg pojęć artystycznych i filozoficznych autora, czasem wzięcia pod uwagę jego biografii, przeżyć politycznych i osobistych — z tych najznakomitszych utworów Puszkina i Lermontowa, Feta i A. K. Tołstoja, Balmonta i Błoka, Jesienina i Majakowskiego, które mam na myśli, a nawet z uchodzących za trudne, mniej dostępnych wierszy Tiutczewa czy Briusowa, *vis lirica* bije bezpośrednio na odbiorcę, niezależnie prawie od jego przygotowania.

Z serią dowodów na to wstąpiliśmy już we właściwość poezji objętą „wymiarem" nr 3; te same zresztą posłużyć mogą do ugruntowania tezy nr 2 o trwałości poezji tej w czasie, o tym, że najmniejszych śladów poczucia przestarzałości nie można zaobserwować u dzisiejszych jej czytelników. Oczywiście, pewna ilość utworów, wiersze licealne Puszkina czy zabawne minoderie poetów XVIII w. albo ta czy inna tyrada filozoficzna lub społeczna z połowy XIX w., a może nawet już dekadentyzmy i znużenia końca wieku, zdążyły nabrać smaczku stylowych cacek i mebli. Lecz to tylko dla bardzo nielicznej elity znawców i specjalistów — a nie o nich to mowa i nie o wymienionych wyżej utworach. Najsławniejsze wiersze Puszkina czy Tiutczewa, Lermontowa

---

[1]) Jeśli np. we wzorze MV lub MV^2 za M uznamy samo przeżycie poety lub jego temat, to będziemy mogli uznać za w i e l k ą p o e z j ę bądź oddziałującą bezpośrednio mimo błahości tematu (wspomnienie starej niani w wierszu Puszkina), bądź wielką w swej treści, mimo powolnego i trudnego oddziaływania na czytelnika (Norwid).

czy Feta, nawet Oda „Bóg" Dierżawna, brzmią po stu latach dla czytelnika rosyjskiego nie „zabytkowo", lecz tak, jak gdyby były napisane wczoraj. Wynika to z ich nie prześcignionej do dziś dnia przez nikogo doskonałości: odbiorca rozumie, że tych wielkich i wszechludzkich, zawsze żywych dla niego tematów nikt nie zdołał i pewnie nie zdoła ująć doskonalej — że nic w tych słowach zmienić nie można bez szkody dla całości, ani unowocześnić pod jakimkolwiek względem. Od dzieciństwa, w każdym razie od ławy szkolnej, utwory te towarzyszą człowiekowi, nie jako miłe wspomnienia dzieciństwa, lecz jako żywi, nieustannie uczynni przyjaciele, pocieszyciele smutków, współbiesiadnicy upojeń, współuczestnicy ekstaz.

I to bez względu na poziom intelektualny czytelnika. Weźmy jako przykład takiego Lermontowa: trwałym czarem przykuwa do siebie najskromniejszego absolwenta szkółki początkowej, namaszcza poezją ubogie życie duchowe jakiejś gęsi prowincjonalnej czy „półinteligenta" zaabsorbowanego przez swój przyziemny fach, jak najmniej wczasom umysłowym sprzyjający; a równocześnie jest nadal przedmiotem kontemplacji estetycznej elity intelektualnej, punktem wyjścia natchnień twórczych takich artystów jak Wrubiel, Sołogub, Mereżkowski, przedmiotem żarliwych dociekań najbardziej „awangardowej" krytyki, jak głośny „formalista" Eichenbaum. Ta rozpiętość w przekroju kulturalno-społecznym dostępności poezji rosyjskiej jest jej największym cudem, zrozumiałym jednak w świetle poprzednio podniesionych jej cech: potęgi i bezpośredniości oddziaływania i trwałej jej żywotności. Opancerzona przeciw zniewagom czasu, poezja rosyjska pozostaje sztuką najwyższego poziomu stając się popularną, i umie — nie zginając karku — wejść pod strzechy.

Omówiony przed chwilą „trzeci wymiar" wielkości poezji rosyjskiej, w świetle dwóch poprzednich dająca się zrozumieć istota rzeczywistego jej uniwersalizmu, jest w gruncie rzeczy inną tylko spekulatywną interpretacją faktów, stanowiących podstawę moich, dotąd gołosłownych, twierdzeń. Czas przejść do zacytowania tych faktów. Wszystkie one będą się odnosiły — i nie bez racji, jak później zobaczymy — do jednego poety, do wspomnianego ostatnio Lermontowa.

VI

W domu moich rodziców, mimo ich długoletniego pobytu w Rosji, książek rosyjskich, z wyjątkiem moich podręczników szkolnych, nie było. Ale w odnajmowanym ze zbyt wielkiego na nasze potrzeby petersburskiego mieszkania pokoju leżało na stole parę książek: cała biblioteka, odpowiednia do wielkości ruchomego majątku właściciela, mieszczącego się w niewielkiej ręcznej walizce. Sublokator, handlowiec, pewnie komiwojażer, mało przebywa w domu. Zakradałem się, trzynastoletni chłopak, do jego pokoju i upajałem się lekturą taniej, rublowej, Pawlenkowskiej edycji dzieł wszystkich Lermontowa. Takie było moje poznanie poety, c którym poprzednio pojęcia dać mi nie mogły nieliczne, wkuwane na pamięć wiersze z wypisów. I — stwierdzić muszę po upływie

lat — bardziej i trwalej niż kto inny wpłynął on na ukształtowanie się mego pojęcia poezji. To nawiasem. Sens mego opowiadania — to obecność Lermontowa wśród książek człowieka jak najdalszego od świata książki i od kół intelektualnych. I znowu nawiasem: czy znaleźlibyśmy Mickiewicza wśród „nastolnych", jak się mówi po rosyjsku, dosłownie „leżących na stole" książek analogicznego osobnika między naszymi rodakami? Zdarzyło mi się zwrócić uwagę na brak „wieszczów" w bibliotece oficerskiej pewnego pułku; bibliotekarz odpowiedział, że przecie wszyscy czytaliśmy to w szkole, więc już teraz niepotrzebne.

Wracając do moich doświadczeń z Lermontowem: po kilku latach, młody student, podczas pierwszego semestru studiów, dostałem dzięki stosunkom w kołach artystycznych jednego z mych przyjaciół zaproszenie na przedstawienie amatorskie, urządzane na korzyść ofiar zniszczonej trzęsieniem ziemi Messyny (katastrofa, która dla świata sprzed 1914 r. była wstrząsem niemal równie potężnym, jak ruina Lizbony w XVIII w. dla Voltaire'a, jak zburzenie Hiroszimy dla nas). Przedstawienie, jedyne i nie mające mieć powtórzenia, było sensacją tych szczupłych, zamkniętych kół towarzyskich i artystycznych stolicy, z których rekrutowali się widzowie — z wyjątkiem zaproszonych opłacający swą obecność dużym datkiem pieniężnym — i uczestnicy: jedną z bosonogich tancerek (jest to apogeum sławy Izadory Duncan; ale realizacji scenicznej i choreograficznej patronował tu duch teatrologów i baletomanów petersburskich, podbijający równocześnie Europę: Anna Pawłowa i *Ballets Russes*!) tych „Plasów Nocnych" wypełniających program wieczoru była żona A. N. Tołstoja, należącego z urodzenia i z zapoczątkowanej już potem tak wielkiej kariery literackiej do „obojej arystokracji"; za wielki zaszczyt poczytał sobie młody student prezentację tym państwu.

Szczupła oprawa literacka feerii-baletu była pióra F. Sołoguba; sprowadzała się do charakterystycznego dla tego poety przeciwstawienia dziennego świata, nienawistnego i „nie przyjmowanego" — światu nocy, irrealnemu, nadziemskiemu światu czarów i widziadeł nocnych, „gwiazdy Ojlè"; metamorfoza pierwszego w drugi następowała za wyrzeczeniem tych prostych i majestatycznych słów Lermontowa: „*W niebiesach torżestwienno i czudno, spit ziemla w sijanji gołubom...*" Jak na zaklęcie następowała zmiana dekoracji i zmiana nastroju na scenie i na widowni, napełnionej publicznością innego zupełnie poziomu, niż ów pierwszy poznany przeze mnie skromny wielbiciel poety. Słowa zestawione przed 70 laty, znane każdemu z widzów od dzieciństwa, promieniowały czarem, niewyczerpanym jak energia ukryta w drobinie radu.

Z owych też „przedwojennych" czasów zapamiętałem doskonały dowcip *Satyriconu*, czołowego pisma humorystycznego ówczesnej Rosji: imaginacyjny portret starej panny prowincjonalnej, przesyłającej do redakcji, z tysiącznymi ceremonialnymi zastrzeżeniami fałszywej skromności, „wierszyki", które „wypłynęły jej spod pióra" — a dalej idzie integralny tekst *Demona* od początku: *Pieczalnyj diemon, duch izgnanja.*

Se non è vero, è ben trovato. Ten naiwny plagiat, jeśli zdarzyło się coś kie-

dyś podobnego w rzeczywistości, nie ma nic wspólnego z trafiającymi się od czasu do czasu u nas w tejże epoce próbami mistyfikacji pism literackich utworami Słowackiego lub Mickiewicza, podpisanymi nieznanym nazwiskiem: to były teksty mało znane lub odpodobnione w jakiś sposób, z intencją wprowadzenia w błąd redakcji, wyśmiania „znawców"; tu zaś mielibyśmy przypadek całkowitego zidentyfikowania się admiratora z przedmiotem admiracji, wejścia tak głębokiego poezji w życie prostaka, że bierze ją za swój wytwór (coś tak jak sam czternastoletni Lermontow, prawie dosłownie przepisujący ulubione poematy starszych romantyków). Jeśli to „kawał" — to pulsujący prawdą artystyczną, która nie obywa się bez prawdopodobieństwa na gruncie danej rzeczywistości; potwierdza to powrót do tego pomysłu: wiele lat później czytałem humoreskę na tle zmistyfikowania redakcji przez takiegoż szarego „prowincjusza", przysyłającego jej jako własny — arcyznany wiersz Lermontowa — znowu Lermontowa! — *Bielejet parus odinokij.* W każdym razie trwały wątek anegdotyczny, który musimy uznać za jeszcze jeden dowód niesłychanej popularności tego poety w najszerszych kołach ludzi tyle że umiejących czytać.

Ale to było kiedyś. Może zmienił coś w tym głęboki przewrót społeczny, ćwierćwiecze zmian, sięgających tak samo w strukturę warstwic społecznych jak i w ustosunkowanie wartości kulturalnych: wszystko zostało przeorane i odwrócone lemieszem największej rewolucji świata. Ale oto świadectwo niepodejrzane i najświeższe: nie dokończona jeszcze, drukująca się w miesięczniku *Znamia* Organ związku pisarzy ZSRR), ale już zwracająca uwagę krytyki i czytającej publiczności powieść Aleksandra Fadiejewa „Młoda gwardia". Okupacja Donbasu przez Niemców w 1942 r. przedstawiona jest z taką prawdą, oczywistą dla każdego, kto przeżył dni wrześciowe w Polsce na drogach i dróżkach zapchanych cofającymi się wojskami i uciekinierami cywilnymi, a potem zagospodarowywanie się okupantów, początki walki konspiracyjnej, partyzantki — że nie podobna wątpić o prawdziwości każdego rysu, użytego dla szerokiej, epickiej, często panoramicznej charakterystyki społeczeństwa, a specjalnie młodzieży sowieckiej.

I oto w rozdziale 26, najbliższe koleżanki witają jedną ze swojej „paczki", której udało się zbiec z oddalonego obozu w Niemczech. Smutna i rozrzewniająca uroczystość, krótka przerwa w ciągłości trosk okupacyjnych, uroczystość, której brakuje wszystkiego, czym zdobią się uroczystości ludzkie: ani wina czy słodyczy, ani muzyki czy śpiewu (ze względu na ostrożność przed policją). W tym ubóstwie swym uczestniczki zwracają się do tej z ich grona, która pięknie mówi wiersze: „Przeczytaj *Demona*". Spokojny, swobodny głos dziewczyny zaczyna: *Pieczalnyj diemon, duch izgnanja...* i następuje całostronicowa prześliczna scena tej recytacji, scena nabrzmiała wierną i nieśmiertelną poezją czarującego poematu [1]).

---

[1]) Pisane, jak cały szkic, jesienią 1945 r., czym się też tłumaczą niektóre inne jego zapóźnienia w stosunku do aktualności. Co do powieści Fadiejewa ta moja ocena jej znaczenia znalazła już publiczne potwierdzenie w formie przyznania autorowi najwyższej nagrody literackiej.

Wreszcie ostatnia nowość na naszym rynku wydawniczym: przekład powieści W. Katajewa, jednego z czołowych pisarzy radzieckich, pt. „Biały samotny żagiel". W oryginale jest to po prostu pierwszy wiersz zatytułowanej tu przed chwilą lirycznej perełki Lermontowa.

V

Przytoczone przeze mnie fakty, dowodzące uniwersalizmu poezji rosyjskiej, dotyczyły wyłącznie Lermontowa. Jest on tego uniwersalizmu reprezentantem, gdyż choćbym mógł, przeszukawszy zakamarki pamięci, znaleźć przykłady dotyczące innych poetów, nie byłyby one tak wymowne, wspierające się wzajemnie, jaskrawe. Dlaczego więc Lermontow właśnie? Nie bez racji na pewno. Ale odkrycie tej racji, uwidocznienie jej w sposób najbardziej bezsporny, w drodze analizy estetycznej dzieła lirycznego Lermontowa z jednej strony, a psychologii reagowania na poezję z drugiej, byłoby żmudne, a dla znającego niedokładność, zawieszenie w powietrzu lub początkowość rozwoju obu tych dyscyplin — nieprzekonywające. W każdym razie nie bardziej przekonywające niż argument, który wynika ze schematycznego układu faktów literackich piśmiennictwa rosyjskiego, układu wytyczającego dominujące tendencje ich rozwoju, napięcia kierunkowe i węzły transformacyjne procesu historyczno-literackiego.

Nie jest oczywiście możliwe dać na tym miejscu dzieje, nawet zwięzłe, poezji rosyjskiej nawet choćby tylko nowożytnej, zeuropeizowanej potężnym wysiłkiem Piotra Rosji. A i tak — to okres dwóch i pół wieków bujnego pod każdym względem rozwoju, który nie da się przedstawić inaczej jak w ramach przemian całej literatury, nie tylko „poezji" w ściślejszym słowa znaczeniu. Na tym miejscu nawet schematyczny wykres jej rozwoju, jeśli go potraktować zgodnie ze współczesnymi zapatrywaniami literaturoznawstwa rosyjskiego, byłby za obszerny i zanadto skomplikowany. Weźmy np. Dierżawina, który — pomimo rozmaitych zmian w jego rozumieniu i ocenie — nigdy nie przestawał być uważany za poetę, i to prawdziwego, we wszystkich słowa znaczeniach, i wybitnego. Nabrał on w ustalonej, szkolnej, popularnej, dość prymitywnej, z natury rzeczy, opinii — charakteru twórcy, założyciela, *osnowopołożnika* (mówiąc uroczystym stylem ojczystego jego języka), całej poezji rosyjskiej; w rzeczywistości w poezji tego stulecia, dziś znacznie wyżej cenionej, niż to miało miejsce jeszcze pół wieku temu, pod trwającą wówczas suggestią romantycznej pogardy dla „pseudoklasyków", twórczość tego istotnie wielkiego poety jest w swym stylu wynikiem którejś tam z kolei „zmiany dominanty estetycznej", rezultatem starcia się sprzecznych tendencji, nurtujących poezję jego wieku od Łomonosowa co najmniej. Niezupełnie jednak niesłusznie wyróżniła jego jednego popularna tradycja: i może dla celów elementarnego poznania poezji rosyjskiej jest dosyć dogodna. Obok popularności owoczesnej w ojczyźnie, która, przekraczając progi pałaców cesarskich, dawała mu uderzającą już współcześników niezależność myśli i stanowiska w poglądzie na moralne kryteria praw-

dziwej wielkości w porównaniu z kruchą wielkością możnych jego świata (co niekiedy wywoływało zwłoki i trudności w drukowaniu jego utworów) — wyjątkowe jego znaczenie potwierdzała owoczesna już popularność jego poezji za granicą: przekłady na wiele języków dzieł jego, pierwszego pod tym względem z poetów rosyjskich, dokonane samorzutnie i niekiedy na wysokim poziomie, w tej liczbie i na polski, specjalnie kilkakrotnie tłumaczona oda „Bóg". Przekraczał on zresztą nie tylko granice ojczyzny, lecz i granice swego czasu, znajdując kontynuatora swego stylu *(mutatis mutandis!)* w Puszkinie *(starik Dierżawin nas zamietił i w grob schodia błagosłowił)*, w Puszkinie, w którym już od kilku dziesięcioleci upatruje się raczej ostateczne zamknięcie poezji XVIII w. niż zapoczątkowanie nowej.

Wracając do „kwestii Lermontowa", poruszonej poprzednio, nie będziemy potrzebowali tych subtelnie nakreślonych podziałów przekroju, już tak bardzo skomplikowanych, np. dla poezji czasów Puszkina. Pomijając uczeńsze rozróżnienia, powołamy się na najprostsze, najpopularniejsze, uświęcone blisko wiekową tradycją wyodrębnienie z głównego nurtu literatury rosyjskiej „poezji czystej sztuki". Podział zaznacza się już za czasów Puszkina: do pewnego stopnia niezależnie od niego i niezbyt chętnym okiem przez niego widziana, rozwija się (nie pozbawiona korzeni w rodzimym gruncie [1]), ale przede wszystkim podległa wpływom idealistycznej filozofii romantyzmu), zlokalizowana głównie w Moskwie poezja filozoficzna, obca tej tendencji do realizmu, do „prawdy", która kieruje — przynajmniej tak się nam oglądającym oczami Bielińskiego, wydawało — dalszym rozwojem twórczości Puszkina i jego następców.

Typowym reprezentantem tej poezji *lubomudrów*, „archiwnych młodzieńców", (których wielu znamy wśród „przyjaciół-Moskali" Mickiewicza), jest młodo zgasły Wieniewitinow; ale największym poetą z tymi kołami związanym jest wielki Tiutczew, którego następcą (upraszczając niezmiernie i przeskakując ze szczytu na szczyt) jest Fet, podający prawie bezpośrednio rękę schyłkiem swej twórczości (pisał do późnej starości) — rodzącej się grupie „symbolistów" (biorących nazwę z Francji, ale właśnie w samym symbolizmie, jako metodzie poetyckiej, kontynuujących sztukę wyżej wymienionych poprzedników). Wtedy dopiero ten nurt poezji wychodzi niejako z podziemi,

---

[1]) Podająca rękę filozoficznej poezji schyłku XVIII w.: ta jest najbardziej popularna (choć nie w całej rozciągłości) w dźwiękach grzmiącej liry Dierżawina, najszczuplejszym tylko kołom znana, jeśli chodzi o lirykę Mich. N. Murajewa, prekursora nowego stosunku do antyczności helleńskiej i melancholijno-sugestywnego *il dolce stil nuovo* poezji rosyjskiej, jego pod pewnymi względami ucznia, jako poety, Karamzina i zuchwałego, także w dziedzinie poezji, rewolucjonisty Radiszczewa, nowatora i eksperymentatora, z jego nieskładnymi często, chropawymi, trudnymi wierszami, nie obawiającymi się nawiązywać do ośmieszonego Tredjakowskiego. Inna oczywiście zawartość ideowa, inne zagadnienia, w związku z przełomem od filozofii Oświecenia do metafizyki romantycznej, ale z równą powagą, z równą wspaniałością ducha traktowana przepełnia lirykę filozoficzną tych młodych poetów *minorum gentium* z okolic 1825, zapowiadających Tiutczewa, jeszcze nieznanego, choć z rzadka ogłaszającego pierwsze swe wiersze.

a w każdym razie z ustronia, i wraz z nim liryka obejmuje na jakiś czas prymat w literaturze.

Zanim jednak (na przełomie stuleci) to nastąpiło, główny, realistyczno-społeczny nurt literatury przeszedł pełny cykl rozwojowy, narzucając arcydzieła powieściopisarzy rosyjskich uwadze międzynarodowej. Początek tego wspaniałego rozkwitu klasyczna (w najbliższym, dosłownym znaczeniu: szkolna) krytyka rosyjska, wywodząca się od Bielińskiego, widzi w twórczości Puszkina: istotnie w ostatnich latach swej działalności przechyla się on ku prozie, naturalnej szacie realizmu, którą też wyłącznie posługuje się za życia jego i poniekąd pod jego auspicjami zaczynający Gogol; a spod jego „Płaszcza", wyszli, słusznie zdaniem Dostojewskiego, wszyscy wielcy powieściopisarze jego kraju.

Mniej podkreślana, ale równie bezsporna wśród *osnowopołożnikow* powieści rosyjskiej jest rola Lermontowa, którego „Bohater naszych czasów", jedyna obok szczupłego zbioru wierszy za życia wydana książka, od razu zdobyła sławę wraz z entuzjazmem Bielińskiego, co utwierdziło młodego a wkrótce tragicznie wymazanego spośród żyjących autora na jednym z czołowych stanowisk w literaturze. Otóż więc Lermontow jest już współcześnie przez tego najwpływowszego krytyka (niechętnego coraz bardziej na ustroniu płynącemu nurtowi liryki) oceniany jako „ostatni poeta" i pozostaje istotnie ostatnim na czas długi dla szerokiej publiczności, ostatnim chronologicznie w dawnym, z mego dzieciństwa, nauczaniu gimnazjalnym, opartym na jeszcze dawniejszym, sprzed symbolizmu, poglądzie na literaturę rosyjską; Niekrasow, a tym bardziej drobniejsi rymotwórcy, chwilowi faworyci postępowej młodzieży, jak Nadson, oczywiście nie mogli jako poeci i artyści wchodzić w porównanie z Lermontowem [1]). Stąd też wyjątkowa, jakby węzłowa jego rola w rozwoju literatury rosyjskiej: jakby poetycznego wstępu najwyższej suggestywności lirycznej i zdolności do muzycznego zaczarowania-zaśpiewania, wstępu antycypującego w potężnej kondensacji zasadnicze, do takich wyżyn następnie rozwinięte tendencje największych pisarzy swego kraju.

Oto wyjaśnienie przyczyn specjalnej popularności piewcy „Demona", otrzymane ze schematycznego, paru liniami zarysowanego wykresu dziejów literatury rosyjskiej, bez zagłębiania się w bardziej skomplikowaną niewątpliwie

---

[1]) Niezmiernie symptomatyczne jest przeistoczenie się młodszego odeń o 4 lata Turgeniewa, zaczynającego poematami wierszem — i to nie byle jakim — swą karierę literacką, w prozaika. Trwała sława uwieńczyła od razu pierwsze jego nowele „Chór" i „Kalinycz" (1847); mimo to, poetą w szerszym sensie, w rdzeniu twórczości pozostawał przez całe życie, ale tylko „prywatnie", dla siebie. W tej samej atmosferze panowania prozy zaczynał Gorkij i to określiło jego „rodzaj literacki". Choć udział poezji w węższym sensie jest w jego twórczości większy niż się zwykle myśli. Kto wie, czy zaczęta 10 lat później, kariera pisarska Gorkiego nie byłaby karierą poety?

istotę zjawiska, estetyczną i demopsychologiczną[1]). Trafność i wystarczającą siłę dowodową tej metody można sprawdzić, stosując ją do analogicznego, a raczej symetrycznego zjawiska w dziejach poezji rosyjskiej — do Błoka.

VI

Nakreślmy znów schematycznie sytuację. Od Lermontowa do symbolistów, w pięćdziesięcioleciu (zaokrąglając daty) 1840—1890, wobec wspaniałego rozkwitu powieściopisarstwa, poezja w głównym nurcie literytury jest na zupełnie dalekim planie, w roli raczej służebnej: satyra, humorystyczny ucinek, pieśń bojowa rewolucjonistów, popularne, nęcące powabem retoryki streszczenie ich programu — oto najbardziej uprawiane rodzaje. Ale na uboczu żyła i rozwijała się poezja przeciwstawiająca się i obca tendencjom społecznym i odpowiedniemu realizmowi głównego nurtu literatury rosyjskiej. Kontynuowała ona dzieło ściślej poetyckie Puszkina oraz, niezależnie od niego, poezję filozoficzną i historiozoficzną XVIII w., pod względem zawartości rozszerzoną o całą idealistyczną filozofię (tak znamienna jej symbioza z romantyzmem!), z jej metafizyką (*Naturphilosophie* Schellinga lub dziełem Schopenhauera) przetransponowaną w kształty poetyckie; pod względem formy (wewnętrznej), środków ekspresji, wzbogacona o niezbędny dla tego celu symbolizm.

Niekiedy w tym wyżywającym się w całej pełni romantyzmie odzywa się poprzedzająca go epoka: w peryfrazach i rozszerzonych alegoriach Bieniediktowa (tak popularnego w pewnym momencie, potępionego i zlikwidowa-

---

[1]) Dopiero teraz poznałem niedostępną mi siłą rzeczy w czasie pisania szkicu wspaniałą księgę zbiorową poświęconą Lermontowowi w wydawnictwie *Litieraturnoje Nasledstwo* (wyd. w r. 1941), a w niej niezmiernie interesujące studium G. Winogradowa (Jerzego, nie mieszać z głośnym językoznawcą i badaczem stylistyki, Wiktorem), „Utwory Lermontowa w ludowo-poetyckim obiegu". Praca oparta na nielicznych uczonych badaniach etnografów, dotyczących tej sprawy, w wielu szczegółach na danych, włączonych przez pisarzy-realistów do ich fikcji artystycznej, niekiedy na wzmiankach reporterów (czasami przekręcających fakty, np. w sławnej i u nas znanej w przekładzie książce Maksimowa: „Sybir i katorga"), a w ogromnej części na własnych spostrzeżeniach autora, w znacznym stopniu zebranych na Syberii, u rozmaitych tamtejszych egzotycznych „wojsk kozaczych". Stwierdza się tu bowiem trwałe włączenie wierszy Lermontowa do repertuaru pieśni ludowej (i ludowej sztuki teatralnej, w rodzaju naszej szopki) na całej przestrzeni Z. S. R. R., za kręgiem polarnym, na wschodnich krańcach Syberii, nawet u innojęzycznych ludów azjatyckich (w przekładach): u Gruzinów, co nie byłoby, ze względu na tematykę, bardzo dziwne, ale bodaj i u Kirgizów. Zawędrowały wszędzie za pośrednictwem bądź czytanek szkolnych, bądź, już po upowszechnieniu się użytkowaniem pieśniowym, zbiorków piosenek, zwykle bezimiennych; ale dotarły do środowisk najbardziej niepiśmiennych, prymitywnych; wnikają niekiedy w pamięć małego dziecka jako pierwsze zapamiętane przez niego słowa, gdy, jak np. „Kołysanka kozacza", są faktycznie (a zasięg tego zwyczaju jest olbrzymi) śpiewane nad kołyską, na jednakową w całej Rosji, nieznanego pochodzenia, melodię; środowiskiem jednej z najwcześniejszych recepcji (dość zrozumiałe ze względów psychologicznych!) była katorga i w ogóle środowisko więzienne. Można powiedzieć, że wszystkie najznakomitsze pozycje liryki Lermontowa (nie wyłączając najwyższych duchowo i artystycznie wzlotów poety, jak *Wychożu odin ja na dorogu*, jednej z najpopularniejszych pieśni rosyjskich), a z większych poematów „Demon", oczywiście w tekstach często skażonych lub fragmentarycznych, przystosowanych do warunków i potrzeb ustnego przekazu, stały się własnością ludu rosyjskiego, częścią jego folkloru.

nego bezlitośnie przez Bielinskiego) najjaskrawiej reprezentującego swoisty „romantyczny barok"; a także w nawrotach do klasyczności antycznej (Majkow i pomniejsi, częściowo Fet), choć tu mamy raczej do czynienia z „neoklasycyzmem" romantycznym, którego nauczycielami byli w poezji A. Chénier i Goethe, a który i na rosyjskim gruncie miał już dość świetnych przedstawicieli w Batiuszkowie, Puszkinie i jego szkole (Delwig, „zasadzający na śniegach delikatne róże Teokryta").

Niejeden rys tej charakterystyki ukazuje podobieństwa w genealogii i w postawie z Parnasem francuskim, z jednej strony niewątpliwie wywodzącym się z romantyzmu w jego szczególniejszych odmianach, poprzez poetów kultywujących „sztukę dla sztuki", *l'Art auguste* i symbolizm *avant la lettre* jak T. Gautier, T. de Banville, Baudelaire; z drugiej — poprzez niejednego ze swych uczestników (przykładem Verlaine) podającym rękę „symbolizmowi" (jako szkole), a w całym przebiegu, od źródeł do ujścia, w podobnej znajdującym się sytuacji w ramach swej literatury, pod względem popularności, w porównaniu z głównym jej nurtem, jak „poezja czystej sztuki" w Rosji. Równocześnie też prawie potem w obu krajach i pod tą samą nazwą wychodzą oba nurty na front, przywracając liryce prymat śród rodzajów literackich, zabarwiając je liryzmem i nadając na pewien czas „styl" swej epoce, nie likwidując jednak bynajmniej — ani na zachodzie, ani na wschodzie Europy — i tu, i tam rozkwitłego potężnie realizmu (przeciw któremu w zasadzie były reakcją), ani bujnie rozwiniętego powieściopisarstwa.

Wychodząc na czoło literatury na przełomie dwóch wieków, poezja rosyjska, zwłaszcza twórczością Balmonta (mniej — twórczością trudniej dostępnych jego rówieśników, „starszych symbolistów" z Briusowem na czele, a z W. Iwanowem jako reprezentantem hermetyzmu), zdobyła od razu popularność znacznie szerszą niż zamykająca się chętnie w „wieży z kości słoniowej" poezja symbolizmu francuskiego i przeważnej większości współczesnych mu i analogicznych ruchów w innych krajach europejskich. Nasz „modernizm", zwłaszcza od nawiązania do poezji „wieszczów", należy raczej do wyjątków w obrazie ówczesnej literatury powszechnej pod względem popularności, zdobytej wszakże, pamiętajmy, nie przez lirykę, lecz przez inne rodzaje literackie.

Nie znaczy to jednak, by już w pierwszych latach bieżącego stulecia szkoła symbolistów czy „dekadentów", jak ich popularnie przezywano, rosyjskich podstawiła się na miejsce głównego, społeczno-realistycznego nurtu literatury rosyjskiej. Zapał, z którym prowincjonalna panna deklamowała Balmonta, da się porównać z modą na Tetmajera u nas; mimo wszystko w świadomości samych czytelników, była to „moda", kaprys „estetyzmu" — bardziej niż poważna strawa duchowa, której poszukiwano w posłusznych tradycji „grubych czasopismach" lub też w wielkich almanachach *Znanja*, w którego zespole Gorkij był centralną postacią; i jedne, i drugie miały wyraźne oblicze polityczno-społeczne, lewicowe, opozycyjne względem reżimu.

Wprawdzie i „poezja czystej sztuki", w postaci „symbolizmu" narzuciwszy się uwadze szerokiej publiczności, utraciła niemiły dla niej zapaszek arysto-

kratycznego reakcjonizmu, charakteryzujący pod względem polityczno-społecznym nie tyle samą tę poezję, obcą przeważnie tej tematyce, co jej twórców, bezwzględnie „wiernopoddanych", a co najwyżej prawicowych opozycjonistów, słowianofilów jak Chomiakow; najważniejsi przecież to Tiutczew, dyplomata carski, potem cenzor; Fet, oficer kawalerii, potem obszarnik, eksploatujący stosunki „pańszczyźniane"; hrabia Aleksy Konstantynowicz Tołstoj, choć liberał całą gębą, ale osobisty przyjaciel Aleksandra II, w swej świetnej humorystyczno-satyrycznej poezji (której popularność przenosi go raczej do głównego nurtu literatury rosyjskiej) wyśmiewający chętnie, obok carskiej biurokracji, „nihilistyczną", rewolucyjną studenterię, specjalnie „strzyżone kursistki". Symboliści osobiście należą do kół opozycyjno-rewolucyjnych; Balmont przez szereg lat po 1905 r. przebywa na emigracji; ale poezja ich przeważnie obcą jest nie tylko problematyce społeczno-politycznej, lecz, co najważniejsza, całemu zespołowi zagadnień, stanowiącemu zasadniczą treść głównego nurtu literatury rosyjskiej (choćby oświetlanych reakcyjnie jak u Dostojewskiego, mimo wszystko zawszeć byłego skazańca i katorżnika politycznego!).

Dopiero w najbardziej dojrzałej i samodzielnej fazie twórczości Błoka, Błoka „III tomu", a częściowo już poprzednio, wysuwa się na czoło tematyka, której na schyłku życia ostatecznie i wyłącznie poświęca swe pióro, jako autor „Dwunastu Scytów" i niedokończonego „Odwetu"[1]). „Cudowna Dama" jego serca, później tyle razy zdradzana dla ziemskich piękności, uwyraźnia swe mistyczne oblicze jako Ojczyzna; ale ta miłość ekstatyczna, choć gorzka i tragiczna, nie przeszkadza mu widzieć jej „twarz śmiertelną" (w której jest „zakochany", mówiąc słowami Słowackiego), jej realne oblicze, ujmowane w genialne, pełne prawdy, najgłębiej syntetyczne skróty przyrody, obyczaju, ducha swego narodu. Przejmujący monodramat, odgrywający się w oczach wszystkich na kartach liryki Błoka, daje się sprowadzić do tradycyjnych zagadnień głównego nurtu literatury rosyjskiej, do tragedii „zbytecznego człowieka", targanego wiecznościowymi zwątpieniami moralnymi, przeklętymi zagadnieniami *(proklatyje woprosy)*, kipiącego nadmiarem sił, nie umiejącego znaleźć godnego ich zastosowania w bezmiarach pustych pól i nędzy swego ludu.

Analogij i podobieństw do Lermontowa w poezji Błoka, w jej ogólnym nastroju, w nieodpartej bezpośredniości jej suggestii, w jej melodii i „chwytach" kompozycyjnych, ba, nawet analogii biograficznych i genealogicznych można by wskazać całe mnóstwo; nowością w rusycystyce nie byłoby nazwanie Błoka nowym Lermontowem. Ale ukazanie go w schematycznym zarysie dziejów literatury rosyjskiej, jako węzła między głównym jej nurtem a „poezją czystej sztuki" — jest wyjaśnieniem jego popularności już za życia, ćwierć wieku temu, oraz zapewnieniem jej na przyszłość, tak trwałej jak chwała poezji Lermon-

---

[1]) W mniej schematycznym wykładzie nie mógłby być pominięty rówieśnik i przyjaciel Błoka, A. Biełyj, przedtem krańcowy przedstawiciel ówczesnej „awangardy" poetyckiej, teraz równocześnie z Błokiem podejmujący temat Ojczyzny, zwłaszcza w tomie *Piepiel*; podobnej popularności nie zdobył on jednak nigdy.

towa. Lermontow i Błok — to punkty zwrotne, klamry zamykające siedemdziesięcioletni okres, zamilknięcie i odżycie wielkiej poezji w głównym, realistyczno-społecznym nurcie literatury rosyjskiej.

VII

I wcale to nie znaczy, aby dalsze dzieje poezji rosyjskiej potoczyły się pod znakiem epigonizmu, naśladowania Błoka. Bynajmniej. Wprawdzie na dość długie lata, jak na możność skupienia uwagi olbrzymiego świata czytelniczego, jakim jest ZSRR, na tak ekskluzywnym rodzaju literackim, liryka została utwierdzona w swym prymacie. Ale te trzy nazwiska poetów, którym współcześnie nie ma co równoważnego jako wpływ i rozgłos przeciwstawić w innych rodzajach literatury — Majakowski, Achmatowa, Jesienin — każde z nich jest kontrastem, ba, zaprzeczeniem poezji Błoka i jej wpływu na bezpośrednią jego potomność.

Ważne jest jednak przede wszystkim utwierdzenie się poezji w głównym nurcie literatury, podążającym swym tradycyjnym łożyskiem. Jest to poezja nie tylko głęboko narodowa z ducha, obca wszelkim snobizmom zagranicznym, ale i chętnie sięgająca w szczegółach prezentacji bezpośrednio bądź do własnej tradycji kulturalnej, bądź do obrazów, zwrotów, konwenansów uczuciowości poezji ludowej (wziętej w całej jej rozpiętości, od prastarych bylin i pieśni duchownych do *czastuszek* podmiejskich i fabrycznych): u Achmatowej w stylu właściwego jej upozowania w stosunku do mężczyzny, u Jesienina — w fantastyce obrazowania, nawiązującej do ekstaz religijnych sekciarstwa ludowego, u Majakowskiego — w swoistym, zuchwale drwiącym racjonalizmie, stanowiącym inny jeszcze, niemniej potężny aspekt ducha narodowego; u nich wszystkich zagadnienia i niepokoje wszechludzkie, sprowadzane w obręb ich olbrzymiej ojczyzny, znajdują wyraz w ekspresji zbudowanej z elementów rzeczywistości rodzimej, ekspresji zgodnej z prawami realizmu, nawet jeśli weźmiemy animizujące metafory Jesienina lub ekstrawaganckie, rozbudowane niekiedy do rozmiarów całych alegorycznych przypowieści przenośnie Majakowskiego.

Poezja ta nie schodzi do dziś dnia z pola widzenia przeciętnego czytelnika, więc gdzie indziej wyłącznie czytelnika powieści. A następnie, a raczej w związku z powyższym, jako jego domówienie: poezja nie przestaje być powszechnie dostępną, w tym znaczeniu, w jakim to było jej tradycyjnym charakterem i w jakim staraliśmy się to pokazać na jaskrawych przykładach Lermontowa i Błoka — wielką jednocześnie i popularną. Ani zamyka się w wieży z kości słoniowej, do czego zdradzała chęć w początkach symbolizmu, pod wpływem powiewów z Zachodu; ani gubi się w eksperymentatorstwie „awangardowego" epatowania burżuja: sympatie, jakimi Rosję radziecką otaczają artystycznie rewolucyjne kierunki ostatnich dziesięcioleci w różnych krajach, nie skłaniają bynajmniej jej poetów do udawania się w ich ślady, ani nawet do kontynuowania rodzimych prób tego rodzaju sprzed lat trzydziestu lub więcej.

VIII

Ten ostatni punkt jest tak znamienny, że wypada się nad nim dłużej zastanowić. Jak wiadomo, poezja rosyjska przeżyła „futuryzm" (ujmując tą najpopularniejszą nazwą rozmaite i często sprzeczne w swej istocie próby konsekwentnego zastosowania w praktyce różnych skrajnych i paradoksalnych teorii estetycznych, próby przebudowania całej sztuki i odnowienia jej *in capite et in membris)* bez opóźnienia w stosunku do zachodnio-europejskich początków ruchu, z równym hałasem „policzkując smak społeczny".

Hałasem tym wypełnione było całe drugie dziesięciolecie bieżącego wieku, w którym występowały kolejno i równocześnie „kubo" i „egofuturyzmy" i różne inne odmiany formizmu z „imażinizmem" na czele. Spomiędzy sztandarowych mężów tego ruchu, których większości nazwiska zatarły się już w pamięci, wyszedł Majakowski; przez „imażinizm" przeszedł jako jego najświetniejszy, jedyny na serio, realizator — Jesienin. Futuryzm (wraz z konkurującymi z nim kierunkami) stanął po stronie rewolucji październikowej i usiłował stać się jej oficjalną tubą poetycką. W istocie zaś tylko Majakowski zdobył stanowisko „barda rewolucji" i potężnie zaciążył swym wpływem nad poezją Rosji radzieckiej; ale jaki Majakowski *quantum mutatus ab illo!*

Zresztą nawet jako „człowiek w żółtej bluzie" nie był on wcale, mimo krzykliwych pozorów, wyobrazicielem skrajnych kierunków nurtujących futurystyczną rewolucję. Nie likwidował ani mowy ludzkiej na rzecz „języka pozarozumowego", ani sensu i składni na rzecz „słów na wolności", ani wiersza (choć jego swobodę doprowadził poza granice dawniej przewidywane) na rzecz „indywidualnych rytmów"; tworzył, i to dużo, nie przedstawiając czytelnikowi białej kartki jako jedynie możliwego równoważnika wyższej ponad ekspresję intencji poety. Ale żeby stać się naprawdę dostępnym i p o t r z e b n y m szeregowemu czytelnikowi, niemałą jednak musiał odbyć drogę od owych młodzieńczych (na widownię wystąpił mając 18 lat) czasów. Dość porównać reprezentatywny utwór młodości, zresztą pozostający jednym z uznanych arcydzieł Majakowskiego „Obłok w spodniach" lub „Flet kręgosłupa", z którymkolwiek z jego późniejszych wierszy, ze ściśle mieszczącymi się w granicach tradycyjnej liryki chóralnej lub refleksyjnej: „Lewą marsz", „Słoneczna chorągiew", z ich swoistą, ale najzupełniej regularną stroficznością, lub czterowierszowe zwrotki „Na śmierć Jesienina", przesiąknięte rzadkim w ogóle w późniejszej twórczości „barda rewolucji" osobistym sentymentem — aby ocenić przebyty dystans. Przemiana zaznacza się wyraźnie — i bardzo znamiennie — od czasu rewolucji, od zejścia poety z ograniczonych estrad walki literackiej na przestronne place rzeczywistej walki politycznej.

Już w „150 milionach" uderzała regularność wiersza (mimo typograficznego rozłamywania na człony deklamacyjne) i przejrzystość alegorii. Pomimo zachowania nieco ekstrawaganckiej czasami śmiałości pomysłów i obrazowania, utwory, choć tak znaczne rozmiarami, łatwe są do objęcia myślowego i scałkowania estetycznego dzięki logicznej kompozycji i niepomijaniu pomocniczych

i tradycyjnych środków, jak anaforycznego odcinania ustępów lub skupiania przewodniej myśli w sentencji zakończenia, ukształtowanego ze specjalną energią, jakby *pointe*'y lirycznej. Oryginalne współbrzmienia złożonych przeważnie i nieścisłych rymów (ale nie pozostawiających wątpliwości co do swej roli) i swoboda wiersza (większa lub mniejsza, zmniejszająca się w każdym razie z latami ani na chwilę jednak nie przechodzącego w prozę — wszystko to, łącznie z sugestywnym humorem i zadzierżystym dowcipem zabarwiającym prawie każdy utwór Majakowskiego, pozwala zrozumieć jego popularność bez uciekania się dla jej wyjaśnienia do przypuszczeń snobizmu, mody lub nacisku na czytające masy za pomocą środków pozostających w rękach czynników oficjalnych.

Wpływ Majakowskiego na twórczość młodszych od niego poetów jest bardzo znaczny: sam on za życia wykpiwał z lekka swych naśladowców, nie wahając się wymieniać ich po nazwisku, a przez piętnaście lat ubiegłych od jego śmierci wpływ jego się nie zmniejszył; ale jest to wpływ potężnej indywidualności Majakowskiego, a nie futuryzm, którego z przyzwyczajenia mienił się reprezentantem.

IX

Gdy po wieloletniej przerwie zetknąłem się z dzisiejszą, dosłownie: „bieżącą" poezją w ostatnich zeszytach czołowych pism literackich Rosji radzieckiej, w jej aspekcie obecnym uderzyło mnie dalsze jeszcze od lat przedwojennych „uklasycznienie", zatarcie śladów burzy „futurystycznej", zarówno w formie, gdzie tylko typograficznie zaznaczają się tendencje „wolnego wiersza", jak i w treści, gdzie znikło niezrozumialstwo, a odzyskała prawa „poezja" z jej powszechnie uznanym, tradycyjnym obliczem.

Fakt paradoksalny: z całego dostępnego mi, dosyć bogatego materiału, najbardziej odbiega od tradycyjnego pojęcia poezji wojenna twórczość Achmatowej. Poetka, która zawsze odznaczała się oszczędnością ekspresji, odezwawszy się po latach posunęła ją do przesadnego skąpstwa, nie zapewniając w środkach artystycznych tego „minimum egzystencji", bez którego nawet poezja wegetować nie może. Ona więc, którą niespełna ćwierć wieku temu przeciwstawiano, jako strażniczkę tradycji kulturalnej i artystycznej, burzliwemu i krzykliwemu nowatorstwu, na tle dzisiejszego powszechnego powrotu do tradycji wydaje się najbardziej od niej oddaloną.

Na ewolucję poezji rosyjskiej w tym kierunku wywarła w pewnej mierze wpływ wojna. Gdy głos poety musiał dojść ucha milionów, gdy miał być ważnym czynnikiem w kształtowaniu ducha walczącej ojczyzny, gdy stawał się „narzędziem zwycięstwa", nie mogła trwać zabawa w eksperymentatorstwo. Uniwersalizm — w podniesionym poprzednio znaczeniu — stawał się racją bytu poezji. Ale nie tylko propagandowej, agitacyjnej, czy w ogóle „obywatelskiej" lub żołnierskiej; tam nawet, gdzie bodźce utylitarne tej przemiany są bez znaczenia,

---

[1]) Z roku 1945: tekst mój, jak zaznaczyłem już w przypisku, pochodzi z tego roku.

w „pamiętnikach lirycznych", w poematach pięknie rzutujących na tło wojennej codzienności intymną tematykę erotyczną (mógłbym wskazać piękny przykład w nr 5—6 pisma *Znamia,* 1945, podpisany nieznanym mi nazwiskiem poetki), odnajdujemy tradycyjną bezpośredniość oddziaływania i niezawodne środki jego powszechności. A najbardziej omawiane dziś poetki są kontynuatorkami Achmatowej, ale tej sprzed lat, oszczędnej, lecz nie skąpej w ekspresji, dyskretnej w wyznaniach, lecz kobiecej. Jeśli zaś gdzie pod męskim piórem spotykamy szorstką i gwałtowną reakcję na rzeczywistość jaskrawym, nawet brutalnym słowem, to jest to nie tylko wpływ Majakowskiego, ale przede wszystkim nawiązywanie do rdzennej tradycji realizmu, filozoficznie przed stu laty uzasadnionego jako poszukiwanie „prawdy życia". Poezja dzisiejsza pozostaje w głównym nurcie literatury rosyjskiej, jej zaś uniwersalizm, traktowany dotychczas w niniejszych uwagach „jako wykładnik wielkości poezji, ukazuje jednocześnie, zwłaszcza w dobie obecnej, inne swe, bardziej bezpośrednio społeczne znaczenie: urzeczywistnienia prawa demokracji w literaturze.

PRÓBA BILANSU KULTURALNEGO ZIEM ODZYSKANYCH

I

Rok 1945 był dla terenów zachodnich Rzeczypospolitej czasem wielkiego przełomu. Skończyło się panowanie niemieckie, ziemie te powróciły we władanie Narodu Polskiego, któremu przed dłuższym lub krótszym czasem zostały w ten czy inny sposób wydarte. Ziemie te opanowane były przez kulturę niemiecką. Większa część ludności posługiwała się językiem niemieckim. Byli to Niemcy przybyli z zachodnich prowincji Rzeszy lub też zniemczeni Ślązacy i Mazurzy. Około ośmiu milionów ludności zamieszkiwało ziemie śląskie, pomorskie i mazurskie.

Lecz pomimo bezwzględnej wielkości tej cyfry — tereny położone na wschód od Odry nie były bliskie narodowi niemieckiemu. Polityczne hasła *Drang nach Osten* nie miały pokrycia w praktyce naturalnego ruchu ludności niemieckiej, która począwszy od roku 1851 nieustannie odchodzi z nich z powrotem na zachód. Nie pomagały sztuczne środki zaradcze mające na celu zatrzymanie tego ruchu odwrotowego ludności — a więc i germańskiej kultury. Między rokiem 1852 a 1939 odchodzi z obecnych granic Ziem Odzyskanych 2,8 miliona Niemców, a z całych wschodnich prowincji Rzeszy Niemieckiej cyfra odpływu ludności sięga 4,7 miliona.

Dopiero na tle tych liczb z niedalekiej przeszłości można w pełni wytłumaczyć zjawisko niezwykłej łatwości, z jaką niemiecka ludność Ziem Odzyskanych przez Polskę, korzystając z wypadków wojennych porzuciła w r. 1944/45 kraj przez siebie zajęty. Instynkt ojczyźniany, instynkt przywiązania do własnej ziemi jest przecież bodaj najsilniejszy u ludzi. A oto gdy Polska przyszła nad Odrę, Nysę i Pasłękę zastała tam zamiast dotychczasowych 8 milionów mieszkańców — tylko 3,5 miliona Niemców i nieco ponad milion tzw. autochtonów. Cztery miliony uciekło — po prostu uciekło, za nic sobie mając przywiązanie do ziemi, widocznie nie rodzimej.

W ten prosty sposób — nieledwie spontaniczny — Ziemie Zachodnie przestały być niemieckie. Obca kultura odpłynęła z nich wraz z obcym ludem.

W roku 1945 ziemie te były kulturalnie właściwie niczyje. Politycznie i administracyjnie należały już do Państwa Polskiego. Ale polskość ich autochtonów, acz wytrwała, była nieraz wątła; historyczne pamiątki polskości, choć ważkie i liczne — nie były żywym świadectwem. Od wschodu zaczynała dopiero nadciągać prawdziwa Polska — wracali Polacy, by zasilić autochtonów.

Najrozmaitsi byli to ludzie. Jedni wędrowali z odległej, północnej Wileńszczyzny, inni z południowych krain Podola, wschodniego Podkar-

pacia, ze Lwowa, inni z błotnistego Polesia. Zjeżdżali się przesiedleńcy z wszystkich okolic Polski centralnej — górale, krakowianie, mieszkańcy Mazowsza i Podlasia, chłopi spod Kielc i Poznania, obywatele Radomia, Inowrocławia, Bydgoszczy, Kutna — słowem wszyscy. Wszyscy oni byli i są Polakami, ale ich obyczaje rodzime są najprzeróżniejsze, przynależność do rodzimej gwary odmienna.

Inaczej ustawiają się w kościele, inaczej pieką chleb, inaczej gospodarują po domach. Wszyscy posiadali swe regionalne kultury, z których powstawała i krystalizowała się ongiś kultura ogólnopolska, wszechkrajowa. Po raz pierwszy bodaj w historii naszego kraju nastąpiło w tak masowy sposób przerwanie więzi, łączącej regionalizm z pewnym obszarem ziemi — i przeniesienie go, wraz z ludźmi, na teren zupełnie inny, gdzie nastąpiło i następuje nadal — mieszanie się i przekształcanie przeróżnych dotychczasowych polskich obyczajów w nowe kultury regionalne, które rychło wzbogacą naszą ogólnopolską kulturę narodową. Swoiście ukształtuje się styl życia i pracy ziem Mazurskich i Warmińskich, odmiennie — każdego ze Śląsków, Dolnego i Opolskiego, Pomorza i Ziemi Lubuskiej.

Nim jednak w całej pełni zabłysną te nowe bogactwa regionalne — chwilowo element, jaki zaludnił Odzyskane Ziemie Zachodnie, element różny, ale zawsze tylko i wyłącznie polski, ujawnił przede wszystkim to — co ludzi tych z najrozmaitszych stron Polski najprościej łączyło, co im wszystkim było wspólne: cechy ogólnopolskie. Toteż, odwrotnie niż miało to miejsce w historycznym procesie, najpierw ziemie te opanowywane są obyczajem ogólnonarodowym, potem dopiero wytworzą się nowe kultury regionalne.

Trudno dziś jeszcze mówić o specyficznej kulturze dolnośląskiej, lubuskiej, mazurskiej (nowo-mazurskiej!), a już z całą ścisłością powiedzieć można, że Ziemie Zachodnie od Kłodzka po Kołobrzeg i od Ełku po Szczecin zostały już opanowane przez polską kulturę narodową. Że ziemie te dziś — odmiennie niż to było przed trzema laty — są nie bezpańskie, ale polskie. Gdyż polska jest ich kultura. Polska jest kultura ich mieszkańców.

Bezsporne są na to dowody.

II

Język dnia codziennego — ten który słyszy się na ulicach, w jakim wydrukowane są napisy drogowskazów i wymalowane szyldy sklepów, w jakim ukazują się gazety, pisma i książki, jaki używany jest przez mieszkańców w ich domowym, rodzinnym współżyciu — język taki najdosadniej świadczy o kulturze mieszkańców.

W roku 1945 granica językowa między Polską Centralną a Ziemiami Zachodnimi była aż brutalnie wyraźna. Na ulicach Wrocławia i Szczecina, a za nimi wszystkich miast, miasteczek i wsi, słychać było przede wszystkim słowa niemieckie, wypowiadane nieśmiało, pozbawione tak dobrze znanego akcentu wrzaskliwej buty, ale najliczniejsze, ale dominujące. Nasza mowa była z rzadka słyszalna. Milionowa ludność polska, z dawien dawna tutaj gospodarząca, tak zwani popularnie autochtoni — nie była w stanie zrównać w tamtym czasie szali polskiego z szalą niemieckiego. Było ich milion na trzy i pół miliona Niemców.

Obecnie sytuacja uległa radykalnej zmianie. Język niemiecki równie dziś egzotycznie brzmi w Jeleniej Górze jak w Zakopanem, w Wałbrzychu jak w Łodzi, we Wrocławiu jak w Krakowie, w Szczecinie jak w Gdyni, Gdańsku czy Sopocie. Nie słychać rozmów w nim prowadzonych. Jedynym językiem popularnym, powszechnym wszędzie dokoła rozbrzmiewającym — jest polski.

W grudniu 1945 roku przedziera-

jąc się przez ruiny Wrocławia i Szczecina trzeba było, by nie zmylić drogi, zagadywać o nią przechodniów wyłącznie po niemiecku; między majem a grudniem roku czterdziestego siódmego — tylko raz jeden człowiek zapytany o ulicę odpowiedział, że nie rozumie, że prosi o powtórzenie pytania po niemiecku. Było to w Świnoujściu. Nigdzie poza tym, jak ziemie te długie i szerokie.

Nie spotka się już teraz szyldów niemieckich, drogowskazów drukowanych gotykiem, afiszy niemieckich. I to nie dlatego, że władze porządkowe kazały napisy takie zamalować lub wydrapać. Nie rozporządzenie administracyjne — ale potrzeba życia wyczyściły te ziemie z ich niemieckiej politury językowej. Napisy te zostały zasłonięte innymi afiszami, innymi drogowskazami, zastąpione innymi szyldami. Tamte przecież mało kto rozumiał, a nikt nie chciał ich używać, co nie jest niczym specjalnym, gdyż ponad cztery i pół miliona nowych Polaków osiedliło się teraz na Ziemiach Zachodnich, a milion autochtonów dziś rozmawia prawie wyłącznie po polsku. Polski element w tej chwili jest jedyny. Niemców na całym terenie tych Ziem pozostała zaledwie garstka. Niebawem zniknie i ona.

Proporcja ta wskazuje dostatecznie wyraźnie, jaki jest już teraz język tej ziemi. Język polski, który swe dawne ślady odnalazł przechowane w żywej formie regionalnych gwar: śląskiej i mazurskiej oraz resztek zachodnich gwar kaszubskich, nie dźwięczy obco ani pod pomorskim, ani pod dolnośląskim niebem. Mowa polska nie tylko ogarnęła te ziemie prawem liczebnej przewagi napływowego elementu polskiego nad uchodzącym niemieckim. Sprawa jest znacznie poważniejsza. Język polski stał się instrumentem i motorem istotnej akcji repolonizacyjnej, dokonywanej na duszach zgermanizowanych autochtonów.

Na Mazurach, w Warmii, na Górnym Śląsku powstało, zaraz na przełomie roku 1945 i 46, kilka uniwersytetów ludowych, specjalnie przeznaczonych dla młodzieży tamtejszej. Młodzież miejscowa tłumnie się do nich garnie. Dobre opanowanie języka polskiego jest pierwszą siłą skłaniającą ją do zapisywania się na kursy uniwersyteckie oraz do innych szkół. Ci młodzi wprost żarliwie przysłuchują się polskim rozmowom. Zazdroszczą pięknej wymowy przybyłym ze środka kraju. Młodzież i dzieci często łatwiej aniżeli dorośli dostrzegają całkowitą zbieżność języka polskiego z dotychczas używanymi po rodzinnych domach gwarami śląską i mazurską. Podobieństwo, identyczność ta, raz dostrzeżona — staje się oczywistą, i to w takim stopniu, że młodzież wyciąga z niej dalsze konsekwencje narodowościowe, repolonizując się coraz pełniej.

O, ojczysta nasza mowo,
Coś kwitnęła nam przed laty
Zakwitnęłaś nam na nowo,
Jako kwitną w lecie kwiaty...

Regionalny poeta mazurski, cieśla z Ogródka, powiatu Łęckiego, Michał Kajka w powyższym wierszu napisanym po plebiscycie, w czasie srogiego prześladowania polskości i intensywnej akcji germanizacyjnej — użył formy życzeniowej z a k w i t n i j ż e n a m n a n o w o! Nie doczekał się sędziwy poeta spełnienia swych marzeń. Umarł w gorzkim strapieniu, gdyż wnuki jego uległy niemczyźnie całkowicie. Dopiero zakończenie drugiej wojny światowej przyniosło zmianę. Uczniowie-autochtoni Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego w Rudziskach wymalowali na frontonie swej szkoły wiersz Kajki. Zmienili w nim tylko formę czasownika. Na — z a k w i t n ę ł a ś n a m n a n o w o. Na czas dokonany zamienili...

Językiem polskim posługuje się dzisiaj stale pięć i pół miliona mieszkańców Ziem Zachodnich. Trzynaście polskich dzienników ukazuje się tutaj. Na koniec polski jest języ-

kiem, w którym setki tysięcy chłopców i dziewcząt pobiera naukę w przeszło sześciu tysiącach szkół powszechnych.

III

Język polski — raz wprowadzony na te ziemie — musi zostać na nich utrwalony. Kultura polska — raz tutaj zasiana — musi być nieustannie pielęgnowana i rozwijana. Ludzie w tak rozmaitych dawkach wrzuceni do tego wielkiego kotła, jakim są Odzyskane Ziemie Zachodnie, muszą możliwie rychło utworzyć jednolite, nie tylko pod względem ogólnarodowym, ale również pod względem regionalnym społeczeństwo.

Tym wszystkim celom służy oświata — najważniejszy bodaj element polityki i praktyki kulturalnej każdego nowoczesnego społeczeństwa. Dopiero szkoły, w których mały autochton spotka się z małym repatriantem i małym przesiedleńcem, by wspólnie przeżyć osiem, dziesięć lub więcej lat pracy szkolnej, wspólnie uczyć się tych samych rzeczy w tym samym języku, dopiero takie szkoły doprowadzą do faktycznego zespolenia się rozlicznych polskich elementów regionalnych. Dopiero szkoły przekreślą różnice gwar i obyczajów, różnice krzywd i urazów, jakie często dziś jeszcze dzielą społeczeństwo polskie. Pełne i jednolite będzie dopiero społeczeństwo wychowane przez nowe polskie szkoły.

Dlatego też rozwój szkolnictwa polskiego na tych ziemiach jest zagadnieniem wielkiej ważności, któremu od samego początku poświęcono uwagę baczną i staranną.

Żaden rok szkolny nie mógł być zmarnowany, już choćby tylko dlatego, że wskutek wojny i okupacji dziecko polskie już tyle lat bez nauki miało poza sobą; każdy kwartał zaniedbywania tego obowiązku groził katastrofą kulturalną. Zdawaliśmy sobie zresztą doskonale sprawę z tego, że bez polskiej oświaty ziemie te nigdy w pełni nie wrócą do polskości.

Prawdy te rozumiały władze, rozumieli nauczyciele, których liczba uległa zmniejszeniu wskutek okupacyjnego terroru i braku należytego dopływu sił fachowych przez lat sześć, rozumieli rodzice. Szkoły powstawały na Ziemiach Zachodnich niemal samorzutnie, spontanicznie. Były one troską rad gminnych i miejskich, troską wójtów i proboszczów. Kierowano robotników niemieckich do prac nad odbudową gmachów, które z reguły były w ostatnich fazach walki miejscami postoju jednostek wojskowych i nie nadawały się wobec tego do podjęcia w nich nauki bez uprzedniego remontu. Po wsiach sami wieśniacy porządkowali domki dla szkół i nauczycieli.

Tak samo rzecz toczyła się na wszystkich szczeblach — od przedszkoli począwszy, przez najważniejsze szkoły powszechne i gimnazja, na uczelniach akademickich skończywszy. Przewodniczący gminy w małej podwrocławskiej osadzie Kozoniowie, który gorączkowo poganiał robotników przygotowywujących szkolny budynek i szukał nauczycieli — miał takie same zrozumienie dla tej sprawy, jak rektor Kulczyński, który na czele ekipy profesorów zjawił się we Wrocławiu, gdy miasto drżało jeszcze nieukończonymi bitwami, by wśród kul i pożogi zabezpieczać majątek uniwersytecki, by móc rozpocząć jesienią pełny, nowy rok akademicki. Tych dwóch ludzi stojących na tak odległych szczeblach intelektualnej drabiny, ożywiał ten sam duch. Nie może być Polski bez polskiej szkoły.

I dokonano poważnego wysiłku. Jesienią 1945 roku — pierwszego polskiego roku szkolnego na Ziemiach Zachodnich — otworzyły się drzwi 2376 szkół powszechnych, w których 5851 nauczycieli i nauczycielek rozpoczęło uczyć 254.000 dzieci polskiego języka i polskiej historii. W klasach było zimno i nieprzytulnie. Brak było stosownych ławek, książek i map. Często jeden podręcz-

nik służyć musiał całej klasie, ba! całej szkole niekiedy.

W tym samym czasie rozpoczęło pracę 145 szkół średnich z 759 nauczycielami i 19.450 uczniów. Najmniej było szkół zawodowych — zaledwie 61, do których jednak uczęszczać zaczęło 4432 praktykantów. Nie zapomniano w tym czasie o najmniejszych dzieciach, dla których uruchomiono 536 przedszkoli z cyfrą 27.500 dzieci. A pamiętać należy, iż w tym okresie ziemie te dopiero zaczynały zaludniać się rdzennie polskim elementem, że liczba Polaków była jeszcze niska; dopiero za pięć miesięcy, w lutym 1946 roku, wskaźnik świeżo przybyłych miał wystukać cyfrę 2.800.000; że z miliona autochtonów jeszcze wysoki procent nie wyklarował swego oblicza narodowego; że było tu jeszcze ponad dwa miliony Niemców. A już ponad 300.000 polskich dzieci i młodzieży rozpoczęło normalny rok szkolny. Osiągnięcia pierwszych miesięcy były żywiołowe. W stosunku do czasu i możliwości największą ilość szkół uruchomiono właśnie w tym okresie, do jesieni 1945 roku.

Pierwszy rok nauki był niezwykle ciężki zarówno dla 300-tysięcznej masy młodych, jak bez mała ośmiotysięcznej rzeszy nauczycieli. Nauczyciele musieli być nie tylko wykładowcami w swej szkole, ale i organizatorami jej zasobów materialnych. Nie wszędzie jeszcze w tym okresie dotrzeć mogła pomoc władz centralnych. Trzeba było dobrze łamać głowę nad sposobami zdobycia ławek szkolnych, tablicy, książek do nauki, zeszytów i ołówków. Nie rzadko nauczyciel musiał w szkole powszechnej stać się równocześnie opiekunem społecznym, na którego barki spadł twardy obowiązek dożywiania tych dzieci, których rodzice pod względem materialnym jeszcze nie stanęli o własnych siłach. Były to czasy przed pierwszymi zbiorami, pierwszej powojennej zimy, powojennego przednówka; poprzednie lato na odzyskanych Ziemiach Zachodnich nie przyniosło pełnych zbiorów; zboże zgniło na polach niezżęte.

A jednak gdy rozpoczął się drugi rok szkolny — 1946/47 — do pracy stanęła dwu- a nawet trzykrotna liczba zakładów wychowawczych i szkół.

4592 szkoły powszechne wchłonęły na początku drugiego roku ponad 548.000 dzieci i dały pracę ponad 12.000 nauczycielom. Liczba szkół średnich wzrosła w mniejszym stopniu, gdyż tylko do 210, ale poważnie zwiększyła się liczba uczniów: osiągnęła 35.000. Słabszy rozwój szkolnictwa średniego tłumaczy się łatwo. Młodzież w wieku gimnazjalnym wobec ciężkich warunków gospodarczych brać się musiała przeważnie do pracy zawodowej, toteż szczególnie silnie rozwinęło się szkolnictwo zawodowe. Drugi rok szkolny rozpoczęło 165 szkół zawodowych sponad osiemnastu tysiącami słuchaczy.

Najbardziej charakterystyczny był rozwój przedszkoli. Trzykrotnemu zwiększeniu ilości przedszkoli (z 536 na 1521) odpowiada jednak tylko dwukrotnie większa liczba dzieci (z 27.593 na 58.351) oraz stosunkowo nieznaczny wzrost przedszkolanek (z 1411 na 1726).

W tym samym czasie ludność polska powiększyła się do 4.237.000, w tym około 1 miliona autochtonów.

Obraz osiągnięć pierwszego i początków drugiego roku szkolnego nie byłby jednak pełny, gdyby się nie wspomniało o bardzo ciekawym i nadzwyczaj ważnym zjawisku. W dniu 1 października 1946 roku wśród kilkunastu tysięcy nauczycieli do pracy nad najmłodszymi polskimi dziećmi stanęło paru młodych nauczycieli i nauczycielek — autochtonów i autochtonek, którzy w ciągu pierwszego roku nowej ojczyzny tak doskonale opanowali język polski, że mogli sami objąć kierownictwa szkół elementarnych.

Byli to wychowankowie pierwszych kursów uniwersytetów ludowych, którzy potrafili rzeczywiście

rozpalić się do pracy repolonizacyjnej i wychowawczej. Znaczny odsetek dziewcząt-autochtonek, odnajdujących swą polskość na uniwersytetach ludowych, szedł potem na przedszkolanki. Chłopców pociągało zmaganie się o dusze młodego autochtona, pociągała praca pedagogiczna. Raz po raz odkrywały się nowe talenty nauczycielskie. Byli żołnierze Wehrmachtu — Mazurzy i Ślązacy — odnalazłszy w sobie źródła rzetelnej polskości, pragnęli równocześnie stać się jej skutecznymi apostołami, tym gorętszymi, im większą mieli świadomość tragedii własnych rodaków zagubionych pomiędzy dwoma narodami — najeźdźczym i macierzystym — i tym zręczniejszymi, gdyż znającymi dobrze obie strony. Ich gorliwość jest gorliwością neofitów narodowych.

Jest to znany przypadek psychologiczny, że bodaj najlepszymi patriotami są właśnie ci, którzy swój prawdziwy naród odnajdują w starszych latach. Nawrócenie Wojciecha Kętrzyńskiego jest dla Mazurów dobrym przykładem. Wielu młodych idzie już tym śladem. Zaczynają od uczenia małych autochtonów w wiejskich szkółkach pierwszego sylabizowania na nieśmiertelnym elementarzu Falskiego — a kończyć może będą na wykładach z uniwersyteckich katedr.

Liczba tych ciekawych nauczycieli nie jest wysoka, choć w trzecim roku nauki szkolnej większa jest aniżeli w drugim. Nieważna jest w tej chwili ich ogólna cyfra, ważne jest natomiast samo zjawisko: już po szesnastu miesiącach powtórnego opanowania tych ziem przez kulturę polską autochtoni zaczęli odnajdywać w niej swoje miejsce i czynnie współuczestniczyć w jej dalszym umacnianiu i rozprzestrzenianiu.

W ciągu roku 45 i 46 powstało na całym tym terenie kilka uniwersytetów ludowych — na Mazurach, w Warmii, w Opolszczyźnie, wszędzie tam, gdzie element autochtonów był dostatecznie silny ilościowo, by zapewnić im należytą frekwencję. Najstarszymi były: Mazurski Uniwersytet Ludowy w Rudziskach, prowadzony przez Karola Małka oraz Uniwersytet Ludowy w Błotnicy pod Strzelcami Opolskimi, kierowany przez Denkowa. W ciągu przeszło dwóch lat pracy wypuściły już te ludowe uczelnie prawie tysiąc słuchaczy, którzy przeszedłszy rzetelną szkołę repolonizacyjną stali się najlepszymi i najbardziej twórczymi łącznikami między regionalną kulturą Mazurów, Warmiaków czy Ślązaków a ogólnopolską kulturą narodową.

O ile pierwszy rok szkolny był raczej mozoleniem się z trudnościami odbudowy, o tyle drugi poświęcony został normalnej pracy nauczania. Nie znaczyło to, że trudności nie zniknęły. Podręczników nadal było zbyt mało, nauczyciele nadal byli przemęczeni pracą, z ławkami były ciągle trudności — są to jednak mankamenty ogólnopolskie, mankamenty czasu powojennego. Ale już młodzież przyzwyczajona była do rytmu pracy szkolnej, już jeden nauczyciel wypadał na stosunkowo mniejszą liczbę uczniów niż w roku pierwszym, już funkcjonowała elektryczność, wodociągi, był węgiel, dzieci nie marzły w czasie lekcji i nie bały się po zmroku wracać do domów, gdyż bandytyzm został wypleniony.

Drugi rok szkolny na Ziemiach Zachodnich był już prawie identyczny z drugim powojennym rokiem szkolnym w całej reszcie kraju. Szkoła w Szczecinie, Zielonej Górze, Olsztynie czy Gliwicach różniła się od szkół w Krakowie, Wieliczce, Radomiu, Lublinie, Warszawie czy Poznaniu tylko bardziej urozmaiconym pochodzeniem jej polskich uczniów. Niczym więcej.

Pierwszego lipca 1947 drugi rok szkolny ukończyło więcej szkół niż zaczynało go przed dziesięcioma miesiącami.

Liczba przedszkoli powiększa się jedynie o 96, lecz za to wszystkie zasilają się dziećmi, których przybywa

w tym czasie ponad 18.000. Wobec czego i liczba przedszkolanek rośnie o bezmała 500 osób i osiąga poziom 2295 pracownic. Liczba szkół powszechnych z 4592 doszła już do 5404. Uczniów tych szkół z 548.000 do 603.000; nauczycieli z 12.192 do 15.486. W 298 gimnazjach i liceach ponad 37.000 młodzieży otrzymało od 1998 nauczycieli świadectwa ukończenia roku szkolnego.

Najsilniej może rozwija się szkolnictwo zawodowe, wiążące ściśle swój wzrost z odbudową przemysłu. Aż dwa resorty ministerialne roztaczają nad nim opiekę. Szkolnictwo przemysłowe organizowane jest przez ministerstwo przemysłu i handlu; szkoły zawodowe innego typu — pozaprzemysłowego — przez ministerstwo oświaty.

Szkolnictwo przemysłowe obejmuje szkoły przysposobienia przemysłowego, szkoły przemysłowe niższego stopnia, gimnazja i licea przemysłowe, szkoły mistrzów i wreszcie trzy szkoły wyższe, tzw. „technicum".

W sumie w 513 zakładach kształcenia przemysłowego pobiera naukę 78.000 młodzieży. W 128 gimnazjach i liceach zawodowych innego typu uczy się fachu 13.000 młodych chłopców i dziewcząt.

Gdy jesienią 1945 roku 300.000 polskiej młodzieży rozpoczynało rok szkolny na Ziemiach Zachodnich — to w dwa lata potem liczba ich przekroczyła 800.000, nie licząc słuchaczy szkół wyższych i uczestników wszelkiego rodzaju kursów dokształcających dla dorosłych.

Między tymi dwoma cyframi rozpięty jest dwuletni gigantyczny wysiłek całego społeczeństwa polskiego, wysiłek, który doprowadził do tego, iż nie ma już polskiej miejscowości bez szkół powszechnych i miasta bez gimnazjum.

IV

O ile oświata powszechna i średnia jest w gruncie rzeczy najbardziej istotnym utrwalaczem kultury narodowej w okresie najbliższego, zaczynającego żyć pokolenia, które jednak ją samą wytwarzać i rozwijać będzie dopiero za lat parę — to ośrodki uniwersyteckie są już w tej chwili realizatorami kultury najbardziej aktualnej. Po żywotności i wielkości ośrodków uniwersyteckich zwykło się nie bez słuszności wyrokować o rozwoju kulturalnym danego społeczeństwa. Wokół uniwersytetów, akademii, politechnik, szkół wyższych — gromadzą się zawsze ludzie nauki, nierzadko ludzie sztuki, koło nich zaś z kolei wytwarza się cały krąg instytucji artystycznych i naukowych takich jak teatry, zespoły orkiestralne, instytuty badawcze, kluby artystyczne, muzea, biblioteki, wydawnictwa — słowem to wszystko, co zwykliśmy rozumieć pod określeniem ośrodka kulturalnego.

Rozumiała to doskonale grupa profesorów uczelni lwowskich i krakowskich, gdy pod wodzą prof. Stanisława Kulczyńskiego już w kwietniu i maju 1945 roku zjawiła się we Wrocławiu, by w ogniu szalejącej o miasto bitwy zająć się wstępnymi czynnościami, koniecznymi dla zorganizowania w tym starym grodzie piastowskim polskiego uniwersytetu. Centrum miasta było jeszcze w rękach niemieckich. Gmach główny Uniwersytetu przeorany był bombą od góry do dołu. W budynkach Politechniki urządzona była fabryka torped i granatów. Kliniki uniwersyteckie użytkowane były jako szpitale wojskowe. Lokale seminariów i bibliotek były spalone lub porujnowane. Wszystko było podminowane i groziło dalszymi zniszczeniami. W takiej chwili — na przekór zdawałoby się wszystkim rozsądnym przesłankom, jakby z lekkomyślnym lekceważeniem przeszkód, które wydawały się nie do pokonania — zapadła decyzja, wyrosła jednocześnie w sercach garstki uczonych walczących z wojennym żywiołem we Wrocławiu i w odległym gabinecie warszawskiego ministra: W r o c ł a w b ę d z i e m i a ł u n i w e r s y t e t.

Słowo rychło stało się ciałem.

W osiem miesięcy później gmachy

uczelni były już z grubsza odremontowane, profesorowie ściągnięci dla uruchomienia najważniejszych katedr. I najistotniejsze — byli już studenci — młode dziewczęta i młodzi chłopcy, którzy zgłosili się po naukę prosto z oddziałów wojskowych i partyzanckich, z organizacji konspiracyjnych, absolwenci tajnych gimnazjów i nieco starsi uczestnicy tajnych uniwersytetów Warszawy, Kielc i Krakowa. Zanim rozpoczęli naukę — musieli razem ze swymi profesorami podjąć trudy zwyczajnej pracy porządkowej: wynosili gruz, zmiatali popiół, szklili, niekiedy nawet murowali. W styczniu 1946 roku wszystkie oddziały Uniwersytetu już pracowały. Pracowała Politechnika i Medycyna. Dwa i pół tysiąca studentów polskich było wtedy we Wrocławiu.

Wrocław był może najklasyczniejszym przykładem, jakie przeszkody należało przezwyciężyć, by móc założyć w tak krótkim czasie tak poważną wyższą uczelnię. Ale nie był on jedynym ośrodkiem uniwersyteckim. W Gliwicach założono w tym samym okresie Politechnikę, która w pierwszym roku liczyła już 2244 słuchaczy, podczas gdy Politechnika w Gdańsku zgromadziła 2000 studentów, a Akademia Lekarska w tymże mieście ponad 200. Na ogólną liczbę 53.500 studentów w całej Polsce w roku 1945/46 (przy 46.800 w roku 1937/38) na Ziemiach Zachodnich studiowało już wtedy bez mała siedem tysięcy. Obie te cyfry prędko uległy zasadniczemu zwiększeniu.

Jak słusznie przewidywano, utworzenie we Wrocławiu uniwersytetu i politechniki — połączonych zresztą w organiczną jedność, co jest zupełną nowością w dotychczasowej praktyce nauki polskiej — stworzy z tego miasta ośrodek naukowy, który rozmiarami swymi rozszerzy się poza uniwersytet. W istocie Wrocław stał się w ciągu nader krótkiego czasu żywym organizmem nauki polskiej na kresach zachodnich.

Przede wszystkim rozrósł się sam uniwersytet, który nazwą tą objął pięć różnych uczelni: prócz właściwych wydziałów uniwersyteckich i politechnicznych posiada bowiem wydziały akademii górniczo-hutniczej, weterynaryjnej, oraz gospodarstwa wiejskiego. W roku szkolnym 1947/48 liczba jego słuchaczy przekroczyła 7000, wysuwając się tym samym na jedno z czołowych miejsc wśród polskich uczelni. Prócz uniwersytetu powstały we Wrocławiu w tym czasie Wyższa Szkoła Handlowa, Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych i parę innych szkół wyższych o mniejszym zakresie, tak iż w rezultacie ogólna ilość studentów wrocławskich przewyższa ilczbę 10.000. Jest to więc ośrodek uniwersytecki zupełnie równy warszawskiemu, krakowskiemu, poznańskiemu i łódzkiemu, a procentowo w stosunku do ilości mieszkańców każdego z tych miast — bardziej nasycony elementem studenckim.

Analogicznie do uniwersyteckiego rozkwitu Wrocławia we wszystkich ważniejszych miastach zachodnich prowincji Rzeczypospolitej rozwijają się wyższe uczelnie.

I tak na Górnym Śląsku intensywnie kwitną studia politechniczne, dostarczając inżynierów i techników tamtejszemu przemysłowi. Politechnika w Gliwicach wzrosła prawie do 2.500 słuchaczy. W Bytomiu czynne jest „technicum", a obecnie ukończone zostały przygotowania do uruchomienia tam już w roku przyszłym Akademii Lekarskiej. Na Wybrzeżu — prócz Politechniki i Akademii Lekarskiej w Gdańsku — fachowcy twierdzą, iż najlepszej w Polsce — czynna jest w Sopocie Akademia Handlu Morskiego. W Szczecinie, który ma też ambicje uczelniane, trudno było uruchomić wyższe uczelnie. W pierwszym roku po wojnie zdołano ruszyć tylko Akademię Handlową, w drugim dopiero zorganizowano Wyższą Szkołę Inżynieryjną. Początkowo profesorowie musieli na wykłady dojeżdżać z odległego Po-

znania. Teraz, gdy liczba studentów na obu uczelniach przekracza trzy tysiące — wykładowcy zamieszkali już na miejscu. W tym mieście portowym projektuje się uruchomienie Akademii Medycznej, a nawet mówi się już o Uniwersytecie.

W Olsztynie — najmniejszej z wojewódzkich stolic Ziem Odzyskanych — Uniwersytet Toruński założył swą filię, samodzielny wydział ekonomiczno-prawny. W małym miasteczku Giżycku, położonym w samym środku jezior mazurskich, i będącym centrum rybołóstw Pojezierza Mazowieckiego — warszawska Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego uruchomiła swoją stacie doświadczalną, gdzie studenci SGGW specjalizują się w rybołóstwie słodkowodnym, korzystają w czasie swych wakacyjnych praktyk i badań.

Są to cyfry i nazwy — których wymowa jest zupełnie jednoznaczna. Odzyskane Ziemie Zachodnie nasycone są szkołami wyższymi w stopniu równym, o ile nie większym, niż reszta kraju. Z prawie 24 milionów Polaków — Ziemie Zachodnie zamieszkuje pięć i pół miliona, co stanowi niespełna czwartą część ludności całego kraju. Tymczasem na 80.800 słuchaczy szkół wyższych całej Rzeczypospolitej na uczelniach tych Ziem pobierało naukę około 20.000 — to jest czwarta część ogólnej liczby studentów. W tym stanie rzeczy trudno nie uznać wielkiego wkładu zachodnich prowincji do ogólnopolskiej puli uczelnianej, a ponadto wypada z całą precyzją stwierdzić, iż mapa uniwersytecka najstarszych ziem polskich niczym nie różni się od mapy ziem Polski centralnej.

Wydaje się, że pokrycie odzyskanych Ziem Zachodnich taką samą siecią uczelni jaką pokryte są ziemie centralne, — było nie tylko wspaniałym czynem kulturalnym, ale ponadto jednym z najtrudniejszych zadań odbudowy w ogóle, jakie wykonano na Zachodzie Rzeczypospolitej. Kto wie nawet, czy nie było to równie trudne, jak pełne uruchomienie przemysłu — a na pewno dla ponownego narodowego zespolenia tych ziem z macierzą było ważniejsze.

V

Kultura każdego narodu wspiera się na kilku zasadniczych filarach. Jednym filarem jest język. Drugim — oświata powszechna. Trzecim — uniwersytety, jako ośrodki oświaty wyższej. Zaraz następnym filarem będzie życie naukowe we właściwym, nie tylko pedagogicznym znaczeniu tego słowa.

Życie to koncentruje się głównie wokół grup, towarzystw i instytutów badawczych, te zaś z reguły powstają w centrach uniwersyteckich. Tak i w tej chwili najsilniejszym centrum naukowym Ziem Zachodnich jest Dolny Śląsk, a w nim dwa miasta: Wrocław i Jelenia Góra.

Zasadniczą rolę odgrywa tu Wrocław — Jelenia Góra jest już raczej gniazdem imprez intelektualnych (wydawnictw), aniżeli naukowym w ścisłym sensie. Wokół uniwersytetu powstało Wrocławskie Towarzystwo Miłośników Historii. Polskie Towarzystwo Matematyczne, Polskie Towarzystwo Fizyczne, Polskie Towarzystwo Zoologiczne, Polskie Towarzystwo Lekarskie, Wrocławskie Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, Wrocławskie Towarzystwo Filozoficzne im. prof. K. Twardowskiego. Ciekawy zespół profesorów zebrany w tym mieście potrafił nazwom towarzystw nadać żywą treść, wyrażającą się już dzisiaj w kilkunastu pozycjach wydawniczych poświęconych zagadnieniom tak ogólnonaukowym, jak i (szczególnie pracują nad tym historycy) związanym z przeszłością i współczesnością Ziem Zachodnich

We Wrocławiu ukazuje się stale „Eos", periodyk poświęcony filologii klasycznej, „Sobótka" wydawana przez badaczy historii i kultury regionalnej. Tutaj redagowane są światowej sławy *Colloquium Mathematicum* — wydawnictwo matematyczne w języku francuskim, rozcho-

dzące się do wszystkich skupisk naukowych na całym globie, jedno z poważniejszych naukowych wydawnictw. Organ historyków literatury „Pamiętnik Literacki" ukazał się nakładem drukarni wrocławskich. W Jeleniej Górze wydawane są dwa periodyki: miesięcznik „Śląsk", poświęcony tematyce miejscowej, oraz ogólnokrajowy w doborze zagadnień ka" W Gdańsku, Nysie i Opolu ist- i autorów kwartalnik „Nauka i Sztunieją trzy oddzielne, ale o jednakowej nazwie Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Sztuki, o charakterze nie tyle badawczym co popularyzatorskim.

W Olsztynie pracuje Instytut Mazurski, zasłużony w popularyzowaniu polskości wśród ludności autochtonicznej oraz rejestrowaniu i gromadzeniu miejscowych „polonicóW", tak w słowie pisanym, jak w sztuce i rzemiośle regionalnym. Trzy najciekawsze jednak ośrodki naukowe opracowywujące zagadnienia Ziem Zachodnich znajdują się geograficznie poza terenem odzyskanym. Są to Instytut Zachodni w Poznaniu i Instytut Bałtycki w Bydgoszczy, mający tylko swą filię w Sopotach, oraz Instytut Śląski w Katowicach, z filią we Wrocławiu. Wszystkie one wyłonione zostały z analogicznych grup uczonych polskich pracujących nad tymi tematami częściowo już przed wojną, a szczególnie intensywnie w czasie okupacji, w konspiracji.

Trzy te Instytuty naukowe zajęły się specjalnie opracowaniem problematyki Ziem Zachodnich i Północnych, morza oraz sprawy niemieckiej. Ponadto Instytut Zachodni zwraca stale swą uwagę na kwestie polsko-czeskie.

W ciągu trzech lat wydano szereg gruntownych prac historycznych. Warto wymienić kilka tytułów: Wojciechowski Z.: „Polska—Niemcy, dziesięć wieków zmagań", Kaczmarczyk Z.: „Kolonizacja niemiecka na wschód od Odry", Mitkowski J.: „Pomorze Zachodnie w stosunku do Polski", Friedberg M.: „Kultura polska a niemiecka", Kostrzewski J.: „Kultura pra-polska", Lehr-Spławiński T.: „O pochodzeniu i pra-ojczyźnie Słowian", Górski K.: „Państwo krzyżackie w Prusach" oraz „Polska w zlewisku Bałtyku", Piwarski K.: „Dzieje Prus Wschodnich w czasach nowożytnych", „Dzieje Gdańska", „Historia Śląska", Konopczyński W.: „Kwestia bałtycka do XX w.", Lepszy K.: „Dzieje floty polskiej", Popiołek K.: „Trzecie Powstanie Śląskie", Tadeusza Dobrowolskiego: „Sztuka na Śląsku" i wiele innych mniejszej wagi.

Ukazały się ponadto opracowania zagadnień morskich, rolniczych, przemysłowych, demograficznych. Wydano wyczerpujące opisy geograficzne St. Srokowskiego o Pomorzu Mazowieckim i Pomorzu Zachodnim. Ukazała się obszerna „Monografia Odry", istne kompendium wiedzy o problemach tej rzeki. Instytut Zachodni przystąpił do publikowania bogatych monografii poszczególnych krajów Ziem Zachodnich zawierających zarówno opisy historyczne jak i sprawozdania z odbudowy i osiągnięć dnia dzisiejszego; w tej serii ukazała się już wspaniała monografia Dolnego Śląska.

Oczywiście, wydawnictwami naukowymi zajmują się nie tylko trzy wspomniane Instytuty. Nadzwyczaj ruchliwe „Wydawnictwo Zachodnie" mające siedzibę w Poznaniu opublikowało zasadniczy historyczny przewodnik po nowej Polsce W. J. Grabskiego „Dwieście miast wraca do Rzeczypospolitej"; wnikliwy mazurski reportaż Stefana Sulimy „Ziemia odnalezionych przeznaczeń", w którym ten młody historyk stara się ująć w jedną, jasną całość sprawy historycznego wczoraj i narodowego dzisiaj ludu mazurskiego, historię rozwoju i problemów portu szczecińskiego w opracowaniu L. Gustowskiego, Kolpińskiego, „Granicę Pokoju" i dziesiątki innych książek specjalnych. Odrodzona w Wrocławiu „Książnica-Atlas", stara i zasłużona polska firma wydawnicza, rozpoczęła cykl książek „Oblicze Ziem

Odzyskanych" doskonale opracowanym tomem poświęconym przyrodzie i gospodarce Dolnego Śląska.

Wydaje się, że żadna ze starych dzielnic polskich nie doczekała się w tak krótkim przeciągu czasu tylu i tak gruntownych opracowań swych problemów historycznych i współczesnych. Nie jest to wynik koniunktury politycznej czy akcji propagandowej. Ogłoszone prace naukowe od lat leżały w biurkach swych autorów, wykończone zostały przeważnie w czasie wojny. Świadczy to niezbicie o wieloletnim, długim i ścisłym zżyciu się uczonych polskich z historią, geografią, etnografią, problemami gospodarczymi tych krain, które każdy z nich zawsze uważał za swe ziemie ojczyste. Dzieła te — choć nie zawsze wydawane we Wrocławiu czy w Szczecinie, często drukowane w tutejszych drukarniach, weszły integralnie do kultury Ziem Zachodnich Rzeczypospolitej.

Organizacja nauki leży w możliwościach administracji państwowej, w zakresie oddziaływania planistycznych decyzji, od nich bowiem zależy zakładanie uczelni, klinik, laboratoriów, bibliotek, muzeów; organizacja sztuki wymyka się tego rodzaju rygorom.

Sztuka potrzebuje swobody, potrzebuje więcej czasu, by zasymilować wrażenia i zagadnienia. Toteż jeszcze po dziś dzień Ziemie Zachodnie nie przedstawiły żadnego wielkiego dzieła artystycznego — ani plastycznego, ani literackiego. Ufundowanie nagród literackich Opola i Nysy — może mieć wpływ szczęśliwy.

W ciągu jednak tych lat ukazały się na naszym rynku wydawniczym dwie powieści z dawnej, aż X wieku sięgającej historii dzisiejszych Ziem Odzyskanych, podówczas rdzennych ziem Piastów słowiańskich. Obie są dziełami wysokiej klasy artystycznej, obie powstały w czasie wojny: Władysława Jana Grabskiego „Saga o Jarlu Broniszu" oraz Antoniego Gołubiewa „Bolesław Chrobry". Również tego samego okresu dotyczy cykl powieściowy Karola Bunscha („Dzikowy skarb", „Ojciec i syn"). Przez jakiś czas po wojnie grano na polskich scenach dramat śląskiego pisarza Kazimierza Gołby o Łompie. Wilhelm Szewczyk napisał sztukę poświęconą ostatniemu biskupowi polskiemu we Wrocławiu — Nankierowi.

Współczesność zaczyna już pasjonować pisarzy polskich. Prócz powieści Eugeniusza Paukszty o repatriantach wileńskich na Mazurach pt. „Trud ziemi nowej" oraz tomiku wierszy Jana Sztaudyngera „Strofy wrocławskie" nic się jeszcze jednak nie utrwaliło w postaci książkowej. Nowele Wojciecha Żukrowskiego, szkice Anny Kowalskiej, wiersze licznych poetów — rozrzucone są po pismach i czekają na zebranie.

Solą artystyczną tej ziemi są grupy pisarzy, osiadłe w trzech ośrodkach. We Wrocławiu — najsilniejsza, dysponująca talentami tej miary co Żukrowski i Kowalska, podjęła nawet trud zorganizowania ogólnopolskiego zjazdu literatów, jesienią 1947 roku. W Jeleniej Górze i Wałbrzychu — nieco słabsza, mniej twórcza w skali ogólno-narodowej, ale mająca za to wiele ambicji odnośnie kształtowania kultury regionalnej, w całym bogactwie jej wachlarza. Najsłabsza była grupa w Szczecinie. Ogromnie ją wzmocnił przyjazd na stałe do tego miasta J. Andrzejewskiego i K. I. Gałczyńskiego. Te trzy ośrodki tworzą oddziały Związku Zawodowego Literatów Polskich. Liczny bardzo jest ośrodek sopocki. Wszystkie cztery zespoły są niezwykle ruchliwe. Ruchliwość ta jednak zaznacza się w tej chwili raczej w organizowaniu imprez intelektualnych dla miejscowego społeczeństwa, aniżeli w utrwaleniu i publikowaniu swego nowego dorobku artystycznego.

Wrocławskie Koło Miłośników Literatury i Języka Polskiego w ciągu dwu lat swej działalności odbyło ponad 100 czwartków literackich, na których frekwencja publiczności była olbrzymia: każdorazowo przekra-

czała setkę uczestników, a w zimie dochodziła nawet do trzech setek, zdecydowanie wyprzedzając popularność podobnych imprez w Krakowie, Łodzi czy Warszawie. Prócz „czwartków" Wrocławski Oddział Związku Zawodowego Literatów zorganizował koło 30 „poniedziałków"— również autorskich. Nie mając dosyć własnych sił prelegenckich i autorskich ośrodek wrocławski sięga nieustannie w głąb kraju, zapraszając pisarzy i naukowców na gościnne wieczory.

W tym samym czasie Szczeciński Klub Literacko-Artystyczny zorganizował 13 odczytów publicznych, 7 wieczorów autorskich, a analogiczny Klub w Sopocie urządził 70 wieczorów „Dobrej Książki" w samym Sopocie, 12 na prowincji objętej granicami Ziem Odzyskanych, 30 — w Gdańsku.

Forma wieczorów autorskich przyjęła się ostatnio na Z. Z. szeroko, co jest w znacznej mierze zasługą spółdzielni wydawniczej „Czytelnik". Pisarze polscy jeżdżą po miastach i miasteczkach, do szkół, instytucji i fabryk, urządzają tam odczyty i czytają fragmenty swych utworów. Do wiosny 1948 — 22 pisarzy polskich odwiedziło w ramach tej akcji 73 miejscowości dając 91 wieczorów autorskich wobec 31.541 słuchaczy Popularność tych imprez jest ogromna, co wskazuje na całkowite opanowanie przez polską kulturę nowych terenów; opanowanie — ale jeszcze nie nasycenie.

Dużo wody upłynie jeszcze zapewne, nim Ziemie Zachodnie zostaną w takim samym stopniu nasycone twórczością artystyczną, jak są nią nasycone ziemie dawne, lub jak one same Z. Z. nasycone są oświatą powszechną i szkolnictwem wyższym. Wtedy dopiero staną się siedliskiem wszystkich muz, kiedy młode pokolenie, dziś tutaj dojrzewające, drogą naturalnej selekcji życiowej wyłoni z siebie nowe zastępy malarzy, pisarzy, poetów, muzyków, którym ziemie te będą krajem lat dziecięcych, tym krajem, który artysta najchętniej, najpełniej uwiecznia w symfonii, na płótnie, w rękopisie.

Zanim to jednak nastąpi — ludność tutejsza szuka i organizuje sama sobie imprezy intelektualne. Jak grzyby po deszczu wyrastają świetlice, jest ich w tej chwili na Z. O. ponad 1.600, domy społeczno-oświatowe (ponad 500). Organizują się orkiestry ludowe (110 zespołów), zespoły teatralne amatorskie (774 zespoły), chóry (502 zespoły). W większych ośrodkach powstają specjalne kluby poświęcone dysputom naukowym i artystycznym — jak choćby klub w Słupsku. Zagęszcza się sieć bibliotek. Łącznie w 3.239 bibliotekach powszechnych, społecznych i szkolnych na Z. O. mamy ponad milion polskich książek. Nie biorąc pod uwagę sieci 44 bibliotek naukowych z ponad 2.5 milionem tomów.

Na koniec wypada w tym retrospektywnym przeglądzie wymienić instytucje, które właściwie powinny być postawione na początku, gdyż one bodaj najbardziej, obok oświaty powszechnej, służą kulturze polskiej: instytucje wydawnicze i prasa.

O periodykach typu naukowego już wspominaliśmy. Należy do nich dorzucić jeszcze trzy pozycje poświęcone kulturze Z. O. Są to wydawany w Poznaniu „Przeglad Zachodni", w Bydgoszczy „Jantar" oraz we Wrocławiu przez Koło Miłośników Literatury i Języka Polskiego na wysokim poziomie stojący kwartalnik „Zeszyty Wrocławskie".

Licznie reprezentowana jest informacyjna prasa codzienna, ta najbardziej istotna i najbardziej popularna więź kulturalna. Wychodzi aż 21 pism codziennych, z czego pięć redakcyj całkowicie pracuje na Ziemiach Odzyskanych, tutaj też mieszczą się redakcje trzech mutacji pism stołecznych i 5 mutacji pism prowincjonalnych. Osiem dzienników — w tych województwach, które podzielone są dawną granicą z 1939 roku — redagowanych jest w Katowicach, Poznaniu i Gdyni.

Między periodykami a dziennikami jest znaczna luka. Praktycznie

jest ona zapełniona przez tygodniki kulturalne środkowej Polski, które rozkupywane są natychmiast po nadejściu przesyłek. Niemniej odczuwa się brak dobrze prowadzonych tygodników regionalnych, poświęconych w pierwszym rzędzie troskom i zagadnieniom kultury miejscowej. „Odra", redagowana w Katowicach i Wrocławiu, jest bardzo interesująca dla czytelnika w głębi kraju, gdyż zajmuje się przede wszystkim zagadnieniami kulturalnymi i narodowościowymi w skali ogólnej Ziem Zachodnich; nie mając jednak miejsca na szczegóły życia małych ośrodków — dla mieszkańca tych właśnie miast mniejszych nie jest zbyt atrakcyjna, a więc jej rola kulturotwórcza na odcinku regionalnym — jest zbyt nikła. Lukę tę z niewielkim skutkiem próbują zapełnić dwa tygodniki: „Wałbrzych" i „Szczecin", wydawane w miastach ich tytułów i im przede wszystkim poświęcone.

Edycji książek podjęły się przede wszystkim, boć nie jedynie, dwie duże firmy wrocławskie, obie posiadające piękną tradycję: Arct i „Książnica-Atlas". Książki tych oficyn oraz wiele dzieł przygotowywanych przez nakładców w głębi kraju noszą już w tej chwili na odwrocie karty tytułowej lakoniczną informację: „druk w Jeleniej Górze"... (lub w Bytomiu, Gliwicach, Opolu, Wrocławiu, Zielonej Górze, Szczecinie itd.). Nadruk ten znajduje się już na książkach naukowych, popularnych, podręcznikach, beletrystycznych, na tomikach wierszy. Tych parę słów zawierających nazwę drukarni jest doniosłym pomnikiem prostego faktu, że Ziemie Zachodnie już teraz występują nie tylko w roli konsumenta polskiej kultury, ale — co ważniejsze — stają się kultury tej współproducentem.

Wielką też i nader pozytywną rolę w dziele odbudowy kultury polskiej na Ziemiach Zachodnich odegrał Polski Związek Zachodni, działający jeszcze przed wyzwoleniem Ziem Odzyskanych w Lublinie. Rola PZZ w tworzeniu elementów nowej więzi społecznej między rozmaitą ludnością Ziem Zachodnich, — co w pierwszym rzędzie realizowane jest za pomocą akcji kulturalnej — posiada niewielką wagę historyczną.

Kończąc ten krótki przegląd faktów i osiągnięć twórczych — przegląd bardzo ogólny i niekompletny — wypada jeszcze raz powtórzyć to, co stwierdziliśmy już nieco wcześniej.

Jeśli ten pełny i żywiołowy ruch naukowy, intelektualny i artystyczny na Ziemiach Zachodnich potrafił w ciągu tak krótkiego okresu czasu pogłębić się i rozwinąć, potrafił dać Polsce dzieła naprawdę naukowe i naprawdę artystyczne (choć ilość tych drugich jest jeszcze skromna) — to właśnie dlatego, że polski twórca z ziemiami tymi zżyty był już od dawien dawna w sposób serdeczny i intymny, że już przed laty nawiązał on żywą łączność z dawną kulturą polską tych ziem, z ich kulturą istotną, pierwiastkową, zasadniczą, prawdziwą.

VI

Kultura narodowa — to specyficzny styl życia codziennego, to język jakim się rozmawia, to zespół obyczajów świeckich i świątecznych, to szkoły i uniwersytety, to twórczość naukowa, plastyczna, muzyczna i literacka.

To — słowem — zasadnicza treść naszego życia, które zawsze toczy się w jakimś systemie kulturalnym.

Dlatego mówiąc o kulturze polskiej na Z. Z., można mówić o wszystkim i o wszystkich. Można opowiadać o tym, jak chłopi uprawiają ziemię i jak pracują robotnicy w fabrykach, jakie godziny pracy obowiązują w biurach i na jakich maszynach maszynistki wystukują urzędowe listy i deklaracje. Można by mówić o działalności społecznych organizacji, o Czerwonym Krzyżu, o „Caritas", o Przyjaciołach Żołnierza, o harcerstwie, o partiach politycznych i grupach ideowych.

Możnaby sięgnąć w głąb historii i wyciągnąć stamtąd świadectwa

i pamiątki pozostałe do dnia dzisiejszego w bibliotekach, na freskach, w ornamentach murów zamkowych i kościelnych — na dowód, że kultura polska nie przyszła tu na nowo, lecz zawsze była i trwała. Należałoby może przejść się po cmentarzach i wynotować nazwiska słowiańskie i polskie z co drugiego bodaj nagrobka.

Bez końca możnaby mówić i pisać o polskiej kulturze, nauce i sztuce, o polskim budownictwie Ziem Zachodnich. Tak jak możnaby czynić to samo odnośnie kultury Mazowsza, Wielkopolski, Krakowskiego. Gdyż między tymi a tamtymi ziemiami nie ma już w tej chwili żadnej różnicy.

Pisząc o osiągnięciach polskich na Ziemiach Zachodnich w trzy lata od chwili, kiedy pierwszy żołnierz polski stanął nad Odrą i Nysą Łużycką, kiedy pierwsze ziarna wrzucił w tutejsze pola polski oracz i pierwszy wagon węgla wywieźli stąd polscy kolejarze — można z samych cyfr i faktów ułożyć parotomową bibliotekę. A można tylko — zarówno osiągnięcia streścić w sposób najdokładniejszy, jak i z całą precyzją ustalić przyszłą kulturę tych Ziem — jednym krótkim zdaniem poety:

...TAK — TO POLSKA WŁAŚNIE!

W ciągu lat trzech znikła różnica dzieląca Ziemie Zachodnie od Polski centralnej. To już nie są Ziemie Odzyskane, może nawet i nie należy nazywać je Ziemiami Zachodnimi! To jest już województwo śląskie, i wrocławskie, i szczecińskie, i olsztyńskie. Województwa Państwa Polskiego tak samo swojskie jak warszawskie, lubelskie czy krakowskie. Ich perspektywy rozwojowe i przyszłościowe uwarunkowane są rozwojem kulturalnym i oświatowym całego kraju, gdyż jego są częścią. Częścią już w tej chwili stopioną z resztą całkowicie, na dziś i na jutro, gdyż —

...tak — to jest Polska
właśnie!

Kazimierz Koźniewski

N O T Y

AKTORZY »OWCZEGO ŹRÓDŁA«*

I

Jeden z literatów piszących o teatrze wypowiedział zdanie, że nasza sztuka aktorska powinna unikać zarówno gry bebechowej jak i rozszczepiania włosa na ośmioro. Wziąłbym szkło powiększające, wziąłbym mikroskop, lecz u żadnego z naszych aktorów nie znalazłbym tego ośmiorzenia. Dostrzegam w nich jednak żywiołowe pragnienie jasnego więc szczegółowego widzenia zjawisk ludzkich. Słusznemu pragnieniu stają na przeszkodzie właśnie takie osobniki jak ów literat, — niepowołany nawoływacz, kusiciel z jałowizn. Występuje on przeciw rozszczepianiu włosa na ośmioro, ale nie interesuje go nawet włos cały. Myśli kłakami.

Postacie arcydzieł dramatu nieraz wydają się niejasne w wielu swych wypowiedziach i działaniach, nieprawdziwe czy nielogiczne w związkach między wypowiedziami i w związkach między działaniami. Ale bo też przeoczenie zawartości jednego tylko zdania lub związku między dwoma odległymi od siebie zdaniami odbija się czasem druzgocąco na pojmowaniu całej postaci.

Bez prac literackich, podejmowanych z namiętnym zaciekawieniem dla zjawisk ludzkich, najprzenikliwsi aktorzy nie spotkają się ze zrozumieniem. Żywiołowe ich pragnienia, nawet najsłuszniejsze i najbardziej wartościowe, skazane będą na bolesne wygasanie.

II

W p. Rysiównie ma polska scena jeden z najpodatniejszych głosów kobiecych. Tym głosem można by Laurencję wypowiedzieć bez reszty, można by wypowiedzieć jej marzenia, jej niepokoje, jej dziewczęce gry, jej szczerości, jej gromkości. Przykro stwierdzić, że Laurencja p. Rysiówny jest uboższa od swego głosu i że aktorka nie ponosi w tym winy. Zubożenie spowodował tłumacz.

Aby czytelnikom i aktorom dać wyobrażenie o niezwykłej postaci, jaką model p. Rysiówny jest w hiszpańskim oryginale, aby w dążeniu do osiągnięcia ludzkiej całości nie przeoczyć żadnego istotnego zdania ani żadnego istotnego związku między zdaniami odległymi, i aby znalezione rysy psychiki złączyć z sobą w całość jednorodną, posłużę się — jak to nieraz robiłem — opowiadaniem zastępującym psychologiczną analizę i psychologiczną odbudowę:

Wiejska dziewczyna Laurencja marzy o miłości, ale nie wierzy mężczyznom. Miłość to dla niej pragnienie piękna i rozkoszowania się pięknem. Interesuje się Laurencją rycerz krzyżowy, komandor zakonu rycerskiego Calatrawy, don Fernan Gomez de Guzman, pan otrzymanej od króla posiadłości Owcze Źródło, składającej się z miasteczka i okolicznych wsi. Rycerz Gomez ma dane po temu żeby go Laurencja kochała. Piękno zewnętrzne bije od niego, bije choćby z jego wspaniałego stroju. I dworskość jego też Laurencję pociąga, bo taka już jest, że lubi uprzejmość i woli dworskie przesady w uprzejmości niż nieuprzejmą złość. Cóż, kiedy rycerzowi nie umie wierzyć bardziej niż innym mężczyznom, bo przecie wie, że mężczyźni-szelmy „nocują przyjemnie, a dnieją obraźliwie". Rycerz Gomez nie jest wyjątkiem, skoro tyle jest w miasteczku i po wsiach dziewcząt, które mu zaufały, a teraz chodzą zbeszczeszczone.

Ten charakter Laurencji, ten jej stosunek do miłości i do interesującego się nią rycerza sprawia, że uważa ona miłość za sprawę trudną i ciężką, a niewiarę w jej istnienie za dar niebios, godny wdzięczności.

Gdybyż to mogła mieć pewność, że pięknemu rycerzowi może się spodobać! ale tak

* Początek polemiki między Tadeuszem Peiperem a L. H. Morstinem na temat przekładu „Owczego źródła" patrz „Dziennik Literacki" Nr 29 r. b.

naprawdę! Lecz ona, wiejska dziewczyna, która wyrosła z twardego życia... Gdyby jednak?... Może... Może by się z nią ożenił? Piękna dziewczyna pogrąża się w śmiałą myśl. Ukrywa ją, zawzięcie ją ukrywa nawet przed przyjaciółką, ukrywa przed nią w ogóle zaciekawienie, jakie ma dla rycerza, i nie bez obłudnej ironii mówi o sobie, że warunki jej życia wniosły w nią suchość starego przeżytego dębu.

Gdy przybywa sługa Gomeza i w relacji o zdobyciu zaatakowanego miasta opisuje strój swego pana, słucha tego Laurencja z podziwem i niepokojem. Gdy przybywa sam Gomez — błyszczący, wspaniały — jej podziw i niepokój łączą się z zażenowaniem. Gdy Gomez rzuca oskarżenie, że niedawno doznał od niej wzgardy, Laurencja wcale nie bierze tego do siebie, odnosi to do przyjaciółki, bo jakżeby ona mogła dać odczuć wzgardę temu wspaniałemu mężczyźnie.

Nagle — krach!

Wszystko, co czuła, zapada się. Zapada się, zdruzgotane bestialstwem Gomeza. Widzi on w niej dzikie, choć piękne zwierzę. Jako posiadacz miasteczka i okolicznych wsi sądzi, że do praw jego należy posiadanie każdej kobiety żyjącej w jego posiadłości. Bez żadnych starań o pozyskanie sobie Laurencji, bez jednej wypowiedzi poświęconej uczuciom, bez jednego słowa dworskiego, każe jej przestąpić próg swojego domu, a wobec jej oporu nonszalancko skłania swoje sługi do wciągnięcia jej przemocą. Nie tak wyobrażała sobie Laurencja starania wspaniałych rycerzy o względy dziewcząt. Nie tak wyobrażała sobie nawet ich uwodzicielskie oszustwa. Zapadły się jej uczucia dla Gomeza. Wystąpiły nowe: wstręt i nienawiść.

Dokonała się w niej jeszcze jedna przemiana. Kocha ją wiejski młodzian Frondoso, zuch który stąpa śmiało i z trzaskiem. Dotąd nie kochała go. Marzyła przecie o innej miłości, inaczej niż on patrzyła na dworskość i piękno, no i nie widziała żadnego powodu, żeby mieć do niego więcej zaufania niż do innych mężczyzn. Że go nie kocha, nie mówiła mu tego wyraźnie, mówiła tylko, że go nie kocha... bardzo. Postępowała tak zapewne trochę z dobroci, a trochę z wyrachowania, aby na wszelki wypadek mieć go w rezerwie. Teraz jednak, gdy doszła do przekonania, że w osobie Gomeza poznała, co to są rycerze i rycerska miłość, wiejski chłopak Frondoso nabiera w jej oczach wartości. Nad rzeką, gdzie prała bieliznę, śmiało do niej podchodził, ale to nie to, co robił Gomez. Frondoso zestawia ich oboje z parą gołębi złączonych dzióbkami i choć mówi to żartobliwie i z uśmiechem, jest w tym uczucie, jest w tym urok. Pragnęłaby zmienić swój stosunek do niego, ale poczucie winy i spryt dziewczęcy dyktują jej taktykę stopniowania. Więc trzyma się tak, jak gdyby nie przeszła smutnego doświadczenia z Gomezem, w dalszym ciągu udaje taką samą jaką była, a tylko porusza sprawę „obiektywną": oto wszyscy mówią, że oboje mają się ku sobie i oczekują dnia w którym... No, ale jej to nie płoszy snu, nie zasmuca jej wcale, gdzieżby? gdzieżby? nic sobie z tego nie robi. To powoływanie się na ludzkie gadania ma oczywiście skłonić młodziana do wyciągnięcia wniosków... małżeńskich.

Nie wiele czasu mija, a zapoczątkowana przemiana rozwija się dalej. Gomez, znalazłszy ją w polu samą, daje się poznać jako wyuzdaniec nie cofający się przed użyciem gwałtu, byle tylko skłonić ją do uległości. Z trudnej opresji wyzwala ją Frondoso i daje przy tym wspaniały dowód miłości i wspaniały dowód męstwa. Pierzchają poprzednie nieufności Laurencji. Dochodzi do przekonania, że uczuciom tego człowieka może wierzyć. Pokochuje go pełną miłością.

Zachodzi w niej jeszcze głębsza przemiana. Wzburzona okrucieństwami, jakich Gomez dopuścił się na niej i na innych lumiasteczka, opętana uczuciami krzywdy podejmuje Laurencja myśl ukarania tyrana. Myśli o zemście. Ale nie o takiej, jakiej dotąd dokonywały kobiety, nie o zemście jednostkowej. Inna myśl jej przyświeca. Chce, żeby przeciwko tyranowi wystąpiła cała gromada chłopska i żeby wystąpiła zbrojnie. Skierowuje do mężczyzn gorące przemówienie, w którym zarzuca im, że, jak źli pasterze, patrzyli bezczynnie, jak ją, owcę, porywał wilk, okrutny Gomez. Oskarża ich o zniewieściałość, piętnuje ich samych nazwą owiec i straszy wilczym pożarciem. Jej płopłomienne przemówienie wpływa decydująco na obrady mężczyzn i powoduje ich natychmiastowe przejście do akcji zbrojnej.

Teraz nadchodzi najbardziej znamienny moment jej drogi przemian. Oddzielnie zwołuje kobiety i organizuje ich walkę. W kategoriach swojej epoki ujmuje samodzielną akcję kobiet jako akcję Amazonek. Swymi amazonkami daje pierwszą zapowiedź przyszłych feministek. Kiedy mówi, że ona i jej towarzyszki przerażą świat, przypomina się myśl, którą trzysta lat później reprezentować będzie jedna z kobiet Żeromskiego mówiąc: „Ja jestem owa straszna nadchodząca kobieta".

Oto droga, jaką przeszła Laurencja. Od

umiłowania piękna rycerskiego do walki z rycerskiem okrucieństwem.

Ta droga przemian określa dziewczynę Owczego Źródła jako postać dramatyczną, ona to nadaje jej oryginalność, która pozostała bezprzykładna nie tylko w epoce powstawania dzieła, ale i długo potem. A Lope de Vega, który takiej kobiecie dał byt literacki, dał tym dowód, że genialnie patrzał, genialnie tworzył i że miał śmiałość geniusza.

Nie wiele z tego pozostało w przekładzie Morstina. Szczególnie w tych częściach, które mają odpowiadać pierwszym fazom rozwoju postaci. Tu czyni z niej przekład pustą dziewczynę, jednostajnie radującą się niewiadomo czym. Za bardzo jest Hiszpanką z niehiszpańskich lokali nocnych, tych gdzie bezrobotny chórzysta operowy, przebrany w kostium toreadora, spocony piwem i nocą, produkował falsyfikaty marzeń, śpiewając: *„Spanisches Tango, spanischer Wein! Was könnt' auf Erd' noch spanischer sein!"* Ale gdzież w takiej Hiszpanii miejsce na borykające się z życiem dziewczęta hiszpańskie, dzieci ludu?

Nic dziwnego, że od czasu do czasu Laurencja Morstina wypowiada zdania, które charakterowo zaprzeczają sobie niedopuszczalnie i których żadna aktorka nie mogła by zespolić w całość jednorodną.

Gdy Laurencja Morstina stwierdza: *„serce moje jest niczyje"*, przypomina raczej ową bohaterkę szlagierowej piosenki, która na pytanie *„gdzie twoje serce?"*, odpowiada: *„jestem wszystkich i niczyja"*. — To zaś — czy coś podobnego — daleko odbiega od Laurencji Vegi, która postanowiwszy już poślubić Frondosa, jeszcze gra obojętną i oświadcza chłopcu że nie kocha go... bardzo. Gdy Laurencja Morstina mówi że *„piękna i czysta niewiasta jest w oczach ludzi nieuprzejmych zwykłą..."*, cóż to znaczy? jak to się łączy z całością jej charakteru? U Vegi nie ma nic, co by usprawiedliwiało tak swawolny przekład. Laurencja Vegi wymienia trzy rodzaje kobiet: piękną i czystą, którą złośliwcy nazywają źle zbudowaną; uczciwą, którą złośliwcy nazywają głupią; i kobietę dbałą o swą cześć, o której niedopowiada swej myśli do końca, ale bynajmniej nie dla uniknięcia nieprzyzwoitości. Morstin przekręca charakter i trywializuje go.

A gdy Laurencja przechodzi do buntu, jest moment, w którym niestety czyni ją śmieszną, bo czyż nie jest taką mówięc, że czuje w piersiach męstwo Cyda? Nic takiego nie ma w oryginale. Vega doskonale przestrzega konsekwencji psychologicznej. Po oskarżeniach, jakimi Laurencja zasypała mężczyzn, po oskarżeniach, które są najmocniejszą partią dramatu, ta buntownica nie chce męskiego przewodnictwa nad kobietami i woła: „n i e t r z e b a n a m C y d ó w !" Jest to jedna z myśli, którą mógł wypowiedzieć tylko ktoś formatu Lopego Vegi. Prawda ludzka i odwaga prawdy zmieniły się u Morstina w kicz.

III

Wiejski młodzian Frondoso otrzymał od pisarza hiszpańskiego świetną plastykę: zuch, jeden z tych, których słychać gdy kroczą, taki który wybija się ponad innych śmiałością i rozmachem; w chwili gdy go poznajemy, kocha Laurencję b e z w z a j e m n o ś c i, zerka na nią zachwycony, ale i nie bez spojrzeń badawczych, tak że gdy chłopcy i dziewczęta rozprawiają o miłości, on milczy i obserwuje kochaną dziewczynę, pragnąc z jej wypowiedzi wywnioskować, kogo ona kochać będzie, jego czy — rycerza. U Morstina nic mu z tej plastyki nie pozostało; jest chłopcem „jak świeca" i dlatego wszystkie dziewczęta „lecą na niego", a dla Laurencji jest kochankiem i popełnia „nieostrożności", jakby stosunki między nim a nią posunęły się już tak daleko, że wymagałyby przestrzegania sekretu. Wzajemne odnoszenie się chłopca i dziewczyny zniekształca przekład i zaprawia tanim pieprzem, przekręcając tym jeszcze bardziej oba charaktery.

Nie można więc dziwić się p. Sheybalowi, że jego Frondoso nie ma modelunku. Ale gdy zdarzy się, że przekład nie tłamsi oryginału, jak np. w momencie wyznawania, że to on zabił Komandora, daje p. Sheybal miarę głębi swych tonów. Trzeba z uwagą śledzić rozwój tego aktora — skupionego, poważnie pojmujące sztukę aktorską, doceniającego artystyczną dyscyplinę, dążącego do wydobywania odcieni i wspieranego w swych dążeniach ekspresyjnym głosem.

IV

Dialog Frondosa i Laurencji o dworskości był na naszej scenie gadaniną, splotem dwóch roześmianych tyrad, niezwiązanych wcale z resztą utworu, a przecież ma on ściśle wyznaczoną funkcję dramatową: wyraża wzajemny stosunek obojga dialogujących.

Frondoso kocha Laurencję, Laurencja jeszcze go nie kocha. Niepokojona jest myślami o Komandorze pociągającym ją właśnie dworskością, przeciwko której Frondoso występuje. Ten rycerz, ten dworak tkwi

w tym dialogu o dworskości, choć nie jest wymieniony ani jednym słowem. Gdy Frondoso wita Laurencję i jej przyjaciółkę słowem „damy", już w tym czai się przytyk do życzliwości, jaką kochana przez niego dziewczyna ma dla obyczajów dworskich i dla dworaków. Gdy potem wylicza fałsze dworskości, bada jak na to dziewczyna reaguje, a zarazem ostrzega ją przed niebezpieczeństwem, jakim te fałsze grożą jej samej. Celem jego jest odwieść ją od myśli, które by mogły zbliżyć ją do Komandora. Nie wypowiada tego ani jednym słowem bezpośrednim, wszystko mówi poprzez swój atak na dworskość.

Tak też rozumie to Laurencja. I dlatego w swej replice snuje popod słowami odpowiedź na przytyki i ostrzeżenia Frondosa. Utrzymując swą odpowiedź w ramach „obiektywnej" sprawy nieuprzejmości, porusza jednak pod koniec temat kobiet i wymienia te ich rodzaje, które jednoczą się w niej samej. Zdanie o trzecim rodzaju („kobieta zatroskana o swą cześć") pozostawia niedokończonym, gniewnie tym zaznaczając, że uważa za ujmę dla siebie bronienie się przed zarzutem ,jakoby mogła pozwolić Komandorowi przynieść uszczerbek jej czci.

Takimi to subtelnościami wyraża ten dialog wzajemny stosunek obojga dialogujących. Jest to analogia do tego, co zachodzi między Frondosą a Laurencją w czasie rozprawiania o miłości. Te dwie partie utworu spełniają analogiczną funkcję dramatową. I spełniają ją wybornie.

Jakaż okazja dla wyżycia się aktora i aktorki, zasobnych w odcienie mowy, twarzy, ruchu. Myślę, że tę okazję pochwyciliby skwapliwie p. Rysiówna i p. Sheybal, gdyby im jej nie odebrał literacki kierownik ich teatru, który w tym wypadku jest także tłumaczem ich ról.

V

Laurencję uzupełnia jej przyjaciółka Paschala. Uzupełnia ją tym, że jest inna. Dialog Komandora z jednym ze sług nasuwa wniosek, że ona inaczej odnosi się do wymagań rycerza-pana, że posunęła się daleko w obietnicach i czeka tylko na wyjście za mąż, aby je spełnić, albo też już je spełniła, a dalsze ich spełnianie przerywa na czas szukania męża. Analogiczne wnioski nasuwa dialog Paschali z Laurencją, gdy nie bez przyczyny dziewczyna, która obiecała, wypowiada przekonanie, że jej przyjaciółka padnie ofiarą Komandora; i nie bez przyczyny zapytuje nawet, gdzie z nią jego słudzy rozmawiali, bo chyba z własnego doświadczenia wie, że od miejsca takich rozmów zależy skuteczność dziewczęcego oporu.

Tych danych nie uwzględnia wcale ani reżyser ani aktorka. W przedstawieniu Dąbrowskiego Paschala jest duplikatem Laurencji. Powstaje artystyczny dziwoląg: zduplikowana para ma tę samą formę sceniczną, a wypowiedzi różne. Podobnie jak Laurencja, odarta jest Paschala ze złożeń. I nie byłaby nawet Hiszpanką słoneczną, gdyby nie p. Śląska. Jej głowa wnosi na scenę plamę barwną, która gra na równi z dekoracjami i kostiumami, na równi z blaskiem zbroi.

VI

Wsiowy mędrzec Mengo ucierpiał w przekładzie najbardziej. Z jego niezwykłości nie pozostało nic.

Mengo to wsiowy oryginał. Gdy twierdzi, że skrzypce mają większą wartość niż spichlerz, przemawia przez niego artysta, a gdy dodaje, że mają one większą wartość, bo wyżej ceni je on, okazuje się trochę sceptykiem, a trochę indywidualistą. Coś z krytycyzmu sceptyka i szczerości indywidualisty jest w nim także, gdy twierdzi, że miłość między mężczyzną a kobietą jest egoistycznym kochaniem samego siebie. Każde wystąpienie Menga cechuje odrębność, a wisielczy humor gra w niej uśmiechniętą twarzą i uśmiechniętym gestem. W czasie godów ślubnych Laurencji i Frondosa, wśród piosenek, jakimi uczestnicy składają życzenia nowożeńcom, piosenka skomponowana przez Menga wyróżnia się pesymistycznym dowcipem, który przebłyskuje szczególnie z zakończenia: *„Gdy zmęczą się tym, że żyją, niech idą na śmierć... we dwoje"*. Oto jego weselne życzenia. Brzmi w nich niewiara w życiowe zadowolenie i w miłosną ofiarność.

Ale ten to sceptyk, ten to indywidualista, ten to filozof uśmiechniętego pesymizmu, okazuje się wrażliwym i czułym na krzywdę. Opuszczoną kobietę, zagrożoną porwaniem przez sługi Komandora, on właśnie otacza opieką i gotów bronić jej każdą bronią, jaką dostrzeże: *„istnieją kamienie!"* I on, nie kto inny, przemawia w jej obronie nawet przed Komandorem, on też pierwszy przepowiada mu karę. Wprawdzie po przejściu przez krwawą chłostę, opozycja jego blednie, wprawdzie na tajnej naradzie chłopów staje się reprezentantem lękliwych, ale gdy uchwalono akcję buntowniczą, bierze w niej udział solidarnie.

Wrażliwość na krzywdę i gotowość do słownej i czynnej obrony pokrzywdzonych

współistnieje w Mendze obok myślenia indywidualistycznego i sceptycznego. Ta złożoność jest jednym z wielkich odkryć psychologii Lopego Vegi. Długo czekała literatura, bardzo długo, aż po Vedze znaleźli się pisarze, którzy to zjawisko uczynili przedmiotem analiz.

I właśnie Mengo daje gromadnej akcji buntowniczej najbardziej zasadnicze uogólnienia ideowe. Daje je dowcipem. Równie cienkim jak głębokim. W hiszpańskie przymiotniki wprowadza końcówki o brzmieniach pozornie zabawnych, w rzeczywistości jednak kryjących w sobie idee zasadnicze, wskazania które sięgają najdalej.

Niech nas nie myli fakt, że Mengo wywodzi się z komicznego wesołka obowiązująco wprowadzanego w każdy dramat hiszpański i posiadającego w hiszpańskiej dramaturgii szufladkową etykietę: *gracioso*. Jest wielkością Lopego Vegi, że w stałą i starą szufladkę wniósł treść nową i dla idei utworu fundamentalną. Może nawet on sam, skrępowany epoką w której żył, chciał na scenie mieć Menga jako szablonowego *graciosa*, aby jego komizmem móc zasłonić swoją śmiałość myśli, ale nawet gdyby tak było, byłby to przykład uzależnień teatralnych, które nas już nie obowiązują.

Nie można nadziwić się p. Opalińskiemu, że umie widownię rozweselać nudną postacią, w jaką Menga zamienił Morstin.

VII

Reprezentami wsi są pp. Białkowski i Szymański. Pierwszemu nie daje pola do popisu Vega, drugiemu Morstin.

Występuje p. Szymański jako sędzia, a ma rolę wójta, co już samo przez się uniemożliwia stworzenie postaci konsekwentnej. A uroczysta mowa, którą wygłasza na powitanie pana, odarta jest w przekładzie ze swych świetnych znamion. Goniec, który wyprzedził zwycięskiego rycerza, pouczał chłopów, że najlepszym wawrzynem dla tryumfatora jest ofiarowanie mu dobrych uczuć, więc wójt wskazuje na dobre uczucia, widoczne w... ładownych wozach. Wozy wójta mówią nie tylko to, że mieszczą jedyne „dobre uczucia", jakie chłopi mają dla Komandora, ale że nawet on sam innych nie pragnie. Mówią także, że one to są odwrotną stroną medalu zwycięstw, drugą stroną medalu tryumfatorów, stroną pomijaną w panegirykach. Mówią wreszcie sposobem, w jaki wójt podaje ich zawartość: są tu dwa kosze gładziutkich, glinianych naczyń, jest tu całe stadko gęsi podnoszących głowy, aby opiewać wojenną d z i e l n o ś ć pana, jest dziesięć świń solonych (d z i e l n e sztuki!), których skóra przewyższa jakością najświetniejsze rękawice itd. Oględnie i zręcznie wprowadza wójt mowę wozów w swe kpiące przemówienie. Aby jego złośliwość wydała się mimowolną, czyni ze siebie lichego mówcę, wikłającego się w słowach. Z takiej mowy aktor i reżyser mogliby wydobyć świetne walory sceniczne. Mogliby...

VIII

Parę królewską o twarzach scenicznie pięknych wnoszą w spektakl p. Stebnicka i p. Jacewicz, ale pięknym twarzom nie dają właściwego życia. Błędne są ich intencje artystyczne. Chodzi im wyłącznie o zaznaczenie królewskiego świata wyniosłej sztuczności i o przeciwstawienie go światu żywiołowości, którym ma być świat chłopów. Jest to ujęcie globalne i można by je przyjąć, ale z zastrzeżeniem, że ogólne zarysy będą wypełnione rysami wyszczególniającymi. W naszych jednak teatrach ciągle jeszcze nie ma zrozumienia dla konieczności takich wyszczególnień.

Z tych samych powodów, z jakich tłumacz, reżyser i aktorzy nie czuli potrzeby uwzględniania złożoności w postaciach chłopskich, z tych samych powodów nie uwzględnili ich w podawaniu pary królewskiej. Nasi aktorzy i nasze aktorki, gdy mają grać króla czy królową, myślą przede wszystkim o tym, że to jest król i królowa, a nie j a k i król i j a k a królowa, nie troszczą się o szukanie odrębności charakterowych, różniących tego króla czy tę królową od innych podobnych.

Nie wolno przemilczeć, że p. Stebnicka i p. Jacewicz mogą usprawiedliwiająco powołać się na brak podniet w przekładzie. I na niefortunne wskazania sceniczne tłumacza, wypowiedziane m. in. w *Listach z Teatru*. Rozsłowił się w nich: „*...dwór królowej Izabeli Katolickiej i króla Ferdynanda to jest wymarzony przez poetę Olimp półbogów, Olimp nadludzkiej prawie mądrości i sprawiedliwości. I choć wiemy, że ci monarchowie byli ludźmi wcale nie idealnie dobrymi, ludźmi, których sumienia obciąża historia niejedną zbrodnią, przecież musimy ich widzieć na scenie takimi, jak chce poeta, bo on tak a nie inaczej swój poemat skomponował. „La justicia divina" przemawia z wysokości tronu! Jedna z bohaterek sztuki, Laurencja, gdy ich wreszcie zobaczyła woła do swego kochanka (sic! T. P.) z zachwytem: „Niech ich strzeże święty Antoni, bo są piękni". Zapomina, że z ich rozkazu sędzia inkwizytor wziął na tortury w jej rodzinnym mieście przeszło trzysta*

osób, w tej liczbie jej własnego ojca..." — Słowa, słowa, słowa, słowa. Król i królowa są u wielkiego Lopego Vegi zgoła innymi ludźmi.

Żaden Olimp. Ośrodek polityki. Polityki podporządkowanej naczelnym interesom. Choćby to: jaki przebieg nadaje król sprawie chłopskiego buntu! Ze stanowiska zasadniczego potępia buntowników i ich zabójstwo, w praktyce uwalnia ich od winy z powodu... braku dowodów. Nie ma w tym nic z idealnej dobroci i nic ze sprawiedliwości boskiej, są tylko motywy polityczne, których ukazaniu służy d z i e j o w a akcja dramatu.

Wykrzyk zaś Laurencji *„piękni są!"* wcale nie jest wyrazem uczuć Lopego Vegi dla „półbogów", a tylko prawdą o naiwnych odczuwaniach ludzi prostych i komplementem dla władców, rzuconym jak ochłap. Tak, niczem więcej. I niesłusznie widzi Morstin w tym wykrzyku sprzeczność psychologiczną, niesłusznie twierdzi, że Laurencja zapomina, iż zachwyca się osobnikami, z których rozkazu inkwizytor torturował jej ojca i jej ziomków, bo ta sprzeczność istnieje tylko w przedstawieniu krakowskim i nie bez winy Morstina. U Lopego Vegi król bynajmniej nie wysyła przeciw chłopom Inkwizycji (wykraczało by to poza jej kompetencje), a tylko wysyła sędziego śledczego dla z b a d a n i a zajść i — jak widać z przebiegu sprawy — z góry pragnie uwolnienia chłopów bo odpowiada to jego myśli państwowej. W tym właśnie przejawia się król-polityk, że tortury dokonują się, ale nie z jego rozkazu.

Również Izabella nie jest w ujęciu Vegi ani głosem boskiej sprawiedliwości ani półboginią marzoną przez poetę, ani nawet kobietą idealnie dobrą. Gdy posłaniec zagarniętego, okrwawionego, cierpiącego miasta prosi o pomoc, ona orzeka, że w tym wypadku niesienie pomocy nie jest sprawą pilną.

Dalekim od apoteozy jest Lope de Vega także w ujęciu wzajemnego stosunku między królewskimi małżonkami. Od pierwszej chwili zauważamy, że na tronie Kastylii, choć z dziedzictwa należy on do królowej, czynnikiem decydującym jest król. Uderza już choćby to, że Izabela, zwracając się do Ferdynanda tytułuje go „Wasza Królewska Mości" lub „Panie", on zaś nie odwzajemnia się jej ani razu. Zabierając głos, czyni to Izabela jak czynią w towarzystwie ludzie niepewni siebie, którzy lękają się, że ich wypowiedź nie stanie się przedmiotem konwersacji, a którzy jednak uważają sobie za punkt honoru coś przecie powiedzieć. I rzeczywiście Ferdynand ani razu nie podejmuje poważnie myśli wypowiadanych przez nią, za to w kłopotliwych chwilach prawi jej puste komplementy.

Takimi pragnął Lope de Vega widzieć na scenie jego króla i królową. Pragnął, nie mógł. My możemy.

Nie należy dać się uwodzić s k r ó t o m i u o g ó l n i e n i o m historyków literatury. Metodologicznie nieodłączne od wszelkiej historii, mogą one zawodzić w odniesieniu do jakichś faktów jednostkowych, jedynych, unikatowych. Dla dziesięciu faktów mogą być prawdziwe, dla jedenastego nie. Na każde dzieło trzeba patrzeć niezależnie od o g ó l n e g o obrazu, jaki o autorze czy jego epoce podaje nam historyk literatury czy monograf. Nawet jeśli wyniki swych badań podają najuczciwiej. A cóż dopiero jeśli — jak w tym wypadku — może istnieć podejrzenie, że je przeinaczają.

IX

Osobnikom zakonu rycerskiego przypiął Morstin słowa, które — poprzez skojarzenia — mają w wyobraźni naszych widzów wywoływać krzyżaków i gestapowców. W jego przekonaniu „zaktualizował" tym utwór.

Zdaje się, że aktorzy wyczuli lekkomyślność tej intencji i opierają się jej. Każdy na swój sposób.

Łomnicki gra źle — i ma rację.

Leszczyński zdaje się szeptać do publiczności: chcą bzdury, dam bzdurę. Ale nie byłby sobą, gdyby jego niechęć do roli nie przyniosła a u t o m a t y c z n i e jakichś świetności. Są chwile, w których swą niechęć posuwa tak daleko, że wypowiada wiersze z niesłyszaną dotąd niedbałością, i wtedy właśnie osiąga świetność, ba, niezwykłość, którą można by zamienić w odkrycie.

Był czas, że na naszych scenach mowa nawet nie wierszowana nie miała słów o małym ciężarze. „Podaj mi krzesło" wypowiadano z takim samym naciskiem ważności, jak „podaj mi sztylet"; lub lokajowi, anonsującemu gościa, rzucano słowa „wprowadź", jak gdyby tym słowem kończono wyrok śmierci: „idź i giń!" Teraz już nie; dla drobiazgów codzienności znaleziono tony i twarze. W mowie jednak wierszowanej ciągle jeszcze każde słowo ma ciężar kamienia. Kamienie zmieniają rozmiary, kształty, barwy, blaski, uderzenia — mało zmieniają ciężar. Nie trzeba chyba zaznaczać, że w grze aktorskiej pomniejszenie ciężaru jakiegoś zespołu słownego nie musi pomniejszać jego znaczenia.

Leszczyński niedbale rzucanymi zdaniami zmienia właśnie ciężar słów. W tych momentach — jaka lekkość! jaka swoboda! jak szczęśliwy spadek gamy! jakie piękno brzmienia! jaka prawda artystyczna! jaka zgodność z postacią Gomeza! Szkoda, że nasza opinia teatralna nie dostrzegła tych wartości i że sam Leszczyński do pewnego stopnia poddał się jej, skoro na pierwszych przedstawieniach częściej sobie na niedbałości pozwalał, niż na przedstawieniach późniejszych. Trzeba sobie uświadomić, że te momenty dokonują wyłomu w polskiej mowie aktorskiej. To, że cudownie niedbałe zespoły wierszowe pochodzą tu z niedbałego stosunku do samej roli, wskazuje tylko na źródło ich prawdy. Nieraz wielkie odkrycia artystyczne (i naukowe) pochodzą z przypadku, lecz żeby przypadek mógł zrodzić trwałą zdobycz, na to potrzebna jest artystyczna czujność. Młodzi aktorzy powinni w każdy wieczór czyhać na niedbałości Leszczyńskiego, brać je w swój słuch i utrwalać w pamięci, a potem ulepszać je i rozwijać dalej.

Słudzy Komandora, pp. Paluszkiewicz i Fulde nie byli na pierwszych przedstawieniach sługami banalnymi. Wyczuli — czyżbym się mylił? — że w tych sługach działają wewnętrzne sprzeciwy wobec okrutnych rozkazów pana. Wyczuli ,ale nie są pewni swych wyczuć i na każdym przedstawieniu ważne momenty podają inaczej.

Wewnętrznym sprzeciwom sług nie dał autor możności przejawić się bezpośrednio, przejawiają się nieznacznie. Gdy dziewczęta, wzywane w dom rozpustniczego Komandora, opierają się stanowczo, Flores jest tym, który przerywa zmuszanie ich do wejścia: *„dosyć; one są przesadne“*. Postępuje tak, choć dobrze rozumie, że niepowodzenie, które częściowo on sam spowodował, odbije się na nim: *„nie będzie można wycierpieć tego, co usłyszymy, gdy wrócimy bez nich“*. To, co przy tym myśli sobie w duchu, wypowiada Ortunio: *„kto służy, zobowiązuje się cierpieć; jeśli pragnie trochę wznieść się w górę, albo musi być cierpliwy, albo niech się pożegna z posadą“*.

Gdy zbuntowani chłopi napadają na dom pana, odzywa się Flores trzy razy słowami niezwykłymi: *„Miłość ich poruszyła“*... *„Kiedy znieważone ludy wpadają w gniew, nigdy nie dzieje się to bez krwi lub bez zemsty“*... *„Dziwię się, panie, twojej wściekłości“*... Więc Flores łączy przyczynę i formę buntu Owczego Źródła ze znanymi zjawiskami analogicznymi, przy czym dziwi się wściekłości swego pana, a nie wściekłości chłopów, po których stronie — prócz pragnienia zemsty — widzi także miłość. Toteż, schwytany przez buntowników, usprawiedliwia się słusznie: „nie ja jestem winien“. Stosunek sług do panów to jedno z najbardziej rewelacyjnych zjawisk, jakie utrwalili z przeszłości jej arcymistrze słowa.

Niestety Morstin nie dał sługom wypowiedzi znamiennych. Ważniejszemu z nich, Floresowi, ani razu nie włożył w usta owych niezwykłych słów, przez jakie ten człowiek przecedza okruchy i drzazgi swej duszy. Fulde — czyżbym się mylił? — wyczuł zjawisko mimo zniekształceń tekstu. Może moje oczy, przyzywane mnóstwem zmiennych szczegółów, w jakie obfituje w *„Owczym Źródle“* scena, nie przyłapały tego aktora we wszystkich chwilach godnych uwagi, dostrzegły jednak kilka zastanawiających uzewnętrznień: w twarzy czasem niegodzenie się z tym, co dokoła robi pan? przeżywanie cierpień chłopskich nieme lecz gniewne i przeżywanie własnej niemocy bolesne lecz hamowane? a gdy potakuje panu, czyż nie ma w tym nieszczerego odrabiania obowiązku ciążącego na chlebobiorcy? a chwile wpółczucia okazywanego krzywdzonym kobietom? i przecie w czasie napadu na dom Komandora opuszcza teren walk nie tyle jako tchórz, lecz jak ktoś kto nie chce walczyć przeciw zbuntowanej krzywdzie?

Wydobywanie na jaw wewnętrznej złożoności człowieka wyróżnia Fuldego i Paluszkiewicza spośród wszystkich innych aktorów *Owczego Źródła*.

X

Kostiumy aktorów nie służą Lopemu Vedze, nie służą jego ludziom. Kosztowały wiele, a spełniają funkcję przepłaconych ponad zasługi, czasem działają jak wyzyskiwacze zamiejscowych towarów, jak handlarze z czarnego rynku na rynku z barw.

Co najmniej w połowie są błędne. Dźwignie błędu leżą jednak poza Andrzejem Pronaszką, bo w przekładzie, którego tekstem odżywiała się jego wyobraźnia. Z tego tekstu wznosili się w przestrzeń ludzie nieprawdziwi, a takich nie można odziać w artystyczną prawdę.

Pomijam, że widzimy ciągle w tych samych kostiumach Laurencję, Frondosa, Komandora, ciągle lub niemal ciągle, niezależnie od głębokich zmian, przez jakie przechodzą; sprawę takich „szczególików kostiumowych“ poruszyłem gdzie indziej, nie wracam do niej.

Tym razem skieruję uwagę na co innego. Odświętność kostiumów. Odświętnie ubrana

jest Laurencja nawet wtedy, gdy wyraźnie mówi, że przybywa znad rzeki, gdzie prała bieliznę, odświętnie ubrany jest także Frondoso, choć spotkanie z dziewczyną jest dla niego tylko przerwą w robotach powszednego dnia. Widzowie muszą pomyśleć, że autor, który tak widzi chłopów codzienności, a potem każe im wszcząć bunt przeciw panu i zakończyć bunt zabójstwem pana, to naiwniak.

A przecie Lope de Vega chciał zagarnąć w swój dramat jak najwięcej prawdy o życiu, chciał dać chłopów tak prawdziwych jak tylko prawdziwymi wolno ich było ukazać w jego epoce. Że Laurencja przeprowadza z Frondoso rozmowę o miłości, odszedłszy od potoku, nad którym prała bieliznę; że — obrazując swe upodobania — nie wywodzi ich ze sielankowości ani poetyczności, lecz nasyca tematem chłopskiego jadła; że jej ojciec, wójt, gdy wita pana uroczystym przemówieniem, nie waha się mówić o gęsiach i świniach; i że dzieje się to w dramacie, w którym występuje król i królowa, i to ze swoimi sprawami, ze sprawami wielkiej wagi państwowej, w tym jest śmiałość i — niech mi pomogą historycy literatury — może nowość.

Świński stosunek Komandora do chłopek w powiązaniu z innymi tematami utworu również nie jest w pół-królewskim dramacie błahym tematem, jak to u nas wielu sądzi, tym bardziej, że autor posłużył się nim jako przykładem całości krzywd chłopskich. W ówczesnej epoce, a chyba i długo później, nie znajdziemy może — tu niech mi znowu pomogą historycy literatury — takiego społecznego „pars pro toto", tak śmiałego w analizie, w wiązaniach i konsekwencjach.

Prawda o bytowaniu najniższych warstw społeczeństwa nie istnieje u Lopego Vegi sama dla siebie, lecz zajmuje miejsce, które nadaje jej nowy sens ideowy. W *Owczym Źródle* czyni wrażenie uzupełniania *Don Kichota*, a nawet przeciwstawiania się mu. Bohater Cervantesa nie chce widzieć rzeczywistości, stwarza sobie rzeczywistość urojoną i tylko z takiej umie wyprowadzić swój idealizm. Chłop Sancho Panza widzi inaczej niż jego pan, mówi prawdziwiej niż jego pan, ale widzi i mówi grubo. Chłopka Laurencja ma poczucie rzeczywistości, a z prawdą o życiu pospolitym łączy najzupełniej naturalnie pragnienie piękna i walkę o idee. Jej idealizm nie wyklucza pełnej prawdy o życiu, a pełna prawda o życiu nie wyklucza marzenia o pięknie i dążenia do piękna. To połączenie — niech mi tu jeszcze raz pomogą historycy literatury — kiedyż pojawi się w literaturze europejskiej po raz drugi?

Kto ludziom *Owczego Źródła* daje kostium tylko odświętny, zuboża ich bogactwem, wyrywa ich z codzienności, podłoża ich ideałów.

XI

Wśród jakich budowli ludzie ci żyją? Cóż nam budowle o nich mówią? Na scenie.

Charakterystyka miejsca akcji, a poprzez nią także charakterystyka ludzi ucierpiały z powodu nielogicznego umiejscowienia etapów dramatu. Według Lopego Vegi akcja aż trzech odsłon dzieje się wśród pól należących do miasteczka, a pola takie pozwalają ukazać na scenie ubogie budowle chłopskie, jedyne właściwe tło dla uwydatnienia chłopskich postaci. W krakowskim przedstawieniu nie ma ani pól, ani chłopskich domków, ani zagród, ani zabudowań gospodarskich, jest tylko miasteczko. Sprawa chłopska, główna sprawa dramatu, utraciła grunt.

Samowolnych nielogiczności jest więcej: tajna zmowa buntujących się chłopów, która według Vegi odbywa się wewnątrz jednej z sal ratuszowych, gdzie chłopi przypadkiem znaleźli się sami, w krakowskim teatrze odbywa się... na placu otwartym!

O placu miasteczka informują nas dziwne konstrukty sceniczne. Mur, dzwonnica, wieża czy baszta... Pomniejszone są, zniekształcająco pomniejszone. Sprowadzone do kształtów, jakie tworzy wyobraźnia naiwna i umysł prymitywny. Zbudowane niespoiście, chwiejnie. Czyż nie przypominają architektury z tektury lub zabawkowych konstrukcyj dziecięcych, składanych z kostek kamiennych, które niepewna siebie rączka wydobywa z kartonowego pudełka? Takim ukształtowaniem i wykonaniem konstruktów chciał Andrzej Pronaszko scharakteryzować ludzi dramatu, a pośrednio autora, od którego otrzymali teatralny żywet. Chciał powiedzieć: dzieciaki i dzieciak!

Podobnie — i z tego samego powodu — ujrzał rycerzy, króla i królową. Znalazło to odbicie we wnętrzach zamkowych. Wystarczy zanotować jedną ze ścian, którą tworzą rysunkowe linie, nie mające wśród siebie żadnego materiału, żadnego innego pola prócz powietrznego, więc obwodzące sobą pustkę, pustkę, pustkę, a jako ozdobę noszące na sobie... zwój białego papieru. Chciał scenoplastyk powiedzieć: postacie ledwie zarysowane, ludzie z papieru, autor — płyciuch.

W takich kilku wypadkach pomylił się.

Pomylił się, ale nie własną pomyłką. W błąd wprowadził go tłumacz, który — niestety nie znając dostatecznie języka hiszpańskiego — zniekształcił charaktery ludzi, ich wypowiedzi i działania. Z dramatu, genialnego prawdą o ludziach, pozostała udramatyzowana opowieść — płaska, niespoista, chwiejna, naiwna, nikła. Poprzez taki przekład nie mógł scenoplastyk ujrzeć ludzi Lopego Vegi inaczej niż ich ujrzał.

Zapędzany w błąd cudzymi błędami, daje jednak Pronaszko wybitne wartości tam, gdzie może je dać. Trudność, wynikającą z podziału dramatu na kilkanaście odsłon, rozwiązuje sposobami oryginalnymi i w oryginalności swej uzasadnionymi. Interesująco i owocnie dzieli przestrzeń. Tworzy znakomite łożysko sceniczne dla kompozycyj grup, dla ruchu mas. Ale ja w tym artykule zajmuję się scenoplastyką tylko o tyle o ile jest ona czynnikiem charakteryzującym scenicznych l u d z i..

Malarze sztalugowi oceniają „dekoracje" Pronaszki w całości ujemnie, chwalą zaś jego kostiumy. Ale bo też patrzą na scenę wyłącznie poprzez własne, czysto malarskie wymagania. Scena zadawala ich, gdy daje obrazy jak najbardziej pokrewne obrazom na płótnie. Nie biorą oni pod uwagę, że dzieło scenoplastyczne musi wyrastać z dzieła literackiego, z ludzi i działań takich, jakie zawiera tekst, — to pierwsze. Drugie: musi tworzyć się w ścisłym związku z ludźmi scenicznymi i działaniami scenicznymi, i to takimi jakie wynikają z uzgodnień między reżyserem, aktorami a scenoplastykiem. Te dwa postulaty pozwalają odróżnić w kreacji Pronaszki wady od zalet. W wadach jest bez winy, w zaletach jest majstrem.

XII

Poświęciłem tu wiele miejsca ludziom Lopego Vegi, tym ich rysom ważnym, których tłumacz nie dostrzegł lub które zatarł czy zamazał, a których brak odbił się druzgocąco na ludziach scenicznych. Pracę taką osądzają niektórzy jako pedanterię; tak mogą ją osądzać tylko oszuści lub bezwiednie ulegający im głupcy. Pedanteria! Tu gdzie chodzi o prawdziwy wygląd ludzi! O najistotniejsze cechy ich fizjognomii! Szaleniec wybił oko urodziwej dziewczynie; czyż jest pedantem lub drobiazgowcem ten, kto pamiętając dwoje jej pięknych i wymownych oczu, powiadamia widzów, że teraźniejszy jej wygląd pochodzi z okaleczenia?

Pragnąłem aktorom „*Owczego Źródła*" uprzytomnić, ile stracili dla siebie, dla swego wyżycia się aktorskiego, dla swej sztuki w ogóle. Może praca, którą w to włożyłem, nie pójdzie na marne. Może przekona. Może nasi aktorzy zdadzą sobie sprawę, do jakiego stopnia bogactwo ich sztuki zależy od wydobywania bogatej wielości literackiego arcydzieła.

Zdobywanie i ukazywanie prawdy o człowieku jest żywiołowym pragnieniem naszych aktorów. Szukać jej powinni wszystkimi sposobami, jakimi rozporządzają lub mogą rozporządzać artyści sceny. Ale los ich to także szukanie współposzukiwaczy. Literaci pracujący w teatrach mogą im być pomocą. Niech więc żądają od nich sumiennej współpracy. Niech protestują przeciw ich wyblagowywaniu się od obowiązków. Niech przeciwstawiają się ich nieróbstwu i partactwu. Niech wołają o pomoc. Na pewno staną po ich stronie wszyscy uczciwi literaci, wszyscy uczciwi artyści. Trzeba zagłuszyć niepowołanych nawoływaczy, którzy kusicielskimi głosami przyzywają polskiego aktora na jałowizny.

Tadeusz Peiper

Kraków, 8 lipca 1948.

PLASTYCY CZESCY W POLSCE

Z końcem czerwca bawiła w Krakowie delegacja plastyków czeskich. Po trzech dniach chodzenia po pracowniach młodych artystów krakowskich rozumieliśmy się już doskonale i mogliśmy swobodnie dyskutować. Nasi goście — krytyk i teoretyk, Jindřich Chalupecký oraz dwaj artyści-malarze, Frantisek Hudeček i Evžen Nevan — bronili stanowiska, które wydawało się jasne i proste. Zadaniem malarza jest interpretować świat współczesny. Artysta winien tak zorganizować środki, którymi się posługuje, żeby prowadzony przez nie odbiorca dotarł do pełnej, konkretnej treści przedmiotowo-podmiotowej, która była powodem wypowiedzi. Z chwilą kiedy artysta rzuca ten jedyny powód twórczy, jakim jest współczesna rzeczywistość, jej komplikacje i uroki, kiedy zaczyna się oddawać oderwanemu fantazjowaniu i abstrakcyjnym kombinacjom, trud jego staje czczy i próżny. Na drodze tej czekać go

może tylko pustka i samotność. Dzieło sztuki, które nie jest korelatem czegoś rzeczywistego i prawdziwego, jest zasadniczą pomyłką. Wszyscy wielcy artyści współcześni — Matisse, Picasso — są w istocie swej twórczości realistami.

Tak się złożyło, że dyskusje toczyły się wobec obrazów, które dawały Czechom wiele powodów do zaczepki. Nowocześni malarze krakowscy znajdują się w tej chwili w stadium, które określić by można jako sięganie do granic wyobraźni. Nie chcą interpretować — chcą oddziaływać i pobudzać. Zadanie swoje widzą w konstruowaniu malarskich mechanizmów, które by nie apelowały do jakiejkolwiek wiedzy o świecie, ale powiększały sam świat o nowe, nieznane możliwości. Powodem malarskim nie jest dla nich to, co gdzieś w świecie jest lub było, ale to, co może zyskać znaczenie w ludzkiej wyobraźni, dać przeżycie nowe i świeże.

Przekonywać się nawzajem było trudno. Zresztą nie było na to czasu. Cenna jednak była sama konfrontacja obydwu stanowisk, konfrontacja dokonana pomiędzy malarzami, którzy — tak jedni jak i drudzy — stoją na gruncie sztuki nowoczesnej i wszystkich jej zdobyczy.

Doskonałym unaocznieniem poglądów bronionych przez naszych gości stała się wystawa czeskich plastyków, zorganizowana w Warszawie, w lokalu Klubu Młodych Artystów i Naukowców przy ulicy Królewskiej. Wystawa objęła ponad 50 prac 13 artystów. Jest to przede wszystkim doskonała technicznie grafika, poza tym zaś gwasze, akwarele, rysunki — zespół typowo kameralny, pełen bezpośredniości i intymności. Pomysłowa oprawa wystawy projektu Mariana Bogusza podnosi charakter eksponatów i ułatwia widzowi zbliżenie.

Z wystawy widać, że teoria interpretacyjna sztuki jest przez artystów czeskich praktykowana konsekwentnie i chyba powszechnie. Zadania interpretacyjne pojmują Czesi konkretnie — tematowo. Przez prace ich z reguły przemawia zainteresowanie realnym przedmiotem czy sytuacją. Przyznać trzeba, że przedmiot ten jest zawsze indywidualnie zobaczony, przeżyty czy przemyślany; bez sztamp i łatwych uproszczeń. Nie widzi się za to prawie wcale samodzielniejszych poszukiwań w kierunku czysto formalnym, są raczej próby stosowania zdobyczy znanych skądinąd.

Dbałość o własny wyraz sprowadza się w tych warunkach do mocnego osadzenia obrazu na rzeczywistych kontaktach artysty ze światem. Kontakty te są zawsze wiarygodne i przekonywające, rzadko jednak zaskakują prawdziwą odkrywczością. W sumie powiedzieć można, że interpretowanie sprowadza się najczęściej do ilustrowania, pełnego zresztą kultury, doświadczenia i dobrze zrozumianej nowoczesności, ale bez rewelacji. Znać, że ci wszyscy artyści boją się trochę ryzyka, a bez tego trudno jednak mówić o twórczości naprawdę wielkiej. Można natomiast uczyć się od nich rzetelności, poczucia odpowiedzialności, pracy systematycznej i konsekwentnej, przy której żadna nasuwająca się możliwość nie będzie porzucona ani zmarnowana Dla nas, którzy zbyt często jeszcze zaczynamy i kończymy na improwizacji, lekcja plastyków czeskich powinna być pod tym względem szczególnie cenna.

Ale przejdźmy w końcu do szczegółów. Pośród artystów czeskich wystawiających w Warszawie szczególne zainteresowanie budzić mogą Gross, Hudeček i Smetana. Wszystkich trzech cechuje tematyka wybitnie urbanistyczna, rozwiązywana nowocze snymi środkami.

František Gross (ur. 1909) dał na wystawę suche igły i kolorowane rysunki. Podejmuje w nich zagadnienie człowieka we współczesnym pejzażu miejskim. Postać takiego człowieka to dla Grossa jakaś dziwna konstrukcja złożona z kół, transmisji, trybów i przewodów, które tracą w niej jakby swą ostrość i sztywność, deformują się, miękną, nabierają cech organicznych. Otaczający człowieka świat odbija się w ten sposób w nim samym, zarazem jednak sam nabiera cechu ludzkich — łagodnieje i ożywa.

František Hudeček (ur. 1909) podobne zagadnienie przedstawia nieco inaczej. W dwu studiach akwarelowo-rysunkowych, *Do miasta* i *Na ulicy*, daje on postać ludzką zbudowaną z zestawionych luźno linii i łuków, która jakby wnika w otwierającą się przestrzeń miejską, wiąże się z nią jakąś siecią, sama się w sieci tej roztapia, staje się pustym miejscem, realnym o tyle tylko, o ile ogniskuje ono powiązania zewnętrzne. Dwa inne studia Hudečka *Jeździec na koniu* i *Dziewczyna* wprowadzają nas w atmosferę odmienną. Mamy w nich do czynienia ze zręcznie stylizowaną ludowością, przy czym nowoczesne środki przedstawienia wyzyskane są dla pokazania dekoracyjnego wdzięku oryginału.

Trzeci z „urbanistów" Jan Smetana widzi miasto poprzez magię pewnych przedmiotów, które kondensują jakby szczególny nastrój chwili. *Paryż* np. objawia mu się poprzez parasole, wielkie, napięte, błyszczące od deszczu. W suchej igle: *Dwie lampy* opowiada dla odmiany o dziwności zapalonych lamp naftowych, o ich niezwy-

kłych wnętrzach, o skomplikowanym mechaniźmie świecenia.

Nienajlepiej wydaje się reprezentowany na wystawie Jan Lhoták (ur. 1912). Z reprodukcyj znamy go jako artystę o sugestywnej wizji, uzyskanej prostymi środkami naiwnie rejestrującego opisu. Studia wystawione w Warszawie opinię tę potwierdzają tylko częściowo. Ciekawa jako próba jest *Łódź motorowa* — jakby 8 obrazkowy film, którym artysta chce uchwycić pęd łodzi. Również Jan Kotik (ur. 1916) nie ma w Warszawie najlepszych swych rzeczy. Ładna ale powierzchowna akwarela *W deszczu* i dosyć wtórne litografie nie mówią wszystkiego o jego możliwościach. Józef Istler najbliższy jest ze wszystkich wystawiających abstrakcji, ale abstrakcji dosyć suchej i martwej. Jego kompozycje budowane z plątaniny łuków i prostych, pomimo pozornej ruchliwości mało zdynamizowane, tłumaczy być może niechęć nazych gości do tego rodzaju poszukiwań. Evžen Nevan (ur. 1914) jest wrażliwym obserwatorem o dużej pewności techniki, o konstrukcji syntetycznej, chwytającej istotne cechy zjawiska. W Warszawie pokazał rysunek węglem *W umywalni* i 3 bardzo dobre technicznie suche igły: *Plecy, Dziewczyna* i *Tancerki.* František Jiroudek (ur. 1914) dał dwie tempery o efektownej, wrażeniowej kolorystyce, akwarelę *Aktorki w garderobie* i prymitywizujący pastel *Dzieci.* Z pozostałych Leydl Zdenek jest ciętym satyrykiem, Sivko Wacław — romantycznym ilustratorem, Chmel Vilo, Zmetak Ernest, Dubay Orest uprawiają drzeworyt, odznaczający się zdecydowanymi efektami czarno-białymi, surową fakturą, dekoracyjną stylizacją ujęcia .

Czesi przywieźli ze sobą wspaniale ilustrowane czasopisma artystyczne, wydawnictwa, katalogi. Znać, że sprawy sztuki nowoczesnej wszystkich tam żywo obchodzą, że są popularne, że osiągnięcia jej znajdują z miejsca zastosowanie w grafice książkowej, w winiecie okładkowej, plakacie, druku. Za wydawnictwa nie bardzo było się czym zrewanżować. Rozumieli to zresztą.

Gorzej, że nie mogliśmy im dostarczyć prawie żadnych materiałów dotyczących początków naszej sztuki nowoczesnej. Interesowali się tym bardzo. Nic dziwnego. U nich każdy poważniejszy artysta nowoczesny ma swoje opracowania, monografie, katalogi. Twórczość jego jest łatwo dostępna i wciąż komentowana. U nas — trzeba się przyznać na zakończenie — u jednego z kolegów Czesi wyciągnęli z kąta zwinięty i mocno niestety spękany obraz Leona Chwistka i nie mogli się nadziwić, że w Polsce tak lekkomyślnie traktuje się malarstwo o galeryjnych walorach.

Mieczysław Porębski

WYKAZ TREŚCI

Str.

KAZIMIERZ WYKA: * * * 6
VERCORS: Oręż nocy 10
EDWARD KANTOROWICZ: Pożegnanie Republiki 40
JULIA HARTWIG: Poematy prozą Maxa Jacoba 58
MAX JACOB: Zabawa ze słowem „Kasta", Anegdota, Klucz, Rodzina japońska, Hojność, * * * Znajomość poglądów, Dwie elity widzów, Metampsychoza, Wystrzał, Poemat, Bajka, Rodziny chrześcijańskie, Kilka postanowień, Pielgrzymi z Emaus, Stronnice z historii, Rządy proroków 64
FEDERICO GARCIA LORCA: Romanca o księżycu, Romanca o smutku, Romanca o smutku somnambulicznym, Zwada, Aresztowanie 76
TEODOR TIUTCZEW: List do żony 78
„ „ Silentium, Koń morski, * * * (Żar w powietrzu...) * * * (Jeszcze wciąż pragnę...) * * * (Nieostygła od dnia...) * * * (Jak grzmi wesoło) * * * (Popatrz, jak gaje zielenieją...) 79
KAROL W. ZAWODZIŃSKI: Poezja ludzka i wspaniała 83

SPRAWY I TROSKI:
KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI: Kultura Ziem Odzyskanych 100

NOTY:
TADEUSZ PEIPER: Aktorzy „Owczego źródła" 114
MIECZYSŁAW PORĘBSKI: Plastycy czescy w Polsce 122

SPIS TREŚCI

MIESIĘCZNIKA „TWÓRCZOŚĆ" ZA III KWARTAŁ 1948

(LIPIEC—WRZESIEŃ)

(cyfry rzymskie oznaczają zeszyt, cyfry arabskie stronice)

KRAŚNICKA LUCYNA: Dziennik z rewolucyjnych dni Krakowa r. 1848 VII-VIII, 108

PROZA

KANTOROWICZ EDWARD: Pożegnanie Republiki . . . . . IX, 40
OSMAŃCZYK EDMUND: Laur . . . . . VII-VIII, 5
VERCORS: Oręż nocy . . . . . IX, 10

POEZJA

GARCIA LORCA FEDERICO: Aresztowanie . . . . . IX, 76
„ „ „ Romanca o księżycu . . . . . IX, 71
„ „ „ Romanca o smutku . . . . . IX, 72
„ „ „ Romanca o smutku somnambulicznym . IX, 73
„ „ „ Zwada . . . . . IX, 75

JACOB MAX: Poematy prozą
„ „ Anegdota . . . . . IX, 64
„ „ Bajka na Boże Narodzenie . . . . . IX, 67
„ „ Dwie elity widzów . . . . . IX, 66
„ „ Hojność hiszpańska . . . . . IX, 65
„ „ Kilka postanowień tych co się bawią . . . . . IX, 68
„ „ Klucz . . . . . IX, 65
„ „ Metampsychoza . . . . . IX, 66
„ „ Pielgrzymi z Emaus . . . . . IX, 68
„ „ Poemat . . . . . IX, 67
„ „ Rodzina chrześcijańska . . . . . IX, 65
„ „ Rodzina japońska . . . . . IX, 65
„ „ Rządy proroków . . . . . IX, 69
„ „ Wystrzał . . . . . IX, 67
„ „ Zabawa ze słowem . . . . . IX, 64
„ „ * * * * * * . . . . . IX, 66

TIUTCZEW TEODOR: * * * (Jak grzmi wesoło...) . . . . . IX, 81
„ „ * * * (Jeszcze wciąż pragnę...) . . . . . IX, 80
„ „ Koń morski . . . . . IX, 79
„ „ * * * (Nieostygła od dnia) . . . . . IX, 81
„ „ * * * (Popatrz jak gaje...) . . . . . IX, 82
„ „ Silentium . . . . . IX, 79
„ „ * * * (Żar w powietrzu...) . . . . . IX, 80

ROZPRAWY

CZERNIK STEFAN: Prymitywy poezji ludowej . . . . . VII-VIII, 57
KAŁUŻYŃSKI ZYGMUNT: Sergiusz Eisenstein czyli rehabilitacja historii VII-VIII, 23
KOŹNIEWSKI KAZIMIERZ: Kultura Ziem Odzyskanych . . . . . IX, 100
LUKACS GEORG: Balzak jako krytyk Stendhala . . . . . VII-VIII, 41
MAKARCZYK JANUSZ: Sudan — retorta nieistniejących narodów . . VII-VIII, 82
PEIPER TADEUSZ: Jouvet w Polsce . . . . . VII-VIII, 70
WYKA KAZIMIERZ: Muzeum na kółkach . . . . . VII-VIII, 127
ZAWODZIŃSKI K. W. Poezja ludzka i wspaniała . . . . . IX, 83

SPRAWOZDANIA

KWIATKOWSKI JERZY: Od wsi do wsi . . . . . VII-VIII, 146
ZAWODZIŃSKI K. W.: Dwie antologie . . . . . VII-VIII, 139

NOTY

PEIPER TADEUSZ: Aktorzy „Owczego źródła“ . . . . . IX, 114
PORĘBSKI MIECZYSŁAW: Plastycy czescy w Polsce . . . . . IX, 122
WYKA KAZIMIERZ: *** (Kongres intelektualistów) . . . . . IX, 6

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“, Warszawa—Łódź—Kraków.
Redaktor naczelny: Kazimierz Wyka
Sekretarz odpowiedzialny: Jan Alfred Szczepański.
Adres redakcji: Kraków, Basztowa 15, m. 8 Administracji: Wielopole 1.

Cena zeszytu 115 zł + 5 zł (cegiełka na „Dom Słowa Polskiego“)

Prenumerata za III kwartał 1948 r. 200 zł (2 zeszyty), za IV kwartał 300 zł (3 zeszyty) za II półrocze 500 zł.

Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca